

- **Bezsporne fakty w sprawie Katynia** — str. 2
- **Tajny pogrzeb Nikity Chruszczowa** — str. 4
- **Cienie niezapomnianych przodków** — str. 1 i 4
- **Na plaży naturystów w Świdrze** — str. 6
- **Chłopcy malowani** — str. 11

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 39 (1591)

ROK XXXI

24 WRZEŚNIA 1988 ROKU CENA 50 ZŁ



Foto: Grzegorz Galasinski

Zabójca przyznał się do winy, ale jest jeszcze wiele niewiadomych budzących grozę.

Znak Szatana

EUGENIUSZ IWANICKI

Miasto żyje pod presją strachu. Od chwili, gdy zatrzymano do podejrzanego o dokonanie bestialskich mordów na nieletnich chłopcach, poczucie niebezpieczeństwa ogarnęło społeczność grodu trybunalskiego i najbliższych wiosek. Wyznawcy Szatana zapowiadają bowiem okrutną rozprawę: ryszczokami popłynię krew, a domostwa staną w płomieniach. Szatan zstąpi na Ziemię i po wsze czasy nastanie jego królestwo.

Z Grzegorzem Galasinskim, który pojechał ze mną w podwójnej roli (fotoreporter i kierowca) zatrzymujemy się po drodze w podpiotrkowskiej wsi Wola Kamocka. Cmentarz jest trochę z boku, wśród pól, jakieś sto pięćdziesiąt metrów od drogi. Mały wiejski cmentarz otoczony betonowym murem. Pusto. Zimno. Dokuczliwy wiatr. Bez trudu odnajdujemy grób dwunastoletniego Artura Kawczyńskiego. Jest ogrodzony drewnianą palisadą, pokryty kwiatami. Nie widać jedynie śladów tez tych, dla których był szczęściem, miłością i nadzieją.

W Piotrkowie zaczynamy gromadzić tak zwanych „materiałów dziennikarskich” od budynku Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych.

Przedstawiamy się dyżurnemu podoficerowi, mówiąc, że chcemy się widzieć z rzecznikiem prasowym.

— Spóźnił się — mówi. Wszyscy już pojechali.

— Co, już? — udaję zdziwionego, choć nie wiem kto i gdzie pojechał.

— Jakież dziesięć minut temu — mówi milicjant.

— A, niech to... — martwię się. — I co teraz?

Tu wchodzi się Grzesio: — Dokąd pojechali?

— Jak to dokąd? Na wizję lokalną!

Teraz wszystko toczy się w tempie filmu kryminalnego. Pędzimy nad Bugaj, właściwie nad rzeczkę Wierzejkę nazywaną przez miejscowych Bugajką. Niestety, jakiś kilometr przed nią zatrzymuje nas milicjant na motocyklu, każe zjechać na bok, blokada drogi. Na bocznej drodze już stoi autokar i kilka samochodów osobowych. Znowu ratuje nas przytomność umysłu. Mówię, że jedziemy wprost z komendy, że stamtąd właśnie nas skierowano, zresztą niech zapyta przez radiotelefon. Na nasze szczęście milicjantowi nie udaje się polaczyć i zrezygnowany przepuszcza nas. Po jakichś 200 metrach znowu kontrola MO. Znowu blefujemy. Potem już tych kordonów jest kilka: stoja na drodze, niektórzy z psami, pełno niebieskich „Nys”. Skracamy wzdłuż grobli, gdzie Mariusz Trynkiewicz opowiada i pokazuje oficerom śledczym, prokuratorowi i rodzinom pomordowanych przez siebie dzieci drogę i sposób, w

jaki ich zaczęli, zwabił do siebie itp. Przyglądam mu się z dość bliska (zatrzymano nas jednak jakieś pięćdziesiąt metrów od grupy pokazowej): w więziennym ubraniu, szczupły, z wąsikami, twarz spokojna, by nie rzec obojętna. Opozna wywada o straszliwych zbrodniach, jakby opowiadał o pogodzie. (Ważny szczegół: w wizji lokalnej biorą udział wyznaczone marki cmentarzy, ojciec nie chce, aby wyznaczano markę, że chodziło o bezpieczeństwo zabójcy, bo któryś z mężczyzn mógłby dokonać na nim samosądu).

Jednego z ojców, pana Stanisława Kaczmarka, spotykam na przeciwnym brzegu zalewu. Spokojny, już stłumil w sobie ból, już pogodził się z własną niemocą wobec okrutnej, bestialskiej śmierci ukochanego Krzysia.

— Teraz — mówi — widzę tych szatanistów wszędzie. Krzysiek zginął 29 lipca, a 29 sierpnia ktoś w nocy zabrał psa z podwórca. Przecież obrazek i zabrał. Teraz chodzą tu jacyś i dopytują się o nas, czy bardzo rozpaczamy, co robimy, jak żyjemy. W Woli Kamockiej widziano czerwonego fiata, widzieli to także rodzice zamordowanego Artura Kawczyńskiego. Pasażerowie tego fiata pytali ludzi o nich, jak żyją, czy bardzo się martwią z powodu śmierci syna. Ja ich widziałem, tych szatanistów, jeszcze zanim porwano mi psa. Przed zwłokami spóźniłem się na Wojska Polskiego. Było ich dwóch, tak gdzieś dziesięć-nastolatki, z czarnymi, odwróconymi krzyżami na pierśsiach, długimi włosami, w jasnych kurtkach. Ludzie powiedzieli, że pytali o rodziców Krzysia Kaczmarka, czyli o mnie i moją żonę. Chciałem ich dopaść, ale nie udało się. Tu teraz jest ich dużo, zjawiają się nie wiadomo skąd. Nie tak dawno przed ulicą Żródlaną pojawili się facet z różańcem do ziemi, czarny jakiś. Ale też szybko uciekli.

Pan Stanisław wiezie nas na miejsce, gdzie znaleziono zwłoki trzech chłopców. Od Bugaja, jakieś dwa kilometry w stronę Koła, wjeżdżamy w las, na błotnistą, pośladowaną drogę. Po przejechaniu około stu metrów — wysiadamy. Stanisław Kaczmarek pokazuje miejsce pełne zwęglonych kawałków drewna.

— Jest wiele niewiadomych — mówi. — Człowiek, który znalazł chłopców, twierdzi, że ciała były ułożone na krzyż. Natomiast, gdy zjawili się milicjanci, już tworzyły trójkąt. A więc ktoś tu był, ktoś ich ruszał. Kto? Ja, proszę panów, na drzewie obok zawiesiłem obrazek Matki Boskiej z dziećmi. Zamierzam



Ziemia stara się jak może zablźnić swoje rany lasami.

Cienie niezapomnianych przodków

WASYL KOCZNOW

Sredniowieczny wał forteczny, a w dole legi, rzeka i brzegi gęsto zarośnięte krzakami. To intrygowało, wzbudzało ciekawość, gdy po raz pierwszy znalazłem się w skromnym pokoiku Iwanowskiego Oddziału Związku Literatów. Dopiero co przyjechałem wtedy z Łodzi, gdzie pozostawiłem ponad dwadzieścia lat życia.

— To jest Łuch. Najładniejsza miejscowość w naszym obwodzie — przerwał moje myśli przyjaciel, Iwanowski prozak Witalij Serdiuk — a póżno podarował naszemu poecie Władimirowi Dogadajewowi malarz Siawa Krawcow.

To jest Łuch? Skądś znam tę nazwę. Zdaje się, że występuje w latopisach litewsko-ruskich? Interesowałem się kiedyś genealogią książąt Bielskich ze Smoleńszczyzny. Ziemia Bielska na Smoleńszczyźnie, dobra rodowa książąt Bielskich, to rodzinne strony moich dziadów i pradziadów, dlatego pociąga mnie wszystko, co wiąże się z dziejami Bielskich. A Łuch został nadany księciu Fiodorowi Bielskiemu, wnukowi Władysława Jagiełły wtedy, gdy książę Fiodor w 1482 roku porzucił Litwę i stał się moskiewskim poddańcem. Szczęścia w Moskwie nie znalazł. Po dziesięciu latach rzucił na niego oszczerstwo, że brał udział w spisku przeciw Iwanowi III i zesłano wraz z bratem Siemionem do Łuchu — właśnie jak najdalej od przygranicznego Księstwa Bielskiego, ażeby bracia nie mogli z powrotem uciec pod opiekę króla polskiego.

Rozbudziłem wyobraźnię Witalija Serdiuka do tego stopnia, że postanowił jechać do Łuchu natychmiast.

Z Iwanowa do Łuchu — 70 km. Chodzą tam autobusy, ale redakcja miejscowej gazety dała nam samochód. Jedziemy więc do Łuchu razem z Witalijem. W skupieniu wpatruję się w krajobraz, które są zupełnie takie same jak na Smoleńszczyźnie: identyczne lesiste pagórki, wawozy, tradycyjna budowania zagród na wysokim brzegu jaru pod lasem, by łatwiej było uciekać przed wrogiem. Takie same stłoczone wioski leżały w cieniu lasów nad brzegami rzek i strumieni.

Ta ziemia nie jest obca literaturze. Już w czasach pierwszych carów była miejscem zesłania. Gęste, dziewicze bory, z rzadka spotykane wsie, grzędzawiska i bagna... jednym słowem kraina dzika i niedostępna. Niby do Moskwy niedaleko, a taka głusza! Było przecież bezpieczniej mieć zesłańców pod okiem, blisko stolicy, a nie gdzieś gdzie diabeł mówi dobranoc. Dlatego właśnie Iwan III zesłał w te strony niepokornych nowgorodców, nakazując im osiedlić się nad rzeką Uwodzia. Stąd chyba i nazwa osady: Iwanowo. Od nich, od nowgorodców, tutejsi mieszkańcy odziedziczyli smykalną kupiecką. Dziś już mało kto wie, że pierwotni rdzenni Iwanowcy — kupcy, rzemieślnicy, „bogomazy” (malarze ikon) — to potomkowie zesłanych nowgorodców. Im

bardziej zaludniła się ta kraina, tym bardziej stawała się gościnna. Choć gleba tu nieurodzajna, a lasy nieprzebyte, ale, jak mówią, rzecz najważniejsza, żeby głowa była cała.

Mnie, głównego bohatera tu sięgającego, by podjąć żywot pustelniczy. Gdy święty ołciec Siergij Radoneski odszedł z Moskwy wraz z bratem Siemionem na północ, wybrał sobie na zamieszkanie miejsce nad urwiskiem na szczycie góry porośniętej lasem. Na własnych ramionach nosił bierwiona i wznosił ubogie, lecz krzepkie domostwo, chroniące przed niepogodą i dzikim zwierzem. W „Żywocie Siergija Radoneskiego” mówi się, jak to samotny pustelnik walczył tutaj z biesami. Surowa przyroda była dlań doświadczeniem mocy czarta, z którym Bóg kazał mu walczyć. Do Siergija ciągnęli pokrewni mu duchem, również szukający ciszy lesnej. Surowe życie pustelników i pomoc, jaką okazywali prosiącym, przyciągały do nich chłopów i patników. Rabano wokół las, stawiano zagrody, czyszczono pola pod siew. Wkrótce w lesnym pustkowiu stanął ludny i bogaty monaster — Troice-Siergiejewa Ławra. W jego murach chroniono się przed okrutną władzą świecką. Stamtąd ruszali na północ nowi pokutnicy wierni swemu duchowemu przywódcy w ucieczce od zgłębku życia. Za Troice-Siergiejewa Ławrą ciągnęły się nieprzebyte ostępy lesne aż do „Zimnego Morza”. Tutaj kształtowała się idea wyzwolenia Rusi spod jarzma Mongołów.

W początkach XVII wieku, w czasach „Wielkiej Smuty”, tu uciekano przed Polakami. Ale Polacy i tak tu dotarli, zajęli Rostów, Suzdał, Władimir, Jarosław, Kostromę, a także miasteczka wokół Iwanowo-Woznieśieńska: Szuje, Kineszne, Jurjewiec, Płos, Łuch i większe osady. Wojewoda suzdalski, stronnak Dynitry Samozwańca II, Fiodor Pleszczajew 17 lutego 1609 roku pisał do Jana Sapiehy:

„...posłałem do ciebie... pana Marcina Sobieskiego z kozakami od „lisowczyków”. I z Bożą pomocą miasto Płos na Woldze wzięli, a przyszli z powrotem do powiatu suzdalskiego, do starych tabarów, do wsi Iwanowo-Kochmy”.

Iwanowo i Kochma były bazą regularnych wojsk polskich i oddziałów Lisowskich. Nieprzypadkowo jedna z głównych ulic Iwanowa nazywała się Pańska i dopiero niedawno, kiedy nastała moda na zmienianie i przerabianie wszystkiego wokół, Iwanowcy ochrzczili ją ulicą Stanki. Na ulicy Pańskiej w 1609 roku znajdowała się polska kwatera główna. Przedłużeniem ulicy Pańskiej była ulica Kureń (nazwa przyniesiona tutaj przez oddział lisowczyków). Słowo to — pochodzenia turkijsko-półowickiego, stepowego, z aromatem ostnicy stepowej — obco brzmiało w lasach północy. Obecnie na miejscu ulicy Kureń rozpościera się plac im. Stanki. Był to pseudonim wybitnego rewolucjonisty Iwana Utkina.

Rewolucjonistom trzeba oddawać należny hołd, ale jakże trudno jest teraz po tylu zmianach dokopać się do źródeł historii. Niewiele o nich wie, a jeśli, to raczej

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-32-44

sekretarz redakcji,
fotoreporter 36-80-99,

publicysta: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gebarowski,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Marek
Koprowski, Jerzy

Kwieciński, Bogdan Madej,
Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,
Marian Zdrojewski.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błajewski,

Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadomski,

Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasyl

Kucznów (Iwanowo),
Włodzimierz Krzeminski,

Zenon J. Michalski.
Ryszard Nakonieczny,

Adam Ochocki, Jerzy
Panaszewski, Karol J.

Strzyski, Maciej Świerkocki.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa-Książka-
Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerw-
onej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych reklam i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie odpo-
wiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woj-
ewódzkich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-Książka-
Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — in-
stytucje i zakłady pracy zlo-
kalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch”, opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumerato-
rów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli, osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urzęd-
ach pocztowych nadawczo-od-
dawczych wsielonych dla miejsca
zamieszkania prenumeratę
Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa-Książka-Ruch”. 3.
Prenumeratę ze zleceniem wysy-
łki za granicę przyjmuje
RSW „Prasa-Książka-Ruch”
Centrala Kółportu Prasy i
Wydawnictwa, ul. Towarowa 23,
00-958 Warszawa, konto PKO BP
XV Oddział w Warszawie, nr
1638-201045 139-11. Prenumerata
ze zleceniem wysyłki za granicę
począz jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pra-
cy. Terminy przyjmowania pre-
numeraty na kraj i za granicę —
od dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następny —
do dnia 15 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego.

Zam. 3006, S-10.

Przegląd prasy

Historycy szukają odpowiedzi
na pytanie, kto i kiedy popeł-
nił straszną zbrodnię w Ka-
tyniu. Zarządy kronikarskie
drugiego aktu dramatu przedsta-
wił na łamach „MIESIĘCZNI-
KA LITERACKIEGO” (nr 7)
prof. Czesław Madajczyk. W
obszernym artykule umieścił
aż 110 przypisów i dołączył
fragmenty różnych dokumen-
tów.

Latem 1942 roku pracowali
koło Smoleńska (w ramach hit-
lerowskiej organizacji Todta)
robotnicy polscy. Od miejscowej
ludności dowiedzieli się, że w
pobliskim Katyniu jest maso-
wa mogiła polskich żołnierzy.
Na wskazanym miejscu posta-
wili dwa brzozywe krzyże.

Po kilku miesiącach, w lu-
tym 1943 r. zainteresowała się
tą sprawą niemiecka tajna po-
litka polowa. Przesłuchano
świadków wydarzeń i rozkopa-
no część terenu. Na podstawie
wstępnych badań (była wtedy
surowa zima) 28 lutego sporzą-
dzono raport dla Naczelnego
Dowództwa Wojsk Pieszych,
który następnie trafił do gen.
Alfreda Jodla w Oberkomman-
do der Wehrmacht.

Miesiąc później — 29 marca
1943 r. Dowództwo Niemieckich
Sił Zbrojnych rozkazało otwo-
rzyć groby, określić liczbę
żołnierzy, zidentyfikować ofiary,
ustalić okoliczności śmierci.
Kierownictwo nad przebiegiem
ekshumacji i obdukcji powie-
rzono prof. Gerhardowi Buht-
zowi z uniwersytetu wrocław-
skiego, specjalistę w zakresie
medycyny sądowej. Pełnił on
wówczas służbę w nadkwater-
mistrzostwie grupy armii mar-
szałka Hansa von Klugego.

7 kwietnia znany pisarz pu-
blicysta Ferdynand Goetel (był
przez polskiego Pen Clubu,
członek Polskiej Akademii Li-
teratury, oskarżony przed woj-
ną o sympatię do faszyzmu)
został wezwany do Urzędu
Propagandy w Warszawie. Sze-
f tej instytucji poinformował go,
że w lasach niedaleko Smoleń-
ska odkryto mogiłę tysięcy
polskich oficerów zamordowa-
nych strzałem w tył głowy.
Dr Karl Grundman ujawnił też
zamiar wysłania na miejsce
zbrodni grupy Polaków.

Pierwsza delegacja polska
przybyła do Katynia 11 kwiet-
nia 1943 roku. Znaleźli się w
niej: Ferdynand Goetel, dr
med. Konrad Orzechowski
(kierownik jednego z miejskich
szpitali), dr med. Edward
Grodzki (przedstawiciel war-
szawskiej Rady Opiekunów),
dr Edmund Seyfried (dyrektor
zarządu Rady Głównej Opie-
kuńczej), kilku robotników i
dziennikarzy oraz były funk-
cjonariusz żandarmerii pol-
skiej. Ze strony niemieckiej
towarzyszyli im szef Urzędu
Propagandy w rządzie Gene-
ralnego Gubernatorstwa Wil-
helm Ohlenbusch i grupa re-
porterów radiowych.

Niemcy pokazali członkom
delegacji wydobyte zwłoki oraz
dowody rzeczowe znalezione u
zamordowanych. Wśród ofiar
rozpoznano ciała dwu generałów:
Mieczysława Smorawskiego i
Stanisława Bohaterowicza.
Zdumienie budziły zwłoki jed-
nej kobiety. Później okazało
się, że była to por. Zofia Le-
wandowska, oficer lotnictwa,
córka gen. Józefa Dowbór-
-Muśnickiego.

W krótkiej wypowiedzi tran-
smitowanej przez radio nie-
mieckie Ferdynand Goetel
stwierdził, że pomordowani o-
ficjerowie pochodzą z obozów
w Kozelsku i Starobielsku. U-
staloną przez Niemców datę
ich śmierci uznał za zbłądną z
urwaniem się korespondencji z
nimi wiosną 1940 roku. W rze-
czywistości ekshumowani —
poza jednym ze Starobielska —
pochodzili tylko z obozu w
Kozelsku.

Ktoś z delegacji zapytał, dla-
czego dopiero teraz informuje
się o fakcie, który znano już
od miesięcy. Niemcy odpowie-
dzieli, że wojskowi zaabsorbo-
wani operacjami wojennymi
zlekceważyli sprawę, nie docie-
niali jej znaczenia.

Nazajutrz przywieziono do
Katynia drugą grupę polską.
Byli w niej między innymi:
ksiądz Stanisław Jasiński (zau-
fany arcybiskupa Adama Sa-
piehy), redaktor Marian Mar-
tens, dr Adam Szebesta i se-
kretarz generalny PCK Kazi-
mierz Skarżyński. Ten ostatni
złożył 16 kwietnia raport wła-
dzom Polskiego Czerwonego
Krzyża. Scharakteryzował me-
todę uśmiercania oficerów i
wskazał przypuszczalny mo-
ment śmierci (wiosna 1940 r.).

Po wstępnym rozpoznaniu
sprawy Polski Czerwony Krzyż
— mimo nacisków władz oku-
pacyjnych — uchylił się od
przeprowadzenia akcji infor-
macyjnej wśród oficerów pol-
skich przebywających w obo-
zach.

Najprawdopodobniej odmowa
PCK spowodowała, że bardzo
szybko skierowano do Katynia
kolejną grupę Polaków złożoną
z jeńców więzionych w obo-
zach oficerskich. Jeden z
członków tej grupy ppłk Ste-
fan Mossor (wybitny teoretyk
wojskowości) napisał w rapor-
cie dla Naczelnego Wodza, że
fakt zastrzelenia oficerów pol-
skich w Katyniu wiosną 1940
r. uważa za niewątpliwą. Ka-
tegorycznie sprzeciwił się on
wykorzystaniu uczestników de-
legacji w niemieckiej propaga-
ndzie radiowo-prasowej i filmo-
wej.

Władze Trzeciej Rzeszy ofi-
cjalnie poinformowały o odkry-
ciu grobów polskich oficerów
w Katyniu 13 kwietnia 1943
roku. A dwa dni później radio
moskiewskie i dziennik „Prawa-
da” doniosły, że zbrodnię w
rejonie Smoleńska popełnili
żołnierze Wehrmachtu latem
1941 roku.

Pod koniec kwietnia 1943 r.
przybyła do Katynia między-
narodowa grupa specjalistów z
12 krajów. Z wyjątkiem szwa-
carskiego profesora Francois
Naville, pozostali pochodzili z
krajów satelickich lub okupo-
wanych przez Niemców. Kom-
misja ta prowadziła badania 29 i
30 kwietnia po cztery godziny.
Protokół jej ogłoszono 4 maja,
lecz nie wywołał większego
wrażenia.

Natomiast przez 5 tygodni
(do 5 czerwca) wydobywała o-
raz identyfikowała zwłoki eki-
pa PCK pod kierunkiem dr.
Mariana Wodzińskiego. Był on
jedynym ekspertem z zakresu
medycyny sądowej. W kon-
wym orzeczeniu stwierdził, że
na podstawie stopnia rozkładu
gnilnego ciała nie można do-
kładnie określić, jak długo
przebywały w ziemi. Ale pa-
miętniki i notatniki znalezione
przy ofiarach pozwoliły ozna-
czyć czas zbrodni. Wszystkie
urwały się na drugiej połowie
marca i kwietnia 1940 roku.
Zespół dr. M. Wodzińskiego
złaził 4143 ofiary.

„O świadkach spośród mie-
scowej ludności pisał on, że
byli opłacani, choć nie udało
się stwierdzić, w jakiej formie
i w jakiej wysokości. A za
najbardziej punkty niemieckiej
propagandy uważał on sprawę
tusek od amunicji, będącej
niemieckiej produkcji, znajdo-
wanych w grobach. Relację
Wodzińskiego należy uzupełnić
informacją, że 80 proc. ziden-
tyfikowanych zwłok zamordo-
wanych oficerów polskich
znajdowało się na listach woj-
skowych poszukiwanych przez
władze polskie”.

Według zeznania płk. Eusta-
chego Gorczyńskiego z 6 maja
1943 r. Lawrentij Beria o-
świadczył już w październiku
1940 roku, że większość ofice-
rów polskich z Kozelska i
Starobielska oddano Niemcom,
co było wielkim błędem. Z ko-
lei gen. Zygmunt Berling tak
relacjonuje późniejszą rozmo-
wę z Beria i komisarzem bez-
pieczeństwa publicznego gen.
Merkułowem:

„Po zreferowaniu sprawy
przez Gorczyńskiego Beria za-
pytał, czy zaprezentowana
przez nas lista zawiera nazwi-
ska oficerów wyłącznie z Ko-
zelska i Starobielska. Na o-
świadczył: — Nie z tego nie
będzie. Tych ludzi nie ma w
Związku Radzieckim. — Popel-
niłszy z nimi wielką omyłkę
— dodał Merkułow”.

Smoleński został wyzwolony
25 września 1943 roku. A już
następnego dnia rozpoczęła
prace Komisja Specjalna zło-
żona z prominentnych oso-
bistości radzieckich. W skład
jej weszli między innymi: N. Bur-
denko (przewodniczący), me-
tropolita Mikołaj, Aleksy Toi-
stoj, specjaliści z zakresu me-
dycyny sądowej. Ponownie
ekshumowano i zbadano 925
zwłok. Ogólną liczbę pomor-
dowanych ustalono na 11 ty-
sięcy. Tyle samo ofiar podano
w akcie oskarżenia w Norym-
berdze. A wcześniej Niemcy
mówili o 10—12 tys. zabitych.
Na ich liście figuruje kilka o-
sób żyjących do dziś (m. in.
prof. Remigiusz Bierzaneł).

W komunikacie z 24 stycznia
1944 r. komisja radziecka
stwierdza, że jeńcy polscy pra-
cowali na zachód od Smoleń-
ska do września 1941 roku.
Rozstrzelani zostali jesienią
1941 roku w sposób typowy
niemiecki. W celu ukłócenia
Rosjan z Polakami znalezione
fałszywych świadków i przyp-
isano winę stronie radzieckiej.
Jednakże odpowiedzialność
Niemców za zbrodnię potwier-
dzają dowody rzeczowe i do-
kumenty.

Jakie są bezsporne fakty?
Pod koniec omawianego arty-
kułu prof. Czesław Madajczyk
z Polskiej Akademii Nauk
konkluduje:

„Tak więc oficerów przywie-
zionych wiosną 1940 r. kolejną
do Gniezdowa niedaleko Smo-
leńska z obozu w Kozelsku
znaleziono wiosną 1943 w Ka-
tyniu. Przyczyną śmierci był
postrzał czaszki, uszkadzający
ważne dla życia ośrodki mózgo-
we, wywołujący natychmi-
stową śmierć. Postrzał godził
notorycznie od tyłu, nieco poni-
żej guzowatości potylicznej i
biegł ku górze i przodowi
kończył się najczęściej raną wy-
stolową w obrębie górnej części
czoła. Udowodniono znalezie-
nie w grobach katyńskich 4143
ofiary. W ubiorze ofiar znalazły
się dokumenty osobiste pozwo-
lające zidentyfikować 2730
zwłok. Radziecka Komisja Spe-
cjalna dokonała reekshumacji
czy drugiej ekshumacji tych
samych zwłok, stąd wydobyte
przez nią 925 zwłok nie wpły-
wa na zmianę liczby zwłok
polskich oficerów tam znan-
dzonych. Jej dane o 11 tysią-
cach ofiar polskich, jak i nie-
mieckie dane o 10—12 tysią-
cach zwłok znalezionych w
Katyniu nie zostały udoku-
mentowane. Zwłoki polskich o-
ficjerów ekshumowane wiosną
1943 r. zostały następnie za-
opatrzane w metalowe ponume-
rowane tabliczki, którym od-
powiadały opublikowane per-
sonalia. Jeżeli przy 925 zwło-
kach ekshumowanych przez
radziecką Komisję Specjalną
tych tabliczek nie znaleziono,
to powstaje pytanie, czy były
to te same groby”.

Na temat zbrodni w Katyniu
pisze również w tygodniku
„ODRODZENIE” (nr 37) Ta-
deusz Filipkowski. Podaje on,
że na terenach wschodnich za-
jętych we wrześniu 1939 roku
przez Armię Czerwoną (na
podstawie układu Ribbentrop-
Molotowa) znalazło się około
200 tys. żołnierzy polskich.

„Prawie wszyscy oficerowie
i kilka tysięcy żołnierzy, także
z Korpusu Ochrony Pogranicza
jak i funkcjonariusze Policji
Państwowej, łącznie około 15
tysięcy ludzi, zostało umiesz-
czonych w obozach założonych
w opustoszałych klasztorach.
Były to Starobielsk (na
wschodniej Ukrainie), Ostaszk-
ów (w górnym biegu Wołgi)
i Kozelsk (w rejonie Kalugi).
Wśród internowanych — choć
używano wówczas wobec nich
terminu: jeńcy — znajdowało
się 3700 oficerów zawodowych
i rezerwy wszystkich stopni, to-
żym 6 generałów, 600 lieutenantów,
800 lekarzy, 12 profesorów u-
niwersyteckich.

Ludzie ci — oprócz 448 osób
przemieszczonych do obozu w
Pawliszewie, a następnie Gra-
zowcu — zaginęli. Nie wiemy
nic o ich losach od czasu kie-
dy to rodziny utraciły z nimi
kontakt korespondencyjny.
Próby odnajdywania oficerów
— jakże potrzebnych polskiej
armii, formowanej na terenie
ZSRR po wybuchu wojny nie-
miecko-radzieckiej i podpisa-
niu układu Sikorski-Majski —
nie przyniosły oczekiwanych
rezultatów. (...)

Zwłoki (w Katyniu — E.L.)
spoczywały we wspólnych mo-
gilkach. Oficerowie zginęli od
strzałów w tył głowy, dokonu-
wanych z broni pochodzenia
niemieckiego. Wszyscy przeby-
wali poprzednio w obozie w
Kozelsku. W Katyniu nie zna-
lezione prochów żadnego spo-
śród 3900 Polaków internowa-
nych w Starobielsku i 6500 w
Ostaszkowie”.

Tadeusz Filipkowski przypo-
mina, że nad wyjaśnieniem
sprawy pracuje wspólna komi-
sja radziecko-polska. Ale na-
leży sięgnąć również do pa-
mięci ludzi. Najprawdopodob-
niej jeszcze tacy żyją, którzy
coś wiedzą. Może teraz się
odezwą.

Autor cytuje fragment pa-
miętnika Zofii Filipkowskiej
(wówczas „prowiantowej kon-
sumy Politechnicznego Instytu-
ta w gorodzie Lwow”), która
widziała oficerów polskich w
„sowieckiej niewoli” pracują-
cych przy drodze. Ale nie po-
daje daty i miejsca obserwacji.
„Szosa zawalona była ludź-
mi. Mieli długie wojskowe pla-
szcze, oficerskie czapki — ro-
gatyki i kilofy w rękach,
którymi tłuśli przydrożne ka-
mienię. Twarze mężczyzn
zgnębione, poszarzałe, smutne.
Kilometrów przybywało na li-
czniku samochodu a przy dro-
dze wciąż pracowali polscy
żołnierze”.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

Prof. JAN SZCZEPAŃSKI — socjolog,
członek Rady Konsultacyjnej przy
przewodniczącym Rady Państwa.

Pewnie chciałby pan usłyszeć o rozmowach z Wałęsą, w któ-
rych brałem udział, ale ja powiem może inaczej: pilne zobowią-
zania pisarskie powodują, że patrzę krzywo na wszystko, co mi
przeszkadza w ich realizacji.

Przeglądając się minionemu tygodniowi trudno jednak pominąć
spotkanie gen. Kiszczaka z Lechem Wałęsą. Bywałem na spotka-
niach Rady Konsultacyjnej, które trwały po 12 godzin. To było
stosunkowo krótkie; zebranie z Wałęsą trwało 6 godzin. Nastę-
po, jak to określili gazety, zbliżenie stanowisk, a to dlatego, że
żadna ze stron nie ma innego wyjścia niż dogadać się ze sobą.

To zebranie, dla społeczeństwa, dla państwa było bardzo waż-
ne. Porozumienie się rysuje, ale ważniejsze jest coś innego. Naj-
ważniejsze będzie to, co się stanie wewnątrz partii, w rządzie,
bo od tego zależy przyszłość Polski. A co się stanie? — to pytanie,
na które nie ma jeszcze odpowiedzi.

FRANCISZEK STAROWIEYSKI — artysta grafik,
rysownik, scenograf

Najważniejszy dla mnie w ubiegłym tygodniu był udział w ju-
ry „Arsenalu”, wielkiego przeglądu młodej sztuki polskiej. Moja
opinia o tej prezentacji jest taka: nareszcie coś się w polskiej
sztuce dzieje. Bo trzeba pamiętać, że jakiegokolwiek zmiany za-
czynają się właśnie w sztuce, a później dopiero w polityce, eko-
nomii, itd. Bowiem sztuka daje ducha, który jest dla człowieka
napędem do wszelkiego działania.

A w polityce międzynarodowej? Obserwując uważnie przemia-
ny zachodzące w bloku wschodnim, a osobliwie w ZSRR, nie
można nie dojść do wniosku, że to, co się tam dzisiaj dzieje, za-
początkowała Polska. Tam jednak wszystko idzie na wielką ska-
łę, bo to ogromny kraj. Oni są teraz w naszym 80 roku, tylko
spokojniej.

W kraju, oczywiście „okrągły stół”. Trudno jednak, podsumo-
wując niedawne wydarzenia: strajki, protesty, itd., oprzeć się
wrażeniu, że już rozmawiają dwie generacje wczorajsze. To jest
bardzo ważne, te rozmowy, ale o osiem lat za późno.

MAREK MILLER — dziennikarz.

W minionym tygodniu, tak jak w poprzednich, biegałem rano
po parku Poniałowskiego. W tym parku, po pierwsze, śmierdzi.
Prawdopodobnie z rzęzi. Po drugie: cały czas alejki są rozgrze-
bane, ale nigdy nie widziałem parku zrobionego. Do tego docho-
dzi działalność pospolitych wandalów: połowa lamp jest porzucana
od lat — tworząc ponury obraz śródmiejskiego skweru. Nie mo-
gę pozbýć się wrażenia, że park przypomina mi dżunglę, z którą
ci, co się nim zajmują, nie mogą sobie poradzić, że to przeraża
ich możliwości. Trzeba ogrodzić ten park i brać opłaty za wstęp,
żeby w niedzielę grała orkiestra i był kłósk z parówkami, a zima
funkcjonowało lodowisko. Trzeba zagradzać. 40 lat żem się
rozgrzał, teraz należy grodzić, żeby było moje, prywatne, bo
tam natychmiast się rodzi, daje płon. Przykład: na Radogoszczu
jest osiedle tzw. segmentów: budują je prywatni ludzie, czyste
tam i estetycznie. Obok osiedle bloków: koparki nie mogą na-
porządkować terenu — burdel i balagan. Gółym okiem widać, że
gdzie prywatnie, tam ładnie, kolorowo i czysto.

Nie wierzę w żadną reformę, dopóki wchodzi do „Centralu”
po bułki widzę, że na 7—8 kas i ołbrzymie kolejki, 3—4 są za-
wsze nieczynne. Nie interesuje mnie, dlaczego są one nieczynne
Muszą być czynne.

Ołbrzymie podziemie na Manhattanie pod moim domem jest od
5 lat puste, bezużyteczne. W pomieszczeniu na parterze stoją
rzedzie zakurzone segregatory i nikt tam nie wchodzi od lat Lu-
dzie, to jakby na 5 Alei w Nowym Jorku stały puste lokale. Ich
na to nie stać.

Traktuję to miasto, będąc jego mieszkańcem, jak swoją włas-
ność. Przejeżdżając kiedys „Central”, park Poniałowskiego, bo wszy-
stko jest przecież możliwe. Jeżeli teraz dyr. „Centralu”, czy dyr.
parku zechcą zostać u mnie, to niech się wezmą do roboty, niech
zaczynają się ze mną liczyć. Powoli sytuacja, która tutaj istnieje
sprawia, że jest mi wszystko jedno. A człowiek, który nie ma
nie do stracenia jest pięknie silny. Ja wydaję swoją prywatną
wojnę temu, co mnie drażni.

W ogólności bowiem brakuje nam wewnętrznej samokontroli,
czujności. Należy propagować hasło: wymagaj od siebie, nawet
jeśli nikt już od ciebie niczego nie wymaga.

Notował: MAREK KOPROWSKI

W najbliższych „Odgłosach”

— Funkcjonariusze bardzo grzecznie poprosili Jana Ducha o mał-
żonkę o półście za nim. Jeden z opiekunów bierze Georgię
delikatnie pod ramię i wyprowadza do pokoju. Jan Duch au-
tomatycznie rusza za nimi, ale drugi opiekun ujmując z kolei
jego pod ramię i z grzecznym uśmiechem wskazuje następne
drzwi — najnowsza książka ANDRZEJA BRYCHTA pt. „Aryl
polityczny”.

— Widziałem w RFN młodych Polaków jak kopali ziemię w wy-
kopach, nad którymi stał w rozroku Niemiec i nadzorował
ich pracę. Dla mnie to było przerażające skojarzenie. Przez
dwa tygodnie nie mogłem spokojnie spać. Myśm z Niemiec
uciekali z narażeniem życia od tych w rozroku stojących
Niemców, którzy nas nadzorowali, a oni tam jadą dobrowol-
nie... — mówi WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI.

— Rywał mieszka w hotelu. Elegancem, wytwornym. Zaleskiego
przyjmuje, mimo południa, w łóżku. Nawet się nie tłumaczy,
nie przeprasza. Uważnie wysłuchuje tego, co ma do powiedze-
nia zdradzoną mał. W odpowiedzi wybuchła śmiechem — frag-
ment biograficznej powieści CEZAREGO LEŻENSKIEGO o
Edwardzie Rydzu-Śmigłym.

— Powiększył się obszar seksowności w społeczeństwie. Przez
cienkie sukienki prześwitują uwolnione piersi, wyraźnie zana-
cają się zarysy majtek i kształty pośladków. Niemal na każ-
dym kroku mężczyźni są dziś prowokowani seksualnie — pi-
se MROSLAWA BARBINKA.

— Największe kłopoty wychowawcze sprawia młodzież samo-
dzielna, wpadająca w okres dojrzewania w konflikty z ro-
dzicami i otoczeniem, ale ta młodzież jest zdrowsza moralnie
i bezpieczniejsza, bo mniej narażona na demoralizację. Naj-
bardziej podatni są ci, spokojni, bez własnej wizji życia, wro-
żeci i posłuszni — mówi psycholog WOJCIECH WOJTO-
WICZ.

— Kiedy podczas egldzin terenu kierowca przypadkowo wyla-
żką światła, wszyscy zniechęceni. Każdemu wydawało się,
że ziemia ledwo obrysowuje mu stopy i już centymetr dalej
otwiera się absolutna pustka — reportaż RYSZARDA NAKO-
NIECZNEGO z Peru.

Początki reformatorskiej woli państwowych nigdy nie miały samych tylko zwolenników, zawsze bowiem istnieją, jak można sądzić, środowiska i grupy społeczne, w których interesy reforma godzi. Ale nawet i ci, co na reformie mają szansę zyskać, często nie są tego świadomi, ulegają bowiem bądź to naciskom okoliczności doraźnych, bądź zastarzającym stereotypom myślowym, podtrzymanym przez koła antyreformatorskie. Niezwykle pouczającym przykładem tego, jak stan umysłów społeczeństwa może hamować reformatorskie zamiary była sprawa przedwojennej reformy rolnej, wprowadzanej przez grupę działaczy państwowych, której przewodził minister rolnictwa — Janusz Poniatowski. Rozpętano wokół tej sprawy istną burzę sprzeciwów i protestów w imię rzekomego dobra Rzeczypospolitej, a jednym z niewielu głosów rozsądku, przeciwstawiających się nastrojom zakłamania i zacietrzewienia był tom publicystyczny Marii Dąbrowskiej pt. „Rozdroże”.

Przypomnijmy, że projekt reformy był całkiem umiarkowany i przewidywał parcelację niewielkiej części obszarów majątków, dopuszczając bezpośrednie transakcje kupna-sprzedaży pomiędzy chłopami a wielkimi właścicielami ziemskimi, przewidując w ostateczności przymusowe pośrednictwo ministerstwa, gwarantujące korzystne warunki dla sprzedającego.

A działo się to w sytuacji ogromnego przebudzenia i nędzy wsi polskiej, na której żyło, jak szacowano, cztery miliony zubożonych paraków do pracy, zubożonych z punktu widzenia produkcji rolnej, a nie mogących liczyć na zatrudnienie w miastach, które miały dość swoich bezrobotnych.

Wywodząca się z podupadłej rodziny ziemianki Maria Dąbrowska, córka administratora obszarów majątków w Kaliskiem, Józefa Szumskiego (pierwotnie Niechcica z niedawno przedtem opublikowanych „Nocy i dni”) i pisarka znaną już sławy i zaszczytów, nie związana formalnie z żadnym stronnictwem politycznym, interesowała się od czasu swoich studiów problemami rolnictwa, a w szczególności szeroko ujmowanej spółdzielczości wiejskiej, obejmującej również zagadnienia przetrwania i zbytu. Były to idee nieobecne pewnym kołom rządowym z kręgu tzw. lewicy legionowej, stanowczo natomiast odrzucające przez lewicę rewolucyjną, jako zbyt mało radykalne, w porównaniu z koncepcjami kolektywizacji.

Reforma popierana była przez ludowców, choć nie wszystkich zadowalała, gdyż stanowiła regres w porównaniu z projektami lubelskiego rządu Ignacego Daszyńskiego z 7 listopada 1918 r. Niewielu też działaczy i publicystów niechętnych, i to nawet liberalnych (o prawicowych nie wspominając) opowiadało się za koniecznością reformy, widząc w uszczupleniu wielkiej własności ziemskiej zarówno krzywdę wyrządzaną zasługom historycznym tej warstwy, jak i niekorzystne dla kraju posunięcie ekonomiczne. Z tymi właśnie dwiema kategoriami poglądów podjęła pisarka polemikę, dzieląc zgodnie z tym swoją książkę na części zatytułowane „Wczoraj” i „Dzisiaj”. Sądzę, że dla zilustrowania poglądów Marii Dąbrowskiej najkorzystniejszą będzie posłużenie się cytacjami z książki, zwłaszcza iż zawierają one niejedną sędzią i dziś godny zastanowienia, być może przydatny dla dokonujących się obecnie przewrótów.

Oceniając wystąpienia licznych i zarazem zacietrzewionych przeciwników reformy pisarka stwierdza w ślad za Władysławem Grabskim, autorem cenionej przez nią książki „Idea Polski”, że „zresztą człowiekiem o podobnie umiarkowanych poglądach politycznych, iż „Polskę współczesną przenika stanowiący duch szlachetczyzny”, dodając od siebie, że „prawda życia jest bardziej alarmująca niż sądy o niej Grabskiego”.

Mit przelanej krwi.

Powołując się na historię Stanisława Smoleka pisze Maria Dąbrowska, że to nieprawda, iż szlachetny-rycerz był wyłącznym obrońcą ojczyzny (a właśnie na „zasługi przelanej krwi” powoływały się obrońcy ziemiankich majątków). Historia stwierdza jednoznacznie, że „nie pogardzono stwardem gorzej uzbrojonych tarczowników z chłopstwa (...) nie mówiąc o służbie obozowej i o tym, że w czasach pokój chłopi stanowili załogi zamków, utrzymywali fortyfikacje w należytym stanie (...) dostarczali zaprzęgów oraz podwód, żywności i wojsko”. Przypomina też autorka cytując Korzoną, że „za Kazimierza Wielkiego pierwsze oficjalne wspólne ruszenie nie było wyłącznie szlacheckie, lecz ogólnonarodowe”. Potem dopiero, od XV w., gdy rozwijała się gospodarka pańszczyzniana, wyłączała chłopów spod prawa państwowego, zaczęła zanikać powszechna służba wojenna chłopów, ponieważ stanowili oni źródło największego dochodu szlachty.

Nam, czytelnikom „Trylogii” Henryka Sienkiewicza, którzy co nieco wiemy o używaniu przez Rzeczypospolitą wojsk obcego autoramentu, chyba jednak rzadko przychodzi do głowy, że „już Jagiellońskie, nie mówiąc o polach na szlacheckim pospolitym ruszeniu, zaczęli posługiwać się cudzoziemskim wojskiem zaciętnym (...) Wszystką szlachtę powołał ostatni raz Jan Olbracht, a później stawała pod broń jedynie ziemiami bezpośrednio zagrożonymi, Batory wojował tylko wojskiem cudzoziemskim i chłopstwem”. Niejako na marginesie tych faktów zauważa Maria Dąbrowska złośliwie: „historia nie przekazała nam wiadomości, by to chłopstwa piechota uciekała”. Młara, niesprawiedliwość, że „za swą daninę krwi chłopcy nie nie uzyskali oprócz uznanego się ucisku, szlachta natomiast przed przystąpieniem do wojny wymuszała na królach nowe przywileje, czyli sprzedawała się za „cenę krwi niewolnej”, gdyż z przywilejów korzystała i ta część szlachty, co na wojnę nie poszła”.

Za Bogdanem Baranowskim pisarka podaje, że „swoje nieograniczonej władzy nad chłopem szlachta używała blisko przez cztery wieki,

uchwalając ok. 60 konstytucji o zbiegłych kmięciach. W czasach natomiast Królestwa Warszawskiego doszły do tego jeszcze rugi chłopstwa dla powiększenia szlacheckiej własności ziemskiej”. Inaczej mówiąc, zauważa Dąbrowska, „święte prawo własności było nienaruszalne zawsze tylko w stosunku do jednej warstwy”. Nie bez ironii konstatuje też autorka, że dopiero na emigracji, po powstaniu listopadowym, ogół wyzutek z majątku byłych ziemian stał się zwolennikiem reform, ale na ogół postawa szlachty przedstawiała się tak, jak ją określił w swoich pamiętnikach Kazimierz Deczyński (na których kanwie osnuł Leon Kruczkowski akcję „Kordiana i chłama”). Pisał Deczyński, że „każdy szlachcic polski woli stracić połowę swojego majątku jakimkolwiek bądź sposobem, niżeli pozwolić na to, żeby chłop w jego wsi od odzyskania pańszczyzny wolnym być mógł”, co uzupełnia Maria Dąbrowska swoim komentarzem, opartym z pewnością po części na jej własnych obserwacjach, pisząc o polskim szlachcicu, że „tracił świętą i umiłowaną ziemię ojców na karty, hulanki, fantazje (...) Dla jednego tylko celu nigdy nie chciał oddać ani piędzi gruntu — dla chłopca, sedna ojczyzny i narodu”.

Polemika sprzed półwiecza

Maria Dąbrowska o reformie

JERZY KWIECIŃSKI

Można by tu polemizować z autorką, wspomnieć o tych spośród szlachty — którzy przystąpili do wyznania arabskiego („Braci Polskich”) oddawali ziemię chłopom, ale było to jednostki, a ponadto szlachta ustanawiała kary na tych spomiędzy siebie, którzy w ten czy inny sposób usiłowali swoim chłopom pomóc.

W wielowiekowych egoistycznych działaniach ziemianstwa polskiego upatruje Maria Dąbrowska przyczynę ogólnego współczesnych bolączek społeczno-gospodarczych, szlachta bowiem przez zakazywanie chłopom opuszczania wsi (ustawy o zbiegostwie), uniemożliwiała tym samym osiedlanie się chłopów w miastach (których część była zresztą we władaniu szlachty), a więc pośrednio nie dopuściła szlachty do rozwoju polskiego mieszczaństwa, utrzymując jednocześnie przeludnienie i spoletyzowanie wsi. Również egoizm szlachecki obwinia autorka za rozwijającą się niechęć mniejszości narodowych kresów wschodnich do Rzeczypospolitej. Co do Galicji, to przypomina autorka, iż szlachecki sejm bronił się (pod berłem austriackim) przed polską oświatą ludową. Jak pisał w końcu ub. stulecia konserwatywny poseł Paweł Popiel, w duchu obłudnie humanitarnym: „Przymus szkolny to potwórność”. Nie dziwne więc, że w tej samej monarchii austro-węgierskiej, wolne od wpływów szlacheckich Czechy miały w przededniu I wojny światowej 4 proc. analfabetów, gdy Galicja 67 proc.

Podsumowując wnioski swoich rozważań na temat roli szlachty polskiej w historii narodu i państwa, konkluduje pisarka, że „ogół szlachty ziemiankiej nie wykazał w ciągu dzieł dostatecznej kwalifikacji do właściwego zarządzania i organizowania stosunków na wsi”, lecz walczył z całą bezwzględnością o utrzymanie swej gospodarczej i politycznej dominacji.

Zawiedziona nadzieja.

W drugiej części książki, odnoszącej się do stosunków współczesnych stwierdza Maria Dąbrowska na wstępie, iż „w Polsce niepodległej żadne z trwających jej życie zagadnień — poza kwestią armii — nie zostało jeszcze w pomysłny sposób rozwiązane (...) Zwłaszcza dotyczyło zagadnienia wsi”. Przyczynę tego stanu upatruje autorka w samym zaraniu odradzającej się państwowości, pisze bowiem, mając jednoznacznie na myśli lubelski rząd Ignacego Daszyńskiego: „z nastaniem Polski niepodległej ziemianie wraz z finansjerą, przemysłem i kupiectwem przeciwstawili się naszemu pierwszemu rządowi tylko dlatego, że zapowiadali się jako demokratyczny. I przeciwstawili mu się z siłą woli, jakiej nigdy nie ujawnili tak masowo i solidarnie wobec żadnego z rządów zaborczych lub okupacyjnych”.

Sejm z 1919 r. — przypomina autorka — powziął uchwałę o reformie rolnej „najmniejszą większość głosów, jaka była przewidziana”. Wprawdzie bardziej zdecydowaną większość sejmowa uzyskał projekt reformy rolnej w 1920 r., ale był to akurat moment, kiedy w toczącej się wojnie polsko-radzieckiej nastąpił niekorzystny dla Polski zwrot w sytuacji wojennej (na progu lata) i trzeba było porzucić dla burżuazyjnego państwa masę ludową.

Nie ukrywa też pisarka zawodu, jaki przeżyli ludzie wiążący pewne nadzieje na reformowanie życia społeczno-gospodarczego z przewrotem majowym (1926) Józefa Piłsudskiego, dawnego bądź co bądź uczestnika ruchu socjalistycznego.

„Myśl rozbić dotychczasowych grup społecznych, aby zjednoczyć je pod nadzorem państwa, aby państwo w praktyce przeistoczyła się, niestety, w oparcie systemu rządów na warstwach uprzywilejowanych i posiadających (...) tekturę ministra rolnictwa zaczęto w tym właśnie czasie obsadzać ziemianami (dotychczas ludowcami — przyp. J.K.) nie tylko przeciwnymi reformie rolnej, ale dawnymi przeciwnikami walki o niepodległość, upodowieniami wobec rządów zaborczych i w tym również czasie chłopskich przedstawicieli usuwano stopniowo z udziału w rządach i Sejmie, a nawet w gminie i powiecie, więc zaś, i tak zdrażoną kryzysem, oddano na pastwę sępiestratorów, komorników i policji”.

Toteż w konsekwencji po 1930 r. niemal zupełnie zaprzestano wykonywania postanowień o reformie rolnej, dotychczas „jakoś jednak zółwim krokiem się posuwającej”.

Ale wreszcie rząd, zaniepokojony narastaniem niepokoju społecznego i nawet masowych, krwawych starć z chłopami, poczuł się zmuszony wznowić wykonywanie reformy, a licząc hektarów przeznaczoną do parcelacji ustalił na 120 tys. rocznie (gdy ustawa przewidywała 200 tys. ha). I właśnie to wznowienie zamierzanej akcji parcelacyjnej, połączone z publikowaniem imiennych list ziemian, którzy od wykonywania ustawy się uchylają, wywołało niezwykle gwałtowny, niespotykany sprzeciw nie tylko środowisk ziemiankich, ale całego obozu konserwatywnego. Zresztą i w łonie kół rządowych poczymania reformatorów (którym przewodził ówczesny Janusz Poniatowski, działacz PSL „Wyzwolenie”) ludzie wywodzący się ze środowiska „lewicy pilsudczykowskiej”, cechującej się znacznym idealizmem społecznym, zaczęły napotykać na rosące przeciwdziałania. Wyłoniony z dawnego BBWR Obóz Zjednoczenia Narodowego OZON zaczął zbliznąć się ideowo do za-



chowania społecznie Stronnictwa Narodowego, dotychczas wrogiemu rządowi tzw. sanacji.

Masowa kampania prasowa demagogii i oszczerstw pod adresem reformatorów prowadzona była zdaniem Marii Dąbrowskiej w sposób nierzetelny i świadczący o nikłym rozeznaniu w problematyce wsi. Autorka książki podaje argumenty przeciwników reformy rzeczowej i skrupulatnie analizuje. Sama zresztą ma za sobą zagraniczne studia rolnicze i długoletnią działalność w ruchu spółdzielczym.

Wielkie czy małe.

Przeciwnicy reformy usiłowali wykazać, że zarówno gospodarstwo wielkochłopskie (zresztą tolerowane przez obóz ziemianki), jak zwłaszcza drobne, czyli tzw. karłowate, powstające często wskutek parcelowania ziemi obszarniczej między bezrolnymi, są mniej efektywne ekonomicznie i nie zapewniają wyżywienia kraju. Z tym wyzywieniem, jak wiadomo, sytuacja była niemal katastrofalna, co autorka niejednokrotnie stwierdza, chociaż wcale raczej o porównaniu możliwości gospodarki chłopskiej i obszarniczej.

Autorka nie kwestionuje faktu, iż gospodarstwa wielkochłopskie stoją w Polsce „na szarym końcu”, tłumaczy to jednak tym, że „potrzeby życiowe mało- i półmoralnego chłopca są mniej więcej na tym samym, bardzo jeszcze niskim poziomie, zatem bodźce do lepszego wykorzystania dużego gospodarstwa są niewystarczające. I to się jednak musi zmienić w miarę wzrostu kultury”. Co ciekawe, Maria Dąbrowska widzi szansę rolnictwa polskiego właśnie w intensyfikacji produkcji w gospodarstwach małych, obywateli się bez siły najmniejszej, podając za przykład szeregi krajów Europy Zachodniej, o pierających rozwój rolnictwa głównie na popieraniu małych gospodarstw chłopskich. Ostro natomiast krytykuje, wychwalając przez polską prawnicę społeczną, politykę rolną III Rzeszy, opartą na reformie ministra Darrego, zakazującej podziału ziemi.

Ale najbardziej znamienne w stanowisku Marii Dąbrowskiej wydaje mi się, że nie izoluje ona zagadnień reformy rolnej od całokształtu stosunków gospodarczych w Polsce: „sama tylko parcelacja bolączek wiejskich nie rozstrzygnie, o ile nie będzie połączona bardzo wybitnie z ożywieniem życia przemysłowo-handlowego”. W przeciwnym bowiem razie „w kraju będą panowały nadal nędza, bezrobocie i zastój”. Stąd właśnie jej rozgoryczenie w stosunku do obozu rządowego, który wbrew obietnicom przeprowadzenia „sanacji”, czyli uzdrowienia stosunków społeczno-politycznych, wrócił się „nie ku chłatom i robotniczym izdom, więc nie ku ogromnej większości narodu, lecz ku pałacom”. Autorka zastanawiając się, dlaczego zawiodła idea zjednoczenia narodu, pisze co następuje:

„Możliwe, że jak długo nie będą przeprowad-

zione daleko idące przekształcenia w sensie wyrównywania niebotycznych przepaści w podziale dochodu społecznego, każde hasło zjednoczenia będzie się zawsze okazywało zjednoczeniem na korzyść uprzywilejowanych”.

Ośmielam się sądzić, że ważność tej myśli nie dezaktualizuje się w żadnej sytuacji zjednoczeniowej i warta jest refleksji nawet dzisiaj.

W szerokim przeglądzie najważniejszych problemów mających powiązania z zagadnieniami ówczesnej wsi autorka nie pomija rozpalającej nacjonalistyczne namiętności tzw. kwestii żydowskiej:

„Należy ubolewać, że kwestię stworzenia polskiego handlu i przemysłu zredukowano u nas do idealu sklepiu polskiego na miejsce żydowskiego (...) robi się tylko propagandę straganu, jako jedynej formy nierolniczego zatrudnienia ludności wiejskiej, podając tym samym w tak dobrze zapowiadającą się spółdzielczość wsi” (chodzi o ówczesny ruch „społemowski” — przyp. J.K.). Uznając przy tym niezbędność rozwoju przemysłu pracującego na rzecz potrzeb wsi uważa ona, iż na tak wielkie inwestycje stać przede wszystkim państwo, które jednak dało „ustraszający obraz nieracjonalności młotów inwestycji”.

Autorka nie będąca zwolenniczką wywłaszczenia ziemian, ani kolektywizacji wsi, zastanawia się nad najwłaściwszą polityką wobec ziemianstwa, która przyniosłaby największe korzyści gospodarce narodowej i sądzi, że „najbardziej uprawnioną i pozytywną formą odszkodowania za parcelację byłoby poparcie przez państwo kultur specjalnych i działalności przetwórczo-handlowej ziemian”, którzy zresztą, jak pisze w innym miejscu, idą najłatwiejszą drogą przekształcania swoich dworów w pensjonaty dla letników.

Półwiecza też Maria Dąbrowska uważa parcelację własności obszarniczej na kresach wschodnich, gdzie znajdowały się największe magnackie latyfundia, a ludność wiejska stanowiła głównie Ukrainę lub Białorusin. Opinia konserwatywna chce grać na uczuciach patriotycznych, podnosi alarm, że ziemia parcelowana trafia wskutek tego w znacznej części do ukraińskich czy białoruskich chłopów. Niezależnie od tego, że w tej propagandzie było dużo przesady, władza przesiadywała bowiem na kresy i obdziałała ziemią polskich osadników wojskowych z centralnej i zachodniej Polski, autorka zadaje złośliwe pytanie: „dlaczego ziemianie, którzy sami, bywało, sprzedawali swe grunty Ukraincom, Żydom czy (pod zaborami!) nawet pod zaborami! Rosjanom, pibrując w imię nienaruszalności polskiego stanu posiadania? (...) Pragnienia tamtejszej ludności muszą być zaspokajane w najszerszej mierze i w taki sposób, który związany był z państwem polskim”. Nie należy jednak według Marii Dąbrowskiej „utożsamiać latyfundiów i wielkich majątków z polską racją stanu”.

Pisarka w sposób namiętny i bezlitosny piętnuje konserwatywnych publicystów, gdy nawołują, w interesie ziemian „o zaniechanie nienawiści” i odpowiada na to, że „nienawiść społeczną ślady i hodowali przez wieki warstwy posiadające i uprzywilejowane (...) i tylko uprzytomniwszy sobie tę prawdę okrutną możemy nienawiść wypłenić z naszego życia i z korzeniami”. To zaś nie nastąpi, gdy rozprawą prowadzą dziennikarze nie pamiętający historii, a o dobry efekt publicystyczny dbali często więcej niż o skutki, jaki mogą sprawić w życiu ich nie zawsze odpowiedzialne harce”.

Wydaje mi się, że „Rozdroże” Marii Dąbrowskiej, które wywołało w swoim czasie głośny odzew (a m.in. spowodowało nagłe odwrócenie się od niej ziemianko-niechętnego środowiska czytelników, bez pozyskania sobie przez nią zwolenników w kołach radykalnej lewicy) jest dziś niezwykle cennym dokumentem stanu umysłów w przedwojennej Polsce, ale także cennym źródłem informacji o samym, meritum sporów wokół reformy rolnej, jakby zapomnianych przez popularyzatorów historii międzywojennego dwudziestolecia.

Poza wszystkim jest to dzieło, które w długim ciągu historycznym polskiej myśli społecznej i obywatelskiej stanowi przykład poczucia odpowiedzialności i odwagi, a także wyjątkowo śmiałego wybiegania w przyszłość, że przyszłość, która stała się naszą teraźniejszością, bynajmniej nie wolna od poruszanych przez pisarkę problemów.

No i jest to Maria Dąbrowska inna niż chęliłby ją widzieć bezkrytyczni chwalczy czasów minionych. Sprawila im dotkliwy zawód swoim, po części już potwierdzonymi, przewidywaniami przyszłego rozwoju: „zbyt wielkie prywatna własność nie ma już prawie nigdy żadnych widoków przetrwania (...) Wiele przemawia za tym, że w świecie jutrzejszym środki produkcji będą należały częściowo do państwa, częściowo do związków samorządowych, do spółdzielczych zrzeszeń spożywców i do drobnych producentów, połączonych w kooperatywy zbytu i kredytu, albo przetwórcze. W związku z tym zmienia się też uszereżenie pojęcia tego, co będzie w przyszłości uważane za świętą i nieetykalną własność”.

Uważam, że wielką krzywdę pamięci wielkiej pisarki wyrządzono zacieraając po obu stronach ideologiczno-politycznej barykady prawdę o jej poglądach na sprawy kraju, a tom tak znakomicie publicystyki jak „Rozdroże” skazując na niemal zupełną niegamięć. Należy mu się więc choćby publicystyczne przypomnienie.

Pogrzeb Nikity Chruszczowa

Oficjalny komunikat o śmierci Chruszczowa został opublikowany dopiero w dniu pogrzebu...

W pochmurny wrześniowy ranek 1971 roku wraz z żoną pojechałem na Cmentarz Nowodzieżycki. Wprawdzie prasa nie poinformowała o miejscu i terminie pogrzebu, ale uzyskaliśmy taką informację. Gdy podchodziliśmy do cmentarza, zdmiała nas wielka liczba żołnierzy. Dziesięć ciężarówek nabitych wojskiem stało przy bramie, oficerowie biegając, krzycząc do mikrofonów: „Trzynasty, jak mnie słyszysz? Ja Pierwszy! Odbiór” itd. Wyglądało to jakby dzielnica była pod okupacją albo jakby wojsko zbierało się do wymarszu na wojnę. Wokół cmentarza rozmieszczono kilka kordonów: milicyjnych, wojsk MSW i cywilnych. Przy zewnętrznych kordonach gromadzili się ludzie, których nie wpuszczano dalej. Co jakiś czas ktoś z nich próbował ominąć kordon, ale dość brutalnie odpychano go. Podszedłem i spytałem najbliższego oficera: „Kto u was do wrości?” Pokazał mi niemłodego już pułkownika milicji. Zbliżyłem się i rzekłem: „Ja i moja żona jesteśmy znajomymi Rady Nikiticznej (córka Chruszczowa — przyp. red.) i byłoby dziwne, gdybyśmy w taki dzień nie byli przy niej”. Zapytał: „Naprawdę są państwo jej znajomymi?” „Tak, oczywiście”. „To cóż, proszę przechodzić”. Przeszliśmy, przy czym niespodziewanie udało nam się minąć kilka kordonów. Przy ostatnim zwróciłem się do najbliższego stojącego w nim człowieka z prośbą, by nas przepuścił. „Nie przepuszczę” — przerwał mi. Rozłożyłem się: „Jak to, nie wie pan kim jestem i dlaczego muszę przejść, nawet mnie pan nie wysłuchał”. A on: „Jest mi to obojętne, i tak pana nie przepuszczę”. „Włec nie wie pan kim jestem, za to ja teraz doskonale widzę kim pan jest” — odrzekłem. Nieoczekiwanie usmiechnął się i burknął: „No cóż, proszę przejść”.

Znaleźliśmy się przed zamkniętą na głucho żelazną bramą (...). Obok na murze wisiała kartka z napisem CMENTARZ NIECZYNNY. DZIEŃ SANITARNY. Co chwila jakiś zagraniczny korespondent stuknął do furtki i wykrzykiwał nazwę swego pisma. Wpuszczano go, po czym furtka znów zamykała się. Przy bramie było z 15 osób takich, jak ja z żoną (...). Przeszliśmy przepuszczając korespondentów. Ci krzyczeli, ale nie ustępowaliśmy. Przybiegli jakiś generał, pytając co to za hałas. Ktoś odpowiedział: „Jak to, przyszliśmy na pogrzeb, a nie wpuszczają nas”. Generał zastukał w furtkę. Gdy otwarto, rozkazał: „Natychmiast wszystkich wpuścić”.

Ludzi było niebawem. Około 60 korespondentów, chyba tylko zagranicznych (...). Terkotali kamery, pstrykały aparaty fotograficzne, rozlegały się wielogłośnie, niezwykłe na cmentarzu szum. Poza tym było ze 200 osób, a wśród nich kilkoro przyjaciół i znajomych. Na twarzach wielu ludzi widać było, że wiele wycierpieli. Myśle, że byli to w przeszłości represjonowani. Wśród nich zauważyliśmy m. in. siostrę komandora Jakira — Belle Emaniłownę.

Siedemdziesięciosiedmioletni Nikita Siergiejewicz leżał w trumnie otoczonej wieńcami i kwiatami. Z przodu leżały poduszeczki z oznaczeniami. Jego twarz była tak pełna wyrazu i spokoju, jak kiedyś w gazetkach, kinie i telewizji (...). Zdawało się, że wyrażała jakąś ważną myśl, która jednak miała pozostać jego tajemnicą. Obok stała rodzina, m. in. żona Chruszczowa, Nina Pietrowna. Była w szarym palcie, na głowie miała czarną, koronkową chustę. Jej twarz, prosta i szczerą, przyciągała uwagę, była młoda od leż. Obok stała Rada Nikityczna, spoglądająca nieobecnym wzrokiem. Wyglądała na przemarniętą. Przy niej był wysoki mężczyzna, bardzo podobny do matki i ojca: jasne było, że to Siergiej Nikitowicz Chruszczow. Był też Aleksiej Adżubiej (zięć Chruszczowa, mąż Rady — przyp. red.) z jego ładną, trochę oburwiałą, o skrytym wyrazie twarzy.

Przemówił jakiś człowiek. Z powodu szumu kamer i bezceremonialnych rozmów reporterów, nie słyszałem jego słów, ale udało mi się podejść bliżej. Potem wystąpił Siergiej Nikitowicz. Jego słowa, a mówił bez mikrofonu, słyszałem znów tylko częściowo. Powiedział, że jego ojciec przez wiele lat zajmował wysokie stanowiska partyjne i państwowe. Ocena jego działalności należy do historii. On zaś może powiedzieć, że Nikita Siergiejewicz żył dla ludzi dobrze i był „wspaniałym, kochającym mężem i ojcem”. Później przemówiła stara kobieta dobrze było ją słyszeć, mimo że mówiła cicho. „Pracowałam z Nikitą Siergiejewiczem od 1926 roku i była to udana współpraca. W 1937 została aresztowana, trzymano mnie w więzieniu, a potem w obozie i dopiero po XX Zjeździe uolniono i zrehabilitowano. W imieniu milionów ludzi, niewinnie zamęczonych w obozach i więzieniach, którym ty, Nikito Siergiejewiczu, przywróciłeś dobre imię, w imieniu ich bliskich i przyjaciół, w imieniu setek tysięcy, których uwolniłeś z więzień — wyrażam ci naszą wdzięczność i niśko ci się klaniam. Wiem, ile męstwa i odwagi trzeba było dla przywrócenia sprawiedliwości. Będziemy o tym pamiętać do końca życia, opowiemy dzieciom i wnukom”. Potem nadzorca w cywilu (ale widać było, że to wojskowy) polecił: „Proszę pożegnać się ze zmarłym. Ale szybko, proszę nie zatrzymywać się”. Obecni przeszli wokół trumny, poganiiani przez stojących wokół „stróżów porządku”. Na jednym z wleńców zauważyłem szarfatę z napisem NIKITIE SIERGIEJEWICZOWI CHRUSZCZOWOWI OD A. I. MIKOJANA. Wtedy znów odepchnęli nas korespondenci. Wkrótce potem zauważyłem, jak trumna zostaje pospiesznie opuszczona do grobu. Nie zdążyłem przysiąc jej ziemi, gdy przebrzmiał hymn, a nadzorca ni to poprosił, ni to rozkazał: „A teraz proszę rozchodzić się”. Ale nikt go nie słuchał.

Zaczęło padać. Po jakimś czasie Nina Pietrowna zrobiła się słabo, zachwiała się. Podtrzymał ją Siergiej. Wezwano samochód, który podjechał pod sam grób. Nina Pietrowna posadziła w środku — odjechała wraz z Siergiejem. Podeszliśmy do Rady Nikiticznej i wyraziliśmy swe szczerze współczucie; pocałowałem ją w rękę. Bezwiednie podziękowała i zupełnie sama odeszła. (...).

Poszliśmy do wyjścia. Za bramą wciąż stały kordony porządkowe, a tłum na zewnątrz był jeszcze większy. Widoce nie obawiano się ekscesów w związku z pogrzebem.

Jako wysoki dostojnik, Chruszczow powinien być pochowany przy murze krematorium. Ale ci, którzy rozporządzali jego losem i o śmierci, uznali, że nie jest tego godzien (...). Ale rezultat był odwrotny do zamierzonego. Przy murze mało kto bywa, a tu grób zostawiono narodowi, dla którego Chruszczow tyle zrobił. Tu spierano się i wspomniano. Bywało, że i pomstowano, ale częściej wspomniano z wdzięcznością. Na Wielkanoc przyniesiono pisanki i potrawy świąteczne.

Potem nad grobem wzniesiono pomnik dłuta Ernesta Niezwestnego. Było to w czasach, gdy bezwzględnie opletano Breżniewa, wynoszono go pod niebiosa, zaś jeśli wspomniano Chruszczowa to tylko negatywnie. Niezwestny, a miał on kiedyś zażyłość z Chruszczowem na wystawie w Maneżu, przyjął zamówienie od rodziny człowieka, z którym już dawno pogodził się. Pracując nad pomnikiem, powiedział mi: „Zmarły za życia zepsuł mi kilka lat, to samo zrobi i po śmierci, ale zamówienie zrealizuję, sam tego chcę”. On był tego wart.

Dosć szybko nowi władcy zrozumieli, że popełnili błąd (...). Dlatego w sposób typowy dla owego okresu postanowili zamknąć cmentarz przed wszystkimi, którzy nie mieli specjalnych przepustek.

GIEORGIJ FIODOROW
Z tygodnika „Ogoniok”

ze str. 1

zawodowi historycy. A przecież szkoda! Nazewnictwo — to również świadectwo historii, to zabytek nie mniej ważny niż manuskrypty, czy obiekty architektury. Nad rzeką Uwodzia znalezione w 1940 roku hełm z daszkiem i skrzydełkami. Nikt nie skojarzył sobie tego z Polakami, dopiero dzięki stoletniemu historykowi dowiedzieliśmy się, że to polski hełm z początku XVII wieku i umieszczono go w Iwanowskim Muzeum Historycznym.

Kiedys tu był silny bastion starowierców. „Stara wiara” gromadziła tu zbuntowanych uciekinierów ze stolicy, gdyż była symbolem walki przeciwko zniewoleniu człowieka przez samoderżawie. Przetwała z tamtych lat staroobrzędowa drewniana cerkiew Uspieńska, w której i teraz zbierają się na modły iwanowskie starowiercy. Można tam każdej chwili wejść, jakkolwiek starowiercy podejrzliwie traktują każdego przybysza, szczególnie takiego, który interesuje się ich obrzędami.

Starowiercy nie lubią, gdy się ich o to pyta, milczą. Badacz jednak wie, że był napisany „Izwiest” — donos świątobliwego starca Serapiona do cara Aleksieja Michajłowicza na „nowych herezyków, obmierz-

Chowańscy, Golcynowie — równie tragicznie rozstali się z życiem tam, w północnej krainie.

Jakaż to dziwna, myśl, ziemia: wydeptana wzdłuż i w szerz, opisana, zaśmiecona jak dworzec kolejowy, a jednocześnie głuź, co to leży jak u Boga za pazuchą, ani wojny, ani cywilizacji nie widziała.

— Pojedźmy — marzę i proponuję Serdiukowi — w moje ojczyste strony, na ojcowiznę ksiąząt Bielskich, Nikt z pisarzy jeszcze nie zaglądał w ten zakątek Smoleńszczyzny.

Kiedys wpadła mi w ręce książka Wiery Szapoznikowej „Pierła wśród drogiej kamieni” — w całości poświęcona Smoleńszczyźnie. Jest tam opis Syczowki — niedaleko od Moskwy. W Syczowie odnalazłem ulicę Bielską. Myślałem, że wiedzie ona prosto w moje ojczyste strony — do Ziemi Bielskiej. Ale znów rozczarowanie! Dojechać nią można nie do Białego, a do Bielska. Zupelnie w inną stronę. Dopiero niedawno Piotr Dudoczkin w swoich reportażach pochwodził trochę po mojej ziemi, ale i on zobaczył niewiele — jedynie to, co widać gołym okiem. A tam trzeba sięgnąć do wzro-

kwą a Litwą. W annałach wymienione są wszystkie wsie nad Łuczszą, które Moskwa zabrała po zwycięskiej bitwie na Polu Mitkowskim w 1500 roku. Po niektórych już nie ma śladu, nawet w pamięci. Szeptowo zburzył Niemcy w 1942 roku. Zamku też dawno nie ma. Kiedyś po zboczach wzdłuż cmentarza ciągnęła się dróżka do ruin Baszty, w której gnieździły się kawki i nietoperze. Na szczycie zaś znajdował się duży plac okolony topolami.

Na tym placu jeszcze przez wiele lat po rewolucji urządzano jarmarki. Na jednym z nich mój ojciec poznał matkę. Zjeżdżali na nie wszystkie okoliczne wsie. W czasie ostatniej wojny Niemcy przeorali całą górę okopami, bunkrami, schronami, tak że od strony Szeptowa góra wyglądała jak górski aul. Dzień po dniu trzęsłała w nią ogniem artyleria radziecka, przez co stromizna góry od strony Łuczszy stała się jeszcze bardziej urwista, pionowa jak mur zadartu ku niebu. Nie pozostało nic z zamkowej baszty. Górę przeorało żelazo Uralu, a mimo to do niemieckich karków trzeba było dobierać granatami i bagnietami. Wzięto ją dopiero w nocnym ataku, który szedł z trzech stron.

To pogranicze Ziemi Smoleńskiej zawsze było dla mnie zagadką. Strome wzgórza

gęsto porosło brzezina i jarzyna. Podanie głosi, że w tym stawie pogrążyła się cerkiew Bogurodzicy, kiedy Litwa już — już miała zdobyć świątynię, w której schroniły się kobiety i dzieci. Litwini już wyłamywali drzwi, lecz Bogurodzica nie dopuściła do zbzczenia świątyni i sama wraz z nią zapadła się pod ziemię. Próbowano mierzyć głębokość tego „wodnego oka” dragami, ale nie wyrosło jeszcze w naszym lesie tak wysokie drzewo, by sięgnąć nim dna Tatarskiego Stawu. Czy w ogóle była tu cerkiew? Nie wiadomo. Ale jakaś budowla była, bo na wzgórzu można znaleźć ślady starych kamiennych fundamentów.

Smutni Odyseusze, pędzeni wojną i strachem ze wschodu na zachód, z zachodu na wschód. Wszędzie śnią nam się pozostawione zgłiszcz.

Jesteśmy we dwójkę. Ojciec i ja. Oczy napelniają się przerażeniem i trwogą. Nie ma nawet zgłiszcz. Tylko sam las. Zamary drogi. Umarły cmentarze. Kogóż tu chować? Na dziesiątki wiorst lasy i bezdroża, głuź i bezludzie. Wojna rozrzuciła nas po świecie. Nie możemy poznać ziemi przodków. Tak jakby tej miejscowości nigdy nie było. Wpajam się wzrokiem we wszystko, na czym spocznie oko. Powoli wyłaniają się odpoznawane sylwetki wzgórz, jarów, brzegów Łuczszy. Idziemy na Łatowki odwiedzić krewnych, którzy tu leżą pochowani. Cmentarz znajduje się na wzgórzu, z którego widać całą okolice.

Szczyt wzgórza był nagi jak lysina. Z prawa urwisko, pod nim Łuczesa. Siedliśmy w miejscu, gdzie stała omentarna cerkiewka, zbudowana, jak mówiono, przez ksiąząt Bielskich. Jak tylko otrzymali tę dobrą od Jagielly. Przed wojną leżała tu jeszcze sterta omszałych cegieł i resztki starego muru z dzikiego kamienia. Cerkiew została zburzona po rewolucji, pod nią były grobowce słynnych Kachowskich i Duhanowskich. Na Łatowkach leżą mój dziadowie i pradziadowie. Tyłko odszczepienie. Dłj pochowany jest na Litwie pod Pałangą, pozostali są tutaj. Biorę spod nog garść ziemi i podnoszę do oczu. Wyraźnie widać drobne cząstki rozbitych cegieł przemieszczanych z szarym prochem przodków. W cmentarz waliły dziesiątki niemieckich baterii, zmleło te ziemię żelazno Kruppa i Uralu. Latowki kilkakrotnie przechodziły z rąk do rąk. Przeglądam się jak w dole płynie Łuczesa rwącym nurtem wyrzucając z głębin (z lewów bombowych?) spienione wiry.

Ile pokoleń leży w tej górze? Tu polegali Litwini Mindoga. W 1232 roku Mindog przywołał ich tutaj, lecz młody książę Wasilij, syn Aleksandra Newskiego rozbił napastników. Sam Aleksander w tym czasie gościł u tatarskiego chana w Złotej Ordzie. Przed wojną leżały pod murami cerkwi okryte patyną czasu nadgrobnie tablice, na których można było jeszcze odczytać nazwiska znane niegdyś całej Ziemi Smoleńskiej: Kachowski, Duhanowski, Raczyński i inne.

Na zewnątrz ogrodzenia znajdowały się mogiły chłopów — kopczyki z drewnianymi krzyżami. Magnaci za życia antyszambrowali przy dworach królewskich, lecz grzebać kazali się tutaj na Łatowkach, na górze nad Łuczszą.

Ten zakątek Ziemi Bielskiej nazywano niegdyś Kachowszczyzną. Kachowscy — smoleńscy buntownicy — organizatorzy spisku wojskowego przeciwko Pawłowi I. Spisek został udaremniony, Kachowscy uwięzieni, a ich dobra skonfiskowane. Jacy byli panowie, tacy i chłopci. Nie lubili ich carscy urzędnicy za zawziętość i upór. W lasach pełno było zbójów. Z ich powodu bano się jeździć drogą na Smoleńsk. Czy tutejsi Raczyńscy byli krewnymi polskich magnatów? Nie wiem. Sergiusz Raczyński to znaczy uczonego, pierwszy w Rosji tłumacz dzieł Darwin’a, krzewił oświatę wśród ludu, zakładał szkoły dla chłopskich dzieci, przyjaźnił się i korespondował z Lwem Tolstojem.

WASYL KOCZNOW

Cienie niezapomnianych przodków

złych Bogu pustelników i na fałszywych proroków starej wiary”. O naukach tych pustelników Serapion mówi: „A od tych, miłośnicy panie, obmierzłych Bogu pustelników i fałszywych proroków... i na twoją carską wysokosć bliźniestwo nastaje ciagle i wielu ku tym obmierzłym Bogu naukom ludzi skłania się”.

Pod koniec XVII wieku zaczęły się okrutne represje wobec staroobrzędowców. Ziemia wokół Moskwy pustoszała, ludność przenosiła się na rubież — na północ, nad Don, za Wolgę, na Syberię, ku polskim granicom, aby jak najdalej od wszechwładzących oczu i uszu szychających uszu patriarchy Nikona, który reformami swymi wywołał tak wielki rżnię w prawosławnej cerkwi. Żywotny, uparty, zły był stary Rus, miejsce dla osiedlenia wybrał jak najspokojniejsze: za topielami i mrocznymi lasami — tam, gdzie czoł łudzie nie sięgnęło. Dlatego Rus od dawna służyła z nieprzejeźdźnych dróg: osiedlała się przecież nie tam, gdzie lepiej, lecz tam, gdzie spokojniej...

Jazda po tych drogach (doświadczaliśmy tego i podczas wspomnianej przejażdżki z Witalijem) do Łuchy — głuździa ksiąząt Bielskich — jest i dzisiaj ciężka, chociaż topiele dawno już zniknęły, nadal nie są nadzwyczajne.

Jakże inaczej potoczyłyby się losy wielu ludzi, gdyby nie te bezdroża. Piękna Polka Katarzyna, siostra Zygmunta Augusta, zlekała się nie gwałtownego charakteru starającego się o nią prawosławnego ortodoksa Iwana IV, lecz przede wszystkim bezdroży Moskwy. Z Groźnym dałaby chyba sobie radę, Poskromiła przecież porwycność jego ojca Helene Glinska, matka Iwana IV i nieleżała Moskwa po śmierci męża, ale delikatna księżniczka Katarzyna nie chciała jechać na wschód. Rozsierdzonego Iwana zaczął na gwałt szukać żony na Rusi.

Na Rusi jednak z powodu bezdroży prześladał kandydatek ciagnał się miesiącami, aż w końcu cierpliwość młodego cara wyczerpała się i wziął sobie na połowice moskiewską bojarównę Anastazję Zacharijną, czego nie musiał żałować, gdyż Anastazja przez trzynast lat nieprzerwanie darzyła go co drugi rok potomkiem, dopóki nie umarła z wyczerpania. Iwan był nie tylko groźny, lecz i niezmiernie chutliwy, a w kobiecie zachwycało go przede wszystkim zdrowie, uroda i zdolność rodzenia. Właśnie dlatego dusił jednak wszystkie swoje niesłubne dzieci, zaś „ślubne” — prawie wszystkie umierały. Te zaś, które zostały przy życiu, wcale nie były szczęśliwe. Upartego, ale mądrego syna Iwana car zaślubił kijem na śmierć, a pokorny Fiodor — ostatni z Rykodorowiczów, był bezpłodny i niedoręczny umysłowo. Ostatni z Dedyminów: Bielscy,

ku pamięci, wejrzed w przeszłość.

Wiele razy wracałem tam myślami. I z Łodzi, i z Iwanowa. Stapałem po śladach książka Gieba, którego na Smoleńszczyźnie w 1019 roku nad rzeką Sniadyną, dopływem Dniepru, zabił drużymyca kijowskiego Świętopelka, zięcia Bolesława Chrobrego.

Mam wrażenie, że jeszcze nikt nie słyszał, jak wiele się tu wydarzyło. Serdiuk w swojej książce „Ogoni sud’by” pisał trochę o mojej ziemi i o mnie, ale wtedy mało mi opowiadałem o Ziemi Bielskiej i o jej przeszłości. Dlaczego? Po prostu uważałem, że nikt tego nie zrobi lepiej ode mnie, a jednocześnie boleam nad tym, iż nikt z pisarzy nie wziął tego na warsztat. Może dlatego, że po rewolucji ten zakątek Smoleńszczyzny administracyjnie przeszedł do obwodu Kalinińskiego (byłej Twerskiej guberni) i tylko skrawek Ziemi Bielskiej pozostał w swym tradycyjnym regionie. Po wojnie, niestety, cała Ziemia Bielska znalazła się w obwodzie Kalinińskim. Cóż twierdzenie mogą wiedzieć o tej ziemi? Oczy ich zwrócone są ku tym zakątkom, które od zawsze były twerskie. „Włec zapomnieli uszyścić, prócz mnie, i Boga o starym Bielskim powiecie” — skarżyłem się Witalijowi. Nikt nie interesował się tą krainą, jedynie wojny jej nie omijały. Stała na wzgórzach Zmud, bronili się Francuzi, a szczególnie długo opór tu stawiali Niemcy, dobrze okopani na pagórkach i w wąwozach. Wkrótce minie pół wieku, a ziemię ciagle jeszcze boją tamte rany. Jakież cierpi ziemia, gdy rani ją ogień i żelazo. Natura stara się jak może zabić rany lasami. Pięknie wyrosły na ludzkich kościach. Nie ma pół uprawnych, nie ma wiosek, nie ma ludzi. Takie rany nigdy się nie zabliżają.

Może to dziwactwo, ale widzę tę ziemię taką, jaką była przed wojną, a mój ojciec patrzył z jeszcze odleglejszej dala czasowej. Widzi parki i pałace, cerkwie na wzgórzach, których dziś już nie ma. Ziemia Bielska spustoszona została już w czasie rewolucji i wojny domowej, kiedy to zdesperowani chłopci palili majątki pańskie, brali pod topór stuletnie parki pałacowe, w latach zaś 40. wojna dokonała dzieła zniszczenia.

Nad Łuczszą wznosi się góra. Jej zbocza są zielone, tylko od strony rzeki żółci się wysokie gale urwisko. Książęta Bielscy kontynuowali dzieło swego przodka Gedymina. Zbudowali na górze zamek prawie taki sam, jak tamten w Wilnie. Góra zamkowa także tworzy tu od wschodu urwisko, stając się od strony rzeki nieprzejeźdną stromizną. Z przeciwległej zaś strony łagodnie schodzi w dolinę. U jej podnóża leżała wiekowa wieś Szeptowo — przez długi czas przedmiot sporów między Mos-

nad stromymi brzegami Łuczszy — to milczący świadkowie dalekiej i bliższej przeszłości.

Chłopi sochami i plugami wyrównali na zboczach żardzie, wale miecze, groy oszczepów, a łopaty miejscowych poszukiwaczy skarbów ze wsi Bogurodzkoje, Tarchowo, Trawno, Szeptowo wykopywały ludzkie czaszki, jak na złocie na trafiając nigdy na garnce ze złotem. Legendy i klechdy ludowe nadal jeszcze prawią o skarbach, których po prostu nie ma. Ostatnia wojna przewróciła tu dosłownie każdy gruzel ziemi, a ludzie mimo to wierzą jeszcze w skarby ukryte w glebi gór. W dorzeczu dolnego biegu Dźwiny rycerze wznosili zamki, a czołna zbójczych wypraw pojawiały się aż w dorzeczu Mięzy. Na polach nad Łuczszą nieraz znajdowano średniowieczne rogatki helmy niemieckie. Za to Tatarzy pojawiali się tu rzadko. Nie mieli tu czego szukać. Nie było obszernych pastwisk. Dlatego zechodziła tu szybko zapelniała się uchodźcami z południa i zachodu. Dla Kriwiczów i Zmudzinów lasy i bagna — rzecz zwyczajna.

Po tatarskich pogromach przyszła tu Litwa. Kolo Trawno uważa oczy bez trudu dostrzegając pozostałości dawnych budowli obronnych wzdłuż Łuczszy. Cmentarz tutejszy ma piękną starą nazwę Latowki. Trawno — obok — było niedostępna twierdza. Te miejscowości z trzech stron ochraniały głębokie wąwozy i rzeczki pomykające po nich do Łuczszy, nad tym strome pagórki, najeżone lasami. Łuczesa ma wiele dopływów. Czarny rzeczek, w których woda jest istotnie czarna jak dziegieć, w samej Łuczeszce — jasna, czysta, słodka.

W dziesięć wieki nie zastanawiałem się nigdy, dlaczego nasz cmentarz nazywa się Latowki. Nawet legenda o osiedleniu Litwinów niczego mi nie wyjaśniła, choć nieraz słyszałem o tym, jak to Litwini szli na Rus, lecz kiedy podeszli do tej góry, gdzie stała świątynia, Bóg oslepił pogan. W tej tu górze leżą ich kości, a świątynia stoi, jak stała. To później doszedłem do wniosku, że Litwini i Latowki to pewnie to samo. Lecz gdzież ta świątynia, której Bóg nie oddał pogańskiej Litwie? Czy to ta, w której mnie chrzczone? Patrzę na lśniące kopuły za Łuczszą i próbuję wyobrazić sobie, jak Litwini wdrapują się na wzgórze ku ogrodzeniu cerkwi, a z obłoków nad kopułami biją w nich oslepiające promienie.

Za tamtym brzegiem rzeki iskrzy się Tatarski Staw, ogromny i okragły jak lej. Dziś mało kto opowiada, że w tym rzekomym stawie nie ma dna, że jest tylko otchłań. Tatarskie roślinie brzegiem dokoła, a cały środek zajmuje trawka bagienna, tak że z brzegu staw wygląda jak zielona łąka. Tam właśnie jest topiel. Wzgórze

L

eon Gomolicki ukończył 85 lat! Wyjątkowa to okazja, by przyrzeć się pisarstwu, które przedstawiając złożone sprawy współczesności, pogmatwane wojenne dzieje i urazy, zwraca się w stronę uniwersalnej koncepcji człowieka.

Uprawiający różne dziedziny sztuki Gomolicki najpełniej jednak wypowiedział się w prozie, której prawdziwa erupcja rozpoczęła się w roku 1958, kiedy to powieść „Ucieczka” otrzymała drugą nagrodę w konkursie Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich oraz Wydawnictwa Łódzkiego. Niebawem pojawiły się kolejne książki: „Uprawienie Baucis” (1960), „Wylaczenie” (1962), „Czasobranie” (1963, w 1970 jako „Miasto i Julia”), „Kiermasz” (1964), „Owoc z grzyszanem” (1965), „Wyprawa na Patmos” (1966), „Wydarzenie” (1968), „Dziś i jutro” (1968), „Arka” (1970), „Komiks psychologiczny” (1973), „Erotyk” (1974), „Taniec Eurynome” (1976), „Horoskop” (1981), „Róża i Walkiria, czyli w dorzeczu Fabulistej” (1982), „Terapia przestrzenna” (1983), „Od-wiedźny Galileusza” (1988).

Proza Leona Gomolickiego pośredniczy w dialogu między teatrem życia a grą intelektu. Usiłuje wytworzyć własną „materię intelektualną”. Kolejni narratorzy chętnie korzystają z przysługujących im przywilejów kreacji i terapii, ale jednocześnie podziwiają ją, przekonanie, iż literatura to tylko słowa. Mimo to wielką przywiązuje wagę do słów, którymi odtwarzają i stwarzają świat. Bo tylko jeszcze słowem poruszyć można sumienie świata. Obracają się jednak w kręgu niepewności i poszukują jakiegoś stałego oparcia. Dlatego łączą zdarzenia i epizody, starając się rozwiązać rebus życia. O treści książek Leona Gomolickiego decyduje właśnie owo rozwiązywanie, czynność, której zakończyć nie sposób.

2.

Oboowanie z prozą Leona Gomolickiego to jakby wytrwałe układanie rozsypanego na skutek dziejowych kataklizmów migotliwego witrażu. Zbiegiem okoliczności nie prawie z jego części składowych nie zgineło — a przecież nie potrafimy wskazać niegdysiejszej świetności: coś bezpowrotnie minęło i każda rekonstrukcja w gruncie rzeczy oddala nas od poprzedniego kształtu. Zdając sobie sprawę z nikłej skuteczności takich zabiegów nie rezygnujemy z nich. Jakis imperatyw kategoryczny nakazuje przecież ocalić humanistyczne dziedzictwo. Pocucie ludzkiej więzi i kulturowej wspólnoty skutecznie przezwycięża zniechęcenie. Wzorem Syzyfa wciąż zaczynamy na nowo. Ratuujemy ów metaforyczny witraż, odwołujemy się do kultury — aby ocalić wiarę w człowieka.

Taki jest mechanizm tej prozy, wzorowany zresztą na naturalnej historii rodzaju ludzkiego: zniszczenie — odbudowa, zniszczenie — odbudowa etc. Proza ta aspiruje do rangi wielostronnej refleksji o człowieku. Powieści Leona Gomolickiego traktowano niekiedy — niepotrzebnie zważając ich zakres oddziaływania — jako książki wyłącznie o okupacji i interpretowano według najprostszego wzoru: dosłownie. Przestrzegam przed podobnym traktowaniem. Przedmiotem zainteresowania pisarza stała się natura ludzka a nie człowiek historyczny, jakkolwiek uwarunkowania drugiej wojny światowej stanowią zazwyczaj punkt wyjścia najogólniejszych refleksji. Proszę zwrócić uwagę: sceny z lat okupacji nie są wyrazem batalistyk, walki, tego, co można by nazwać „fizjologią” wojny. Warunkują one drażnienie istoty człowieczeństwa, prowokują do analizy sposobów zachowań w sytuacjach krańcowych. Uraz pookupacyjny, obsesje wojenne — powiadano o tej twórczości. Po części tylko słusznie. Tamte bowiem przeżycia domagały się w sposób iście obsesyjny objaśnienia: jak do tego do czasów pogardy, dlaczego była możliwa eksplozja nienawiści na taką skalę?

Nie chodzi tu jedynie o rzeczowe przypisy do historii, rzecz w tym, aby stworzyć traktat humanistyczny. Ma to być traktat dialogowy. Nie w sensie średnio-wiecznych dysput scholastycznych, polegających na uzasadnieniu tezy przez dyskusję wokół stanowisk pro i contra. Ma to być dialogowe pojmowanie literatury.

Dialog w literaturze nie polega jedynie na wymianie komunikatów albo informacjach pomiędzy bohaterami. Jego istota tkwi raczej w odczuwaniu ogólnoludzkiej wspólnoty losu, we wzajemnych uwarunkowaniach kulturowych współczesnego człowieka. Dialog w literaturze to „sposób bycia” jednostek i zbiorowości w wielokształtnym żywiole „różnorodności”, to określony typ aktywności poznawczej, nakierowanej na wymianę myśli poprzez artystyczne zorganizowanie tekstu oraz jego intelektualne oddziaływanie. Dialog w literaturze polega na wyborze spośród wielu propozycji znaczeniowych tekstu tych przede wszystkim spraw, które odzwierciedlają punkt widzenia pisarza na świat oraz tych problemów, w których odbija się charakterystyczny dla danego dzie-



Historia, apokalipsa, literatura.

O prozie Leona Gomolickiego

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

la system wartości. W przypadku pisarstwa Leona Gomolickiego sprawa wygląda następująco: racjonalistyczne wyrażanie nie tej prozy stanowi ma swoiste antidotum na absurd historii, na paradoksalność położenia i bezbronność jednostki ludzkiej zagubionej w grzytających trybach historii. Warto zauważyć, iż autor „Wyprawy na Patmos” jako uczestnik literackiego dialogu epoki pozostaje partnerem wymagającym, zarazem zaś wnikliwym i godnym zaufania. Decyduje o tym różnorodność wariantów własnej wizji procesu historycznego, jakie daje pod rozwagę. Czytelnik może mieć kłopoty z ogarnięciem wszystkich historycznych wizji Gomolickiego i z połączeniem odczytanych wariantów w całość — to prawda. Nie musi však dążyć od razu do opanowania całości dzieła, wystarczy jeśli uwagę swą skoncentruje najpierw na szczegółach, jeśli lepiej zrozumie funkcję poszczególnych obrazów, sytuacji czy zdarzeń, jeśli twórczość Leona Gomolickiego potraktuje jako specyficzny znak czasu — znak, którego zlekceważyć nie wolno.

3.

Zasadniczym tematem Leona Gomolickiego są dzieje rodzaju ludzkiego. Pokazuje je — choć w sposób wyrywkowy i fragmentaryczny — jako kolejne akty dramatu. Moralnym przesłaniem owego dramatu staje się przeświadczenie o niezmienności człowieka i przestroga przed nim. Jako motto większości swych książek mogłoby posłużyć słowa z pierwszego rozdziału Objawienia Świętego Jana, spisane na wyspie Patmos: „Napisz więc to, co widziales, i to, co jest, i to, co potem musi się stać”. Gomolicki przejawia zainteresowania eschatologiczne, ale trudno znaleźć w jego powieściach imaginacyjne nateżenie apokaliptycznych wizji. W tym względzie cechuje go powściągliwość, wręcz oszczędność w przekładaniu zjawisk historycznych na symbole. Język przepowiedni apokaliptycznych jest zwykle niejasny — język utworów Gomolickiego jest precyzyjny i ostry, nieczym chirurgicznym skalpelem.

Nowotestamentowa Apokalipsa powstała w czasach trudnych,

czasach przesilenia, zaś jej groźne i przerażające wizje miały wzmocnić ufność i wyzwolić nadzieję. Apokalipsa według Gomolickiego nie jest krzepiąca, bo po prostu powątpiewa on, czy ktoś posiadał rzeczywistą i ostateczną władzę nad historią. Wątpliwości swe wyraża w sposób różnorodny: przymrużeniem oka i powściąganą kpina pisze na przykład traktat o wyspach szczęśliwych, gdzie można wieść pełen błogości żywot; przywołuje alegoryczne postacie (Whitman, Einstein, Hermes, Salomon, Faust), które w tekście o charakterze nadrealistycznej impresji wprowadzają faustowskie odkrycie piękna chwili i znalezienie celu życia do wytwarzania sceptycznej „materii intelektualnej”. Kasty humor towarzyszący smętnemu odkryciu, iż historia to przede wszystkim nawarstwianie się gruzu, czego wszyscy ponosimy konsekwencje. W „Taniec Eurynome” można przeczytać: „Mówimy: historia. Ale czym jest historia, jeśli nie sumą ludzkich idei i dążeń. Któż tu w końcu zawinił? Idee czy ludzie? Cóż pustka przywina życia! Nie w niej rzecz. Tyle że otwiera ona perspektywę na pustkę inną, powodowaną przez wysychanie źródeł wiary w człowieka. Bo na coż światu wielkie zasady, jeśli nie mają oparcia w sumieniu i woli ludzkiej? A więc jednak winien jest człowiek”. Leon Gomolicki z głęboką melancholią stwierdza, iż upływ czasu oddzielający nas od lat okupacji — tej współczesnej wersji biblijnego potopu — coraz bardziej oddala świadomość społeczną od zdolności konkretnego pojmowania zagrożeń historii. Świadomość nieskuteczności nie zwalnia pisarza od obowiązku przypominania. Jego zrebrłem stało się marzenie o tym, by którąś z kolejnych kultur udało się wreszcie skutecznie uchronić przed zagładą. Wbrew historii. Wbrew apokalipsie.

4.

Leon Gomolicki ceni swobodę wypowiedzi. Unika „gorsetu” fabularnego. Przybliża odbiorcy sam proces twórczy. Z niejaka dumą odwołuje się do doświadczeń artystycznego warsztatu. Ale i z pewną dozą skromności daje do zrozumienia, iż pisarstwo jego to w istocie rzeczy sprawa wewnętrzna, swego rodzaju rachunek sumienia — czyniony jednak nie tylko z myślą o sobie. Nie narzucając własnych konkluzji pisarz proponuje wymiar katastroficzny jako najuczciwszy kontekst poszukiwania odpowiedzi na podstawowe problemy epoki. W książkach Gomolickiego zawarty został zbiór epizodów z całego bez mała naszego stulecia. Kluczem do ich interpretacji stają się ogólnie znane przynajmniej humanistyczne. Niestety, pauperyzują się one i biedna. Jak je uchronić i zrewolucjonować — oto niepokojąca kwestia, kwestia wciąż otwarta.

W powieściach Leona Gomolickiego dokonuje się ustawiczne poszukiwanie motywacji zagrożenia, motywacji nierzadko odmiennej od tej, którą bohaterowie powieści już znają, bądź też od tej, do której chcieliby się przyznać. Może w tym miejscu wyjaśnić się w jakimś stopniu niechęć Leona Gomolickiego do literatury fabularnej. Nadaje przecież ona zjawiskom i pojęciom swoiste i obowiązujące w danym momencie znaczenie, utrwała je i rozpowszechnia. Tworzy modele i narzuca je społeczeństwu. A autor sprzeciwia się wszelkim schematom i uproszczeniom, ceni szczerść, prawdomówność jako warunek przedłużenia życia zbiorowego.

Funkcja pamięci zbiorowej powinna przeciwstawić się metamorficznym istnieniom. Estetyka powinna stać się funkcją etyki, etyki odradzającej się, wynikającej z przekonania, iż wielka ofiara ludzka nie była rzeczą daremną. Niepokojem napawa pisarza fiara powtarzania się w historii wojen, rzezi, zbrodni, zbiorowej odpowiedzialności. Leon Gomolicki nazywa to prawem Likaona, przytacza drastyczne przykłady i nie potrafi zapomnieć o groźbie naszych czasów — rezerwach broni, wystarczających do wielokrotnego zniszczenia planety, którą zamieszkujemy.

5.

Jeden z tekstów Leona Gomolickiego nosi tytuł „Wino z roku konsula Torkwata”. To cytat z Horacego. Horacy urodził się w roku konsulat Manliusza Torkwata (65 p.n.e.) i opisuje w swoich lirykach jak spija wino z tegoż roku, wino mu rówieśne. Zawiera się tu następująca metafora: krater, z którego pije Horacy, to jego cielesna powłoka, do której sędzono wino dojrzałe emocjonalnie i intelektualnie treści. To jakby delektowanie się wypiekloną dojrzałością. Sądzić należy, iż podobnie delektuje się własną, zasłużoną dojrzałością Leon Gomolicki. Życiową, intelektualną, pisarską.

Ad multos annos, Panie Leonie!

Zapis z pamięci.

To już minęło 10 lat



Stanisław Mojkowski

Rys. Stanisław Ibiś-Gratkowski

Jechałem wtedy autobusem z Kartuz do Gdyni. Autobus był radiofonizowany. W dzienniku radiowym usłyszałem smutną wiadomość. Stanisław Mojkowski — prezes ZG RSW „Prasa — Książka — Ruch” — nie żyje. Myślałem, że przesłyszałem się. Z Gdyni zadzwoniłem do Łodzi do redakcji. Potwierdzili. To było 10 lat temu.

O Wielkim Moju usłyszałem dużo wcześniej niż spotkałem się z nim pod jednym z filarów w Klubie Dziennikarzy przy ulicy Piotrkowskiej 96, gdzie wówczas mieściły się wszystkie redakcje RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Do tego pamiętnego dla mnie spotkania doszło dlatego, że Wiesław Bek — wówczas zastępca redaktora naczelnego „Głosu Robotniczego” —

postanowił zarekomendować mnie naczelnemu. Po odbyciu praktyki rysowała się możliwość podjęcia pracy w „GR”. Nie! Nie na etacie. O tym — jak na razie — nie było mowy. Wiesław Bek proponował, abym popracował trochę w dziale wojewódzkim, bo z racji pracy w KW ZMS znałem ówczesne — „duże” — województwo łódzkie. Ale Wielki Moj skrzywił się tylko.

— Nie — powiedział — oni tam dziś jadą, jutro wracają, pojutrze myślą, a dopiero później piszą. Dajcie go do starego Rudnickiego! Miałem sporo kolegów i przyjaciół w „GR” i wiedziałem już sporo o Henryku Rudnickim. Decyzję tę przyjąłem więc jako zarządzenie losu i dopust boży. Zresztą niesłusznie, ale to zupełnie inna opowieść.

Zanim Stanisław Mojkowski został naczelnym „Głosu Robotniczego” odbył długą i trudną drogę. Urodził się 18 lutego 1911 roku w Łomży. Na Uniwersytecie Warszawskim studiował prawo. Brał udział w kampanii wrześniowej 1939 roku. Dowodził plutonem. Dostał się do niewoli niemieckiej i 5 lat spędził w obozach jenieckich: Lienz i Woldenberg. Józef Kuropieśka w książce „Obozowe refleksje Ofiar II C” pisze o powojennych losach jeńców wojennych: „Spośród pracujących w dziennikarstwie najwyższą godność osiągnął Stanisław Mojkowski — prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich”.

Karierę dziennikarską zaczął Stanisław Mojkowski właśnie w Woldenbergu jako autor „mówionych felietonów”. Po wyzwoleniu przeszedł różne szczeble dziennikarstwa: był reporterem, depešowcem, sekretarzem redakcji katowickiego „Dziennika Zachodniego”. Losy, a raczej władze dziennikarskie, rzuciły go po Polsce. Po Katowicach był Gdańsk i szefostwo „Głosu Wybrzeża”. Po Gdańsku była Łódź.

W Łodzi Stanisław Mojkowski najpierw objął szefostwo „Łódzkiego Expressu Ilustrowanego”. Pismo to powstało z połączenia „Expressu Ilustrowanego” z „Dziennikiem Łódzkim”. Gdy nadeszły warunki na rozwiązanie tych pism — Stanisław Mojkowski objął „Dziennik Łódzki”, a po trzech latach przeszedł do „Głosu Robotniczego”. Pismo to znajdowało się w trudnej

sytuacji i — nie da się ukryć — że Wielki Moj wraz ze swoją ekipą ruszył na ratowanie „GR”. I rzeczywiście za Moją „Głos Robotniczy” stał się innym piśmem.

Później nadeszły takie czasy, że prowincja zaczęła się liczyć. Nazywało się to: „jugosłowiański uzory”. Stanisław Mojkowski został prezesem ZG SDP, ale okazało się, że kierowanie Stowarzyszeniem Dziennikarzy Polskich z Łodzi na długo nie da się utrzymać. Przeszedł więc Moj do Warszawy najpierw na zastępce naczelnego do „Trybuny Ludu”, a później na jej naczelnego. Z „Trybuny Ludu” przeszedł do ZG RSW „Prasa — Książka — Ruch” jako prezes tego wielkiego koncernu. I to była jego ostatnia praca. Zmarł 12 sierpnia 1978 roku.

Był człowiekiem wyrozumiałym, spokojnym, choć podejrzewam, że utrzymanie spokoju wiele go kosztowało. Drzwi do jego gabinetu były zawsze otwarte chyba że miał tam gości, albo konferował w poufnych sprawach. Każdy z nas miał wiele różnych spraw do Głeni Mrozińskiej, która wówczas pełniła obowiązki sekretarki. Gdy Moj zobaczył wchodzącego, zrywał się go wołać do siebie. Można powiedzieć, że w ten sposób konsultował swoje decyzje z zespołem. Pytał o zdanie w tej czy innej sprawie, choć — podejrzewaliśmy — że decyzję już podjął. Chciał tylko sprawdzić, jak będzie przyjęta. Nie mogł wszakże twierdzić, że pod naszym wpływem jej nie zmienił.

Czasami lubił przejść się po pokojach, zagadywał tych, którzy akurat byli w redakcji. Jego ulubioną odzywką było pytanie:

— Nad czym pracujecie?

Ktoś dowiecznie odpowiadał: — Nad sobą szefie!

— Wy lepiej — na to Moj — nie pracujecie nad sobą, bo to się na nic nie zda, wy pracujecie nad artykułami.

Rozmowa się to szybko po redakcji i od tej pory na pytanie: — Nad czym pracujecie? — odpowiadaliśmy chórem, jeśli kilka osób było w pokoju: — Nad sobą, szefie!

Wielki Moj chwalił rzadko, ale i ganił oszczędnie. Chyba że ktoś bardzo się o nagane postarzał. Pamiętam kiedyś, gdy Jerzy Chabelski był i sekretarzem KD PZPR w Śródmieściu, dzielnice tę nawiedziła radziecka delegacja. Pracowałem wówczas w sekretariacie redakcji. Wezwał mnie Moj i powiedział:

— Pójdziecie na spotkanie, z sekretariatem dzielnicy, potem będzie przyjęcie, możecie się napić, ale bujać się na żyrandolu wam nie wolno.

Nie bujałem się. Przysięgam. Ale gdy następnego dnia rano zasiadłem w sekretariacie za biurkiem, zadzwonił do Głeni Mrozińskiej p

kawę, cytrynę i wodę sodową. Nim mi to przyniesiono, w drzwiach pojawił się Stanisław Mojkowski.

— Zdrowście popili! — stwierdził. — A skąd szef wie? — zastąpiłem, bo do mojego pionącego lba nie dotarła prosta prawda, że Głenia M. złożyła raport.

— Wszystkie wróble na Piotrkowskiej o tym ćwierkają — powiedział uśmiechając się wyrozumiale Sze! i dodał: — Gazeta będzie dobra i w terminie?

— Inaczej być nie może!

I była. Byliśmy dużo młodszy i nieobecnie byli nam uciechy tego świata, ale praca była zawsze na pierwszym miejscu. Zarwałes noc — to twoja sprawa, robota na tym nie może nie uciepnieć. Kto tej zasady nie przestrzegał, zęgnął się z pracą. Był tacy.

Stanisław Mojkowski uczył nas podstawowej zasady: na pierwszym miejscu jest czytelnik, gazeta jest dla niego, on decyduje o tym, czy ją kupi, czy nie. I o tym nie wolno nikomu zapomnieć. Staraliśmy się nie zapominać, choć były przecież i takie tendencje, by spodobać się przede wszystkim Instancji i urzędowi. To było łatwiejsze i bezpieczniejsze.

Pracowałem pod Wielkim Mojem w „GR” i w „Trybunie Ludu” jako korespondent z Łodzi i województwa. Gdy odszedł do ZG RSW „Prasa — Książka — Ruch” zaproponowano mi — w jakiś czas później — przejście do „Odgłosów”. Skorzystałem z propozycji i to dziś tkwię w tym piśmie. Ale pod koniec 1972 roku razem z Jerzym Wawrzakiem, Jerzym Wilmańskim i Andrzejem Grunem próbowaliśmy temu piśmu nadać inny kształt. Przede wszystkim graficzny. Różne dziwne działy się na łamach „Odgłosów”. Różnie to się podobało. Spotkałem kiedyś Stanisława Mojkowskiego, kiedy z żoną Krystyną szedł Piotrkowską — cześć wtedy zaglądali do Łodzi, gdzie tyle zostało z ich życia. Zatrzymał mnie i powiedział:

— Wście Włodkowski, mnie się to nie podoba. Zie się bawicie. Nie tedy droga.

Zabolała mnie ta uwaga. Uważałem się i uważam za ucznia Wielkiego Moja. A tu mistrz tak skrytykował. Ale miał rację. Zrozumiałem to znacznie później. I wyciągnąłem z tego wnioski. Po skutkach sądząc — właściwe.

Szeffe — chciałbym powiedzieć Mojowi — dziękuję za tamtą uwagę i za wszystko!

Ale nie już nie mogę powiedzieć, bo nigdy i nigdzie nie spotkam Wielkiego Moja.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Do Świdra docieramy późnym wieczorem. Z autobusu wysiadamy obok zajazdu „Pod wielkim dębem”. I tam też idziemy pytać o drogę. W zajazdzie wesoło. Pani w recepcji o niczym nie wie.

— Gdzie jest plaża naturystów?
— Ja tam nie chodzę.
— Ale to podobno najpiękniejsza plaża rzeczna w Europie?
— Tak? W lewo i z kilometr...
— A dokładnie?
— Ja tam nie chodzę.

Po godzinie bezskutecznego błądzenia po nadbrzeżnych chaszczach jesteśmy zmuszeni wrócić do zajazdu. Tym razem musimy już przeskakiwać przez siatkę, choć nie jest jeszcze tak późno. Pani w recepcji wciąż o niczym nie wie.

— Proszę pani, prasa podała, że tutaj odbywa się dwutygodniowy zjazd naturystów.
— Pierwsze słyszę. To pewnie coś pokreślił ten samowolniczy prezes Marczał.
— A sa w zajazdzie wolne pokoje?
— Nie ma.

— A może rozbić namiot?
— Nie.

W drodze powrotnej jakiś uprzejmy starszy pan otwiera nam bramę.

— Chcecie się wleć z tymi bagażami aż na plażę? — pyta — dlaczego nie rozbijecie namiotu tutaj?
— Nie pozwolono nam.

— Przecież wystarczy dać w łapę... — dziwi się staruszek.

— A może pan wie gdzie jest plaża naturystów?

— Skąd! Ja tam nie chodzę.

Docieramy nad rzekę. Zostawiamy bagaże na brzegu, pod opieką naszej koleżanki, a sami postanawiamy płynąć na wyspę. Kolega decyduje się płynąć bez ślpek (no, skoro już przyjechaliśmy do naturystów). Ja jestem mniej odważny. Na wyspie spotykamy kilku kłusowników. Są przestraszeni naszą obecnością. Dopiero widok kolegi bez ślpek przywraca im pewność siebie.

— Z gołym nie będziemy rozmawiać. Niech się natychmiast stąd wynosi. Tylko z tobą będziemy rozmawiać. Bo ty masz majtki.

— Gdzie jest plaża naturystów?

— Na tamtym cyplu.

W ten sposób dowiedzieliśmy się, gdzie jest plaża naturystów. Było jednak zbyt ciemno, by iść z bagażami aż na cypel. Było także zbyt ciemno, by rozbić namiot. Decydujemy się więc spędzić noc pod gołym niebem. Na szczęście noc jest wyjątkowo piękna. Gwiazdzista.

2.

O świcie idziemy na cypel. Przeszukujemy się, że zjazd naturystów to siedem namiotów. Wschodzi słońce. Z namiotów wychodzą nadszy mężczyźni. Ani jednej kobiety. Ciekawe co będzie dalej?

Jest upalny dzień. I pragnienie. Nigdzie w pobliżu nie ma wody (nie licząc wody w rzecce). Żeby się napić, trzeba iść do zajazdu „Pod wielkim dębem”, gdzie mają coca-cola, ale nie sprzedają na wynos. Około południa będzie otwarty kiosk z oranżadą po 300 zł za litrową butelkę.

3.

Zostawiamy rzeczy pod opieką koleżanki i ruszamy brzegiem w stronę plaży. Jesteśmy już w strojach organizacyjnych. Po drodze mijamy nagich mężczyzn. Dziesiątki nagich mężczyzn. Poza tym mijamy zapiechanych pod szyję wędkarzy. Jak widać taka koegzystencja nikomu nie przeszkadza.

Wreszcie jest naga kobieta. O, druga! I pięćdziesięciu facetów... Grupa nagich mężczyzn z tatuażami na ramionach właśnie rozpija półlitrowkę.

Plaża jest rzeczywiście śliczna. Otoczona krzewami, przytulna, daje poczucie intymności. A na piasku, jak na wystawionej do słońca patelni opalają się nadszy mężczyźni. Młodzi i starzy. Chudzi i grubi. Można dostać zawrotu głowy. Nieliczne kobiety natychmiast rzucają się w oczy w tym towarzystwie choćby nawet nie były zbyt ładne. Niektóre noszą majtki.

Pośrodku plaży ustawiono coś w rodzaju tablicy ogłoszeń. Na tablicy zdjęcia nagich kobiet w prowokacyjnych pozach. Zdjęcia są do kupienia po 100 zł za sztukę. Pod tablicą gromadzą się nadszy mężczyźni. Zadzierają głowy oglądając zdjęcia. Przeszepują z nogi na nogę. Nudzą się.

U osoby sprzedającej zdjęcia można też dostać znaczki i program działania ruchu naturystycznego na rok przyszły. Można się też dowiedzieć, co będzie dziś. Będzie zebranie informacyjne. A potem wybory Miss Kwiatek.

— Jak będą wyglądały wybory?

— Może w nich wziąć udział każda kobieta. Może mieć białe majtki. Byle tylko trzymała kwiata. Wybory polegają na tym, że dziewczyny idą zbierać kwiaty, a następnie jury ocenia, która ma najładniejszy bukiet.

Zaczynam „Naczelnika Polskich Naturystów” Sylwestra Marczała. Całość jego garderoby stanowi biały kapelusz.

— Dlaczego tak mało kobiet?

— Przyjdą, już jest dużo.

— A są kandydatki do tytułu Miss Kwiatek?

— Jest już jedna. Przyjechała specjalnie aż z Kielc. Ma przygotowane bukiety.

— To jedna A będzie miała konkurentki?

— Będzie. Przyjdą.

Naczelnik jest niezachwiany w swej wierze. Obiecuje, że porozmawiam z nim po wyborach. Teraz musimy wrócić do miejsca, gdzie zostawiliśmy naszą koleżankę.

Jak się okazało niepokój o nią był całkowicie uzasadniony. Pod naszą nieobecność najpierw bardzo długo krecił się obok niej goły staruszek, a kiedy już sobie poszedł, to pojawił się młodzienczek z kolczykiem w uchu. Młodzienczek był bardziej energiczny od staruszka. Zapytał wprost, czy nasza koleżanka nie miałaby ochoty na „trochę seksu”. Poszedł sobie dopiero, kiedy usłyszał że „już jest komplet”. Inaczej nie potrafił zrozumieć.

— Nie ma rady, Gośka — decydujemy — musimy iść z nami na ten Adamplatz. Nie możemy cię zostawiać samej, bo to się skończy gwałtem.



Z gołym nie będziemy rozmawiać!

W Świdrze, na plaży naturystów

MAREK BŁASZKOWSKI

4.

W ten sposób Naczelnikowi przybyła jeszcze jedna naturystka. Jak się spodziewaliśmy, tak ładna dziewczyna jak Gośka od razu wzbudziła zainteresowanie na wypełnionej nagimi mężczyznami plaży. Co chwila podchodził do nas jakiś domorosły fotograf amator i pytał „czy można sfotografować tę panią”. Bardziej przebiegli pytali „czy można sfotografować was”. Fotografowanie bez pytania jest na szczęście na tej plaży zabronione.

Idziemy się wykąpać. Woda jest ciepła. Kąpiel przyjemna. Czas płynie szybko. Co chwila zerkamy w stronę brzegu, by zobaczyć, czy się już nie rozpocznie zapowiadane wybory. Nie się nie dzieje. Wreszcie wychodzimy z wody.

— Kiedy będą wybory?

— Już po wyborach.

— Jak to? Nic nie widzieliśmy.

— Bo wybory właściwie się nie odbyły. Zgłoszyła się tylko jedna kandydatka. I ona została miss. Teraz będzie plener fotograficzny. A może by pan wziął udział w plenerze? — nasz informator spogląda na Gośkę — oplota się.

Plener fotograficzny polega na tym, że zgłaszające się kobiety są obfotografowywane nago przez amatorów, którzy zapłacili po 500 zł. Zawodowcy nie plażą.

Nadszedł czas na rozmowę z Naczelnikiem. Zaczynamy od tego, że Gośka właściwie byłaby skłonna wziąć udział w plenerze. Co on na to? Obrzuca dziewczynę taksującym spojrzeniem. Mam wrażenie, że za chwilę zajrzy jej w zęby. Ale na szczęście nie robi tego.

— Oryginalna uroda — wyrokuje Naczelnik.

— Bardzo ładne pierś. Bardzo oryginalna uroda. Placę trzy tysiące za piętnaście minut pozowania — dorzuca na koniec — gdzie pani tyle zarobi?

— Można zarobić i więcej...

— Ale nie przez piętnaście minut.

— A co pan na to, że Gośka była niedawno dość brutalnie zaciępana? Jak by pan się zachował, gdyby wskazała mężczyźnie, który ją zaciępał? A może jest to po prostu zgodne z ideą naturyzmu? Pełny luz, swoboda, tak?

Naczelnik sprawnie wrażeń zakłopotanego. Najpierw powątpiewa w wartość dowodową takiej

go rozpoznania. Potem wdaje się w dywagacje na temat granicy między normą a zboczeniem. Dopiero, kiedy Gośka stanowczo oświadcza, że nie zamierza nikogo wskazywać ani rozpoznawać, i że nasze pytanie jest czysto teoretyczne, Naczelnik znajduje prostą odpowiedź.

— Trzeba by takiego człowieka zawstydić publicznie.

Przy okazji opowiada historyjkę o zboczeniach.

— Kiedyś zdarzyło się, że chłopak zaczął się onanizować na plaży. Normalnie, przy ludziach. Ludzie zareagowali z oburzeniem. Otoczyli go i patrzyli z dezaprobatą. Zawołano mnie. A ja mówię: Bł konia? Bł. Bardzo nieładnie. Ja co prawda jestem z Towarzystwa Oplek nad Zwierzętami, ale to był jego koń. Każdy może robić co chce ze swoim koniem. Ludzie zaśmiali się i rozeszli.

W czasie naszej rozmowy zaczynają się gromadzić wokół nadszy mężczyźni. Po chwili stoimy już w samym środku kilkudziesięcioosobowego tłumu gołych facetów. Z tłumu padają aprobujące okrzyki:

— Tak, tak, to na co wszyscy się godzą nie jest zboczeniem.

— Dlaczego jest tu tak mało kobiet? — pytamy.

— Mężczyźni są odważniejsi — wyjaśnia Naczelnik.

— A może wpuszczać same pary?

— To niemożliwe. Trzeba by wtedy ustawić wokół plaży kompanię ZOMO, żeby powstrzymać podglądaczy.

— Ale plaża robiłaby wtedy bardziej zdrowe wrażenie — nie ustępuje.

— Wreszcie byłoby tu pusto — tłumaczy Naczelnik.

— Kobiety nie są jeszcze całkowicie przekonane do idei naturyzmu. Same pary biorą udział w zajęciach Klubu Małżeńskiego. Na plaży jest inaczej. W Dąbkach było dużo kobiet. To wyjątek.

Tłum facetów gęstnieje. Nudzą się. Najwyraźniej się nudzą. Naczelnik wraca do tematu udziału Gośki w plenerze.

— Decyduje się pani?

— Nie!

— Niech się pani zgodzi! — padają okrzyki z tłumu gołych mężczyzn.

Gośka jest jednak nieugięta.

5.

Niedaleko brzegu leżą na kocu dwie pary młodych ludzi. To zjawisko wyjątkowe na tej plaży. Dziewczyna są ładne. Wszyscy czworo opalen. Bez białych miejsc. Jak widać są to doświadczeni naturyści. Chłopcy poszli się wykąpać, ale jak tylko podchodzimy do dziewczyn, zjawiają się natychmiast.

— Dlaczego jesteście tacy czujni?

— Nie można inaczej — tłumaczą — kobiet nie powinno się ani na chwilę spuszczać z oka. Są bez przerwy zaciępane. Musimy pilnować.

— Kobiety wzbudzają sensację, bo jest ich tak mało. Dlaczego nie przyjeżdżają?

— Tutaj? — dziwi się jedna z dziewczyn — tutaj można przyjechać tylko pod opieką mężczyzny. Tu nie można się nawet za bardzo oddalić. Czują się po krzakach, onanizują...

— Dlaczego więc w ogóle tu przyjeżdżacie?

— Nie ma gdzie, to przyjeżdżamy tu.

— Dlaczego nie wzięłyście udziału w wyborach Miss Kwiatek?

— Nas to nie interesuje. My tu przyjeżdżamy, żeby się wykąpać, poleżeć nago na słońcu. Cała ta szopka jest niepotrzebna.

— A może wpuszczać same pary?

— O tak — przytakuje jeden z chłopców — przecież teren można by ogrodzić. Ja już o tym myślałem. Gdyby wpuszczać same pary, zniknęłaby cała ta niezdrowa atmosfera. Skończyłoby się podglądanie, zaciępanie kobiet. Towarzystwo byłoby zajęte sobą. I wtedy byłby prawdziwy naturyzm.

— Naczelnik Marczał mówił, że wtedy byłoby tu pusto, że kobiety nie są dość śmiałe...

— Bzdura.

Dziękujemy za rozmowę i idziemy w stronę rzeki. Właśnie kąpie się małżeństwo z dwójkiem dzieci. To jedyne dzieci na tej plaży. Ich mama jest opalona na ciemny brąz.

— Czy przygotowuje się pani do wyborów Miss Czekoladka, czyli najpiękniej opalonej naturystki?

— Nie. Mnie taka szopka jest niepotrzebna. Opalam się sama dla siebie.

— Dzieci na plaży nudystów? Czy to nie szkujące?

— Nie. Prawdziwy naturyzm na tym polega. Naturyzm nie ma nic wspólnego z seksem.

Wychodzimy z wody. W czasie przeprowadzanych przez nas rozmów nadszy faceci cały czas depczą nam po piętach podśledzając ciekawie. Zwracam się więc bezpośrednio do nich.

— A panowie macie jakieś kobiety?

— No pewnie, oczywiście, tak, tak — odpowiada chór głosów.

— To dlaczego ich ze sobą nie zabieracie? Nie nudziłbyście się tak strasznie...

— Kiedy one nie chcą!

— Kobiety nie są dość śmiałe!

— Moja stara powiedziała, że nigdy, że w żadnym wypadku!

Zaczyna się plener. Kolega, który ma w nim wziąć udział, odchodzi. Gośka zostaje tylko pod moją opieką.

— Czy można państwu zrobić zdjęcie? — pyta okraglutki, niski mężczyzna z przewieszonym przez ramię aparatem fotograficznym.

— Nie, dziękuję, my nie jesteśmy naturystami.

Mężczyzna chce odejść, nie zatrzymuje go.

— Dlaczego pan akurat nam chciał zrobić zdjęcie? — pytam.

— Bo dziewczyna piękna — odpowiada z wyraźnym zażenowaniem.

— A po co pan robi te zdjęcia? Przecież, o ile wiem, nie można ich publikować.

— Ależ broń Boże publikować! Ja jestem amatorem. Robię je tylko dla siebie. To są slajdy. Potem wyświetlam je sobie w jesienne wieczory. Fotografuję od kilku lat, już się nieźle nauczyłem. Fascynuje mnie każde piękno. Piękne kobiety. Piękne konie.

Plener trwa. Biorą w nim udział dwie modelki. Wokół tłum fotografatorów. Gośka jest zbyt blisko akcji, dlatego staje się mimo woli trzecią modelką. I to za darmo. Kierują się w jej stronę obiektywy. Odchodzimy.

Trochę dalej siedzi na kocu młody mężczyzna o bardzo szczupłej, delikatnej sylwetce. Jest sam.

— Ile masz lat? — pytam.

— A na ile wyglądam?

— Na szesnaście.

— A mam dwadzieścia trzy.

— Czy masz dziewczynę? — pyta Gośka.

— Nie chcę odpowiadać na to pytanie! — milknie patrząc w ziemię.

Plener się kończy. Nadchodzi wieczór. Równie ciepły jak poprzedni. Czas już opuszczać plażę nudystów w Świdrze. Naczelnik Marczał prosi, żeby stanowczo podkreślić, że nie ma nic wspólnego z tak zwaną „grupą łódzka”. Jest to grupa dysydenta. I za bardzo sformalizowana. Podkreślam stanowczo.

— Będą kandydatki na Miss Czekoladka?

— Będą. Już jest jedna. Opala się od tygodnia.

6.

Plaża jest piękna. Ale brakuje zaplecza. Nie ma wody. Jeść można tylko w zajazdzie „Pod wielkim dębem”, gdzie ceny są wysokie. Przydałby się też ratownik, trzech ludzi o mało się nie utopiło.

Zaczynamy rozmawiać z zamieszkałymi w namiotach naturystami. Okazuje się, że środowisko naturystów jest małe i bardzo skłócone. Ogólnie mówiąc nie przepadają za swoim Naczelnikiem. Zarzucają mu rozwiązłość seksualną. Nieuczciwość finansową. Uważają, że dorobił się na naturyzmie, że ma po siedem panienek naraz.

— Marczałka to wiesz, co interesuje?

— No nie wiem?

— Pieniądże, pieniądze, które na tym robi.

— Dlaczego jest tak mało kobiet?

— Wiadomo, że dziewczyna sama nie przyjdzie, czuje się bezpiecznie, kiedy ma partnera.

A jak już sama przyjdzie, to taka lepsza szmata, która potrafi z dwudziestoma w jedną noc się przespać. Na przykład taka J. brudna, śmierdząca. Tutaj pod namiotami to ja przeleciało siedmiu i każdy mendi zalał. Albo taka K. Nie myła się tydzień, a miał ją każdy, kto chciał. A później wszys było pełno w kocach, we wszystkich. Tutaj to dziewczyny przychodzą tylko z marginesu.

Interesuje nas sprawa plenerów fotograficznych.

— Wiele z tych zdjęć robionych na plenerach i na plaży jest na sprzedaż. Nie muszą być publikowane. Kolega koleże sprzedaje. Takie plenery to w ogóle świetny zarobek.

Interesuje nas, czy przychodzą tu homoseksualiści.

— Oczywiście. Wielu przychodzących tu mężczyzn to homoseksualiści. Jak zauważyliśmy często w krzakach jeden się onanizuje pod dziewczynę, a drugi pod tego onanizującego się. Albo można zobaczyć, jak homoseksualiści czują się w krzakach.

— Dzisiaj biegł za mną jeden — dodaje któryś z mieszkańców namiotu.

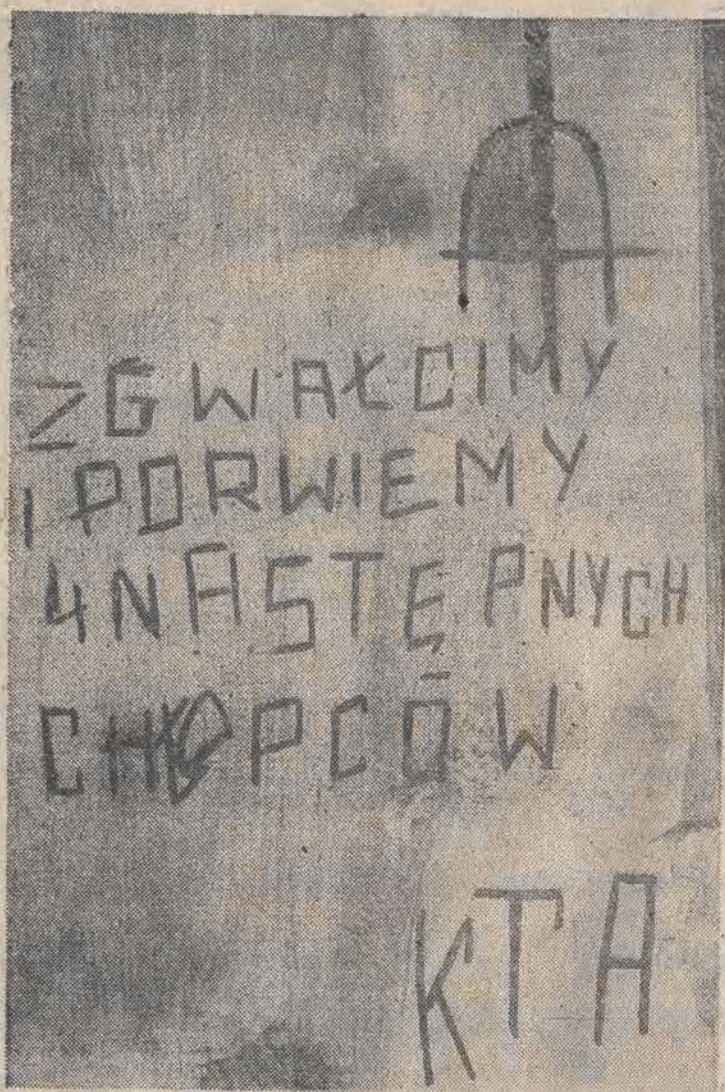
— Albo idzie taki jeden i pokazuje trzymane w ręce pięćset czy tysiąc złotych. Pokazuje to każdemu. Wiadomo o co chodzi. Najłatwiej ich poznać po tym, że rzeczy ciągle mają przy sobie.

— Dlaczego?

— Bo biegają po krzakach.

Ostatni rzut oka na plażę. Zachodzące słońce odbija się w rzece. Plaża pustoszeje. Tylko jakaś para brodzi po wodzie trzymając się za ręce. Ona jest w topless. Patrzy sobie w oczy. Piękny obrazek.





Znak Szatana

ze str. 1

wznieść w tym miejscu symboliczny nagrobek. Tylko czy nie zostanie zniszczony? Szatanisci się odgrają, choć osobście się nie boję i jestem gotów stanąć z nimi twarzą w twarz.

To ciągle podkreślanie, że wyznawcy szatana są — i że się odgrają, znajdowało potwierdzenie u innych mieszkańców Piotrkowa, z którym rozmawiałem. Jeszcze w czasie gdy trwała wizja lokalna, z lasu, mimo tak szczególnej ostrożności milicyjnej, wyszedł mężczyzna, znajomy Stanisława Kaczmarka. On także dużo mówił o strachu, jaki ogarnął ludzi, szczególnie mających dzieci. Najgorzej jest z rolnikami mieszkającymi w oddalonych od wsi zabudowaniach, których dzieci muszą chodzić do szkoły przez las lub do sąsiednich wiosek. Frekwencja już spadła, a to będzie jesienią i zimą, kiedy dni staną się krótkie? — Jakże widzi pan wyjście? — pytam.

— Jeszcze nie wiemy, ale chłopcy chcą zorganizować grupę samoobrony. Chodzi przecież o życie.

Słucham tych wypowiedzi i jakoś nie mogę uwierzyć, że szatanisci tak oficjalnie, bezczelnie, a przy tym głupio, podkreślają swoją obecność w miejscu tylu straszliwych mordów. Chwilami odnoszę wrażenie, że to nie jakaś mała sekta czy grupka, ale potężna organizacja dysponująca niebywałą siłą, rozległymi wpływami i możliwościami. Siła przed którą organa ścigania czują respekt lub wręcz jej się boją.

— Przesadzacie panowie — mówię. — Teraz strach dostał wielkie oczy, urosł. A czy ktoś z was spotkał się osobiście z pogroźkami ze strony czcicieli szatana?

— Nie wierzy pan? — mówi mężczyzna. — To niech pan zobaczy co tam pisze pod wiatą.

Sto metrów od mostu na rzece Wierzeja obok nowego parkingu, na skarpie leśnej stoi drewniana wiatą przeznaczona dla tych, którzy chcą się tu zatrzymać na odpoczynek. Pod wiatą stoi z rozpiętym pniem i takież ławy. Na jednej z nich napis: „Zgwałcimy i porwiemy 4 następnych chłopców. SEKTA.” Nad tym odwrócony krzyż i podpis S.

Grzesio fotografuje napis i jedziemy do mieszkania Mariusza Trynkiewicza na ulicę Działkową 8 w Piotrkowie Trybunalskim. Zaledwie podjeżdżamy, już zbiera się tłum: ludzie czekają, kiedy milicja przywiezie tu zbrodniarza. Ale ludzie się boją.

Mówi Wincenty Czyżkowski, mieszkający piętro niżej:

— Patrz pan, w uniaście zamku są cztery wystające nity. Pierwszy pojawił się po zaginięciu tego pierwszego chłopaka, Wojtka Pryczka. Te trzy — po zaginięciu ostatniej trójki.

Oglądamy drzwi (mieszkanie zaplombowane). Istotnie, są owe cztery nity. Ale najciekawsza jest wizytówka; w prawym górnym rogu Mariusz Trynkiewicz wyciął okno wizerunku. Jest zielone, widać wyraźnie kratę. Wykonał to po warunkowym zwolnieniu z więzienia, czyli latem tego roku.

Mówi inny sąsiad, Wiktor Szymański:

— Chodźcie panowie do piwnicy, to też warto zobaczyć. Idziemy.

— O proszę, wszystkie antały pomalował na czarno, a ten smród, to łizol. On tu trzymał zwłoki tych pomordowanych, a kiedy już zaczęły cuchnąć, oblał wszystko lizolem.

Gdy wychodzimy, okrzężają nas kobiety. Teraz już powstało całe zbiegowisko. Wszystkie mówią naraz. Znowu słyszę o zagrożeniu, o ulotkach wieszanych lub rzucanych na klatkach schodowych, w których grozi się ogniem i mieczem dzieciom, bo wyznawcy szatana na Ziemi Piotrkowska uważają za świętą. Piszą, że zabijają jeszcze 50 dzieci. Tak mówi siwa staruszka, która taką ulotkę czytała. Pytam, gdzie jest teraz ta ulotka? Oddałam dziewczynce, o: z tego piętra. Grzesio Galasiński pędzi na górę, ale okazuje się, że ulotki nie ma, zaniesiono na milicję.

Kiedy wyrażam chęć porozmawiania z rodzicami Mariusza Trynkiewicza, wszyscy mi natychmiast to odradzają. Rodzice odseparowali się od społeczności, nikomu nie otwierają, z nikim nie rozmawiają.

— Przed blokiem — a osiedle jest ładne — nie ma wcale dzieci. Siedzą w domu. Młoda kobieta trzymając za rękę dziewczynkę i chłopczyka, mówi, że kiedy je tak trzyma, to jest pewna, że żyją. Odprowadza je do szkoły i zabiera. Jeśli trzeba będzie, mówi, rzucę pracę, ale nie dopuszczę, aby dzieci znalazły się same na ulicy. Dość nazytałam się tych różnych ulotek.

Niejako na zakończenie pobytu w Piotrkowie odwiedzamy mieszkanie Wojtka Pryczka, tego, który zginął pierwszy. Jego zwłoki znaleziono jakieś 800 metrów od miejsca,

gdzie leżały spalone ciała tamtej trójki. Matka, Zofia Pryczek, właśnie wróciła z wizji lokalnej. Jest zalamana. Na twarzy tej kobiety została wypisana tragedia, jaką przeżyła. Jest nie tylko zalamana, ale i rozgoryczona. Szczególnie ma pretensje do milicji, która, jej zdaniem, zbyt późno uwierzyła, że jej syn nie uciekł z domu, a zginął. Mówi: „Gdyby milicja zaczęła od razu szukać mego syna, tamta trójka żyłaby do dziś”. I zaczyna mi opowiadać, jak syn prosił, by zezwoliła mu pójść po raz ostatni na Wierzeję, jak potem przysłał widokówkę, jak po dwóch tygodniach nadszedł anonim z jego puklem włosów i żądaniem złożenia 50-tysięcznego okupu pod pomnikiem na Wierzejach. Na tym anonimie był odwrócony krzyż...

Słucham słów tej rozpaczliwie osamotnionej kobiety z pustymi oczami, w których zabrakło też i przychodzi mi na myśl antyczna Niobe zastygła w mierzającej boleści.

— Nie mam syna — mówi. — Nie mam już nic. Zostały tylko te zeszyty z piątej klasy.

Ostatnią wizytę składamy na cmentarzu w Piotrkowie. Od cmentarza w Woli Kamockiej rozpoczęliśmy, kończymy także wśród mogił i krzyży. I jak tam, u jakiegoś grobu, dwóch spoczywa na samym końcu, w pobliżu muru. Krzyż Kaczmarek i Tomek Łojek leżą obok siebie, Wojtek Pryczek jakieś dziesięć metrów od nich. Gdy stoimy nad mogiłą, przypominają mi się nagłe słowa ojca Krzysia, pana Stanisława Kaczmarka: „Mój syn miał dwa ciocy toporkiem w głowę i szesnastkę pchnięt nożem”.

Zaiste, jest to dzieło szatana!

Zdawałoby się, sprawa — przynajmniej dla organów ścigania i dla społeczeństwa — jest jasna: zbrodnia została ujęta, do winy się przyznał, nawet pokazał, gdzie i jak ukrywał ciała pomordowanych. Niestety, to zaledwie część prawdy. Na tę drugą część składa się wiele niewiadomych. A więc: czy jest możliwe, by w czteropiętrowym bloku nikt nie słyszał bójk, szamotaniny, krzyków mordowanych? Nikt nie zauważył wynoszenia ciał? A sam fakt mordu? Jeśli nie podał chłopcom środków odurzających, to jak mógł jeden, nienadzwyczajnie posurwany męczyzna zabić wszystkich trzech? Nie bronili się, czy co? Tym bardziej, że Krzysztof Kaczmarek uprawiał judo i karate. A może morderców było kilku? W rozmowie przed blokiem, gdzie mieszkał Mariusz Trynkiewicz, kobiety twierdziły, że na rozrzuconych ulotkach pisano, że jeśli Trynkiewicz nie zostanie wypuszczony na wolność, to ulice Piotrkowa zostaną skapanie w dieciej krwi.

W mieście panuje psychoza. Wykształcił się swoisty odruch warunkowy: ludzie gotowi są każdego przybyśza brać za służącego szatana. Opowiadano, że jakiś podstępny mężczyzna zaczął dziewczynkę. Może pytał o drogę, może o godzinę. To wystarczyło: został dotknięty pobity i tylko cudem uniknął samosądu. Ludzie widzą i słyszą rzeczy symptomatyczne i dające do myślenia: jakieś ogniska ułożone w trójkąt, znaki pojawiające się w świetle ulicznych latarni. W lasach otaczających Piotrków jest ponoć obfity wysiew grzybów, ale nikt do lasów nie chodzi. Nawet już nie jeździ się drogami wiodącymi przez lasy.

Wczesnym wieczorem Piotrków Trybunalski stał się miastem wymarłym. Strach wyolbrzymia się wraz ze zmrokiem, by w nocy osiągnąć monstrualne rozmiary.

Rano, otworzywszy drzwi, ludzie przede wszystkim sprawdzają, czy nie ma gdzieś kartki z wizerunkiem odwróconego krzyża i podkowy z napisem „SZATAN”.

Mariusz Trynkiewicz w czasie wizji lokalnej raz jeden jedynie przejął odruch ludzkiego uczucia, a może był to z jego strony grzecznościowy zwrot, bo gdy znalazł się na miejscu spalenia pomordowanych przez siebie chłopców, powiedział: „Przepraszam matki tych dzieci, że sprawilem im ból”.

EUGENIUSZ IWANICKI



Mówi: Stanisław Średziński

W Śródmieściu pracuje 85 tys. ludzi, mieszka i uczy się — jeszcze więcej. W Śródmieściu znajduje się połowa łódzkich kin, niemal wszystkie teatry, a także m.in. 11 placówek kulturalnych, w których poprzez koła i pracownie zainteresowani, sceny amatorskie, kabarety, można się też stać twórcą w pełnym tego słowa znaczeniu. 6 spośród tych placówek związanych jest bezpośrednio ze śródmiejskimi zakładami pracy.

— Wszystko to nie zaspokaja jednak potrzeb mieszkańców i pracowników dzielnicy — twierdzi Stanisław Średziński, kierownik klubu bankowców „Krezus”, a jednocześnie szef mającego siedzibę w tymże klubie Międzyzakładowego Ośrodka Kultury Robotniczej. — Dlatego też od 1983 roku zaczęły powstawać zakładowe komisje kultury.

Później zrodziła się potrzeba powołania również ciała, które by działalność tych komisji koordynowało, wspierało. I tak właśnie powstał Międzyzakładowy Ośrodek Kultury Robotniczej.

— Dlaczego w jednych zakładach komisje kultury powstały, a w innych nie? Od czego to zależało?

— Od wielu rzeczy: stosunku dyrektora do spraw kultury, działalności zakładowych organizacji społeczno-politycznych, od potrzeb kulturalnych załogi... Niektóre komisje powstały spontanicznie, inne — na skutek świadomej akcji organizacji partyjnej, związkowej, młodzieżowej... które postanowiły w sferze kultury działać wspólnie, a nie osobno, ponieważ uznają, iż razem więcej zdołają zrobić.

— Zadaniem MOKR jest szkolenie działaczy zakładowych komisji kultury, inspirowanie ich, ukierunkowywanie...

— Tak. Z tym, że my nie chcemy nikomu niczego narzucać. Nie mówimy też, że wystarczy do nas przyjść raz czy dwa, „zaliczyć” jakieś szkolenie i... sprawa załatwiona. Nie dajemy gotowych recept. Każdy taką receptę musi znaleźć sam dla siebie i swojego zakładu. My możemy tylko stworzyć ku temu lepsze warunki.

— Czy działalność w zakładowych komisjach jest społeczna?

— Tak. Jedyną materialną korzyścią są bezpłatne lub ulgowe karty wstępu do naszego klubu „Krezus”.

— A pan, jeśli można wiedzieć, ile zarabia?

— Dokładnie nie pamiętam. Musiałbym zajrzeć w „papierzy”. Ale wszystkich będzie teraz nie więcej niż 35 tys. złotych.

— I chce się panu za te pieniądze tak pracować? Bo przecież pracuje pan więcej niż 8 godzin dziennie, o różnych porach, w soboty, niedziele.

— Raczej tak. Bywa nawet, że pracuję cały dzień. Ale ja to lubię i może dlatego na pieniądze zwracam mniejszą niż inni uwagę.

— Lubi pan robić coś, działać, organizować?

— Tak. Ja pochodzę z nauczycielskiej rodziny i pamiętam, od najmłodszych lat ciągle coś tam robiłem. Te tradycje aktywności kulturalnej kultywowała babcia, która ciągle angażowała swoje wnuki w jakieś teatrzyki, recytacje... Podobnie było w harcerstwie, w ZMS, gdzie działałem i gdzie już starałem się także uaktywniać innych, wciągać ich w tę kulturę tak, jak i ja byłem wciągany.

Później, kiedy zacząłem pracować — jako zwykły pracownik w PSS „Spolem” — wspólnie z kilkoma innymi zapaleńcami też od razu starałem się coś robić. Na początek — rzeczy proste: wycieczki rowerowe choćby. Potem powstały z tego ambitniejsze działania, jak np. nasz kabaret „Spod lady”, z którym byłem związany 8 lat.

— Pracował pan też w ZSMP, prawda?

— Tak. W Zarządzie Łódzkim pełniłem funkcję sekretarza komisji kultury. Tam z koleżanami np. „imprezy w walcach”. Polegało to na tym, że jeździliśmy po wsiach, organizując tam całonocne właściwie spektakle i dla dorosłych i dla dzieci, połączone z zabawą. Wszystko to dawało mi nie tylko satysfakcję, ale i pewność, że taka działalność jest potrzebna.

— A kiedy ta satysfakcja była większa — na początku, kiedy sam pan coś tworzył, grał, czy też później, kiedy stał się typowym działaczem?

— To trudne pytanie, gdyż wraz z wiekiem i doświadczeniem zmienia się kat widzenia wielu spraw, a także — poczucie wartości tego, co się robi. Na pewno duże zadowolenie daje mi świadomość, że to, co robie, jest komuś naprawdę potrzebne.

— Nie „zurdniczył” pan?

— Trochę chyba tak. Ale kierując dwiema placówkami, nie da się tego zupełnie uniknąć.

— O czym pan jeszcze marzy?

— Może to zabrzmieć dziwnie, ale przede wszystkim chciałbym, aby MOKR rozszerzył swą działalność na wszystkie 74 zakłady pracy Śródmieścia, w których mogą i — naszym zdaniem — powinny istnieć zakładowe komisje kultury. Bo na razie są w mniej niż połowie przedsiębiorstw.

Drugim moim wielkim marzeniem jest napisać powieść o starości przedprzemysłowej Łodzi, adresowaną do takich 8-latków, jak mój syn. Mam już nawet pomysł, gorzej z czasem. W związku z tym kto wie, czy nie napiszę tej powieści dopiero dla mego wnuka.

— Uważa pan, że naprawdę wszędzie trzeba tworzyć zakładowe komisje kultury? Że wszędzie będą one prowadziły autentyczną działalność?

— Nie chcemy nikogo uszczęśliwiać wbrew jego woli. Nie chcemy też patrzeć na nasze działania wyłącznie przez pryzmat statystyki. Dlatego nie będziemy tworzyć komisji na siłę, a jedynie — pomagać tym, którzy sami dla siebie zechcą je powołać do życia. Wiem natomiast dobrze, że potrzeby kulturalne mają wszyscy, choć może nie w pełnej sobie to uświadamiają, nie potrafia tych potrzeb sformułować, nie wiedzą do kogo zwrócić się o pomoc.

— Tylko czy zakład pracy jest odpowiednim miejscem do zaspokajania tych potrzeb? Ostatnio mówi się, że w zakładzie pracy trzeba pracować i to przez pełne 8 godzin.

— Nie zamierzamy ludzi odrywać od biurka, czy maszyny, zaś hali produkcyjnej zamieniać w świetlicę. I tak też podchodzi do sprawy większość członków zakładowych komisji kultury. Równocześnie twierdzimy jednak, że przy dobrej organizacji daje się z powodzeniem pogodzić produkcję i działalność kulturalną na terenie zakładu pracy. Co więcej, taka działalność nie tylko integruje ludzi, wiąże ich emocjonalnie z przedsiębiorstwem, ale także wpływa chyba na podniesienie wydajności.

— Jeśli tak, to życzyć w takim razie spełnienia marzeń.

Rozmawiał: PAWEŁ TOMASZEWSKI



Ojciec Krzysia Kaczmarka



Foto: Grzegorz Galasiński

Obcy

nie okradasz nikogo
nie zabijasz
nie dajesz fałszywego świadectwa
tylko zniecierpliwiony
przyglądasz się polonische Wirtschaft
nepotyzmowi tyranów w kraju odległym
od zaradności twojego świata
który zapomni o wszystkim
z wyjątkiem natury
wrażliwy na tajemnicze krajobrazy
wokół postaci z Ostatniej Wieczery
na wyspie z początku i końca marzeń
otwierasz ją ostrożnie jak muszlę
moż lekko wchodzić
słuchając muzyki w pepku ukochanej
i odbijając migotanie latarni morskiej
— odwieczny porządek
• który plątki serca biją
...jak cma

GŁOSNE KSIĄŻKI

Rajski Ogród

Zmarły blisko 27 lat temu Ernest Hemingway nie stracił na popularności, tak jak do dziś jego dzieło wywiera znaczący wpływ na literacki obraz świata. „Rajski Ogród” (The Garden of Eden), dziesiąty już tom Hemingwaya wydany pośmiertnie, ukazał się w 1986 r. — czytamy w od nowa wydawanym piśmie „Ameryka”. Jesień 1923 — a redaktor, który go opracował, skomponował powieść z kilku istniejących wersji rękopisu. Większość krytyków jest zgodna co do tego, że nowa powieść ukazuje nieznane dotychczas twarz Hemingwaya, którego postać wywoływała co najmniej tyle samo zainteresowania, co jego pisarstwo.

Na temat nowej powieści Hemingwaya wypowiedziało się już wielu wybitnych znawców jego pisarstwa, jak i krytyków. Jakkolwiek opinie są różne — jak to zwykle bywało przy okazji ukazywania się kolejnych dzieł pisarza — jednakże wszyscy są zgodni co do tego, że ostatnia powieść największego wrześnie wywołuje na jego kolegach — pisarzy.

Oto co napisali w „The New York Times Book Review” (podajemy za „Ameryka”) wybitny znawca przedmiotu, E. L. Doctorow: „Tutaj wracamy znowu do problemu wydawania dzieł wielkiego pisarza po jego śmierci. Prawda, że w takich okolicznościach można dokonać czegoś jedynie po to, żeby podkreślić siłę pisarza i uwidocznić to, co było jego stylem, które uczyniły go sławnym. Tylko on sam, pisząc dalej, mógłby tę powieść ulepszyć. Nie może to być książka, jaka Hemingway wyobrażał sobie w najambitniejszych momentach swojej pracy nad jej realizacją, w którą zaangażował się nieprzerwanie przez co najmniej piętnaście lat. Ta książka powinna być wydana jako to, czym faktycznie jest: jako fragment pewnej całości, część tego, co projektował autor. Wiele w tej książce świadczy o tym, że dzieło, które tutaj coś niezwykle podniecającego; umysł pisarza wzbogaca się o współzuciecz, przestaje zachowywać jedynie defensywną postawę wobec rzeczywistości. Kluczem jest tu postać Katarzyny Bourne. Jej zachowanie wskazuje na to, że mogłaby w prostej linii pochodzić od pani Macomber z książki „Krótkie, szczęśliwe życie Franciszka Macombera”, czy Frances Clyne, kochanki Roberta Cohna z książki „Słońce także wschodzi”, a więc od tego rodzaju kobiet, których autor dotychczas nie znośił i które potępiał.”

Biorąc pod uwagę wielką ilość osób i wielorakie punkty widzenia (w innych wersjach rękopisu zamiarem autora mogło być coś zupełnie innego, niż otrzymaliśmy; być może miał to być zrewidowany pogląd na „stracone pokolenie”, czy też ponowne odczytanie owego rodzaju amerykańskiego życia „ex patria”, odczytanie go w szerszym kontekście, który nadabył głębszą wymowę tej książce. Wiele jest w niej wskazówek i nieomylnych znaków sugerujących, że Hemingway próbował przerobić pierwotny materiał tak, aby było w niej mniej romansu i mniej przesadnej literackiej gorliwości a więcej prawdy. Jest to niesłychanie interesujące, ponieważ świadczy o tym, że pomimo całej sławy, pomimo Nobla, pomimo fizycznych uder, na jakie sam się niejako skazywał, pisarz wciąż się rozwijał.”

Oprac. M. B.

Od stylu młodopolskiego do najnowszych i najmłodniejszych turpizmów — tak szerokie zróżnicowanie stylów charakteryzuje współczesną polską poezję Wileńszczyzny, zebraną w antologii pod takim właśnie tytułem. Przygotowana została w ramach programu międzyresortowego w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego pod kierunkiem prof. dr hab. Zofii Kurzowej i — jak twierdzi autorzy słowa wstępnego — jest reprezentatywna dla polskiej twórczości poetyckiej na Litwie; dobrze to świadczy o poziomie twórczym środowiska — antologia w całości jest interesująca, a kilku z prezentowanych poetów osiągnęło wysoki stopień oryginalności i doskonałości warsztatowej. Mam na myśli Sławomira Worotyńskiego (nieestety już nieżyjącego), Henryka Mażulę i Wojciecha Piotrowicza. Wspomniana oryginalność poetycka nie jest bynajmniej tożsama z rewolucyjnymi tendencjami w zakresie warsztatu i metody; poezja ta tkwi mocno w nurcie poezji polskiej, zdradzając rozliczne pokrewieństwa i inspiracje, co nie o samej tylko erudycji świadczy — także o podwójnym wyborach i umiłowaniach. Epigramatyczna zwięzłość uderza w miniaturach poetyckich Worotyńskiego i Mażulę — tego pierwszego utworów o szacie bardziej tradycyjnej, drugiego zaś bardziej nowoczesnej — i nie sposób odepierać narzucające się skojarzenia z formułą miniatur Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, czy z surową zwięzłością Tadeusza Różewicza.

Wszelchobecnym jest, w utworach prezentowanych w niniejszej antologii, biograficzno-literacki mit Adama i Maryli, stanowiąc o konstrukcyjno-tematyczną i filozoficzną wykładnię tej poezji.

Wszelchobecną są echa rozmów w Bołcentkach i Tuchanowiczach — „Jakieś wołania, które wiatr wlewał niesie/ Hen od Galki”; źródło natchnienia: „Żywa studenteria — /może masz coś w sobie/ Z iskry Filareta?”; trwają „W pamięci smudze/ I długie bazylikańskie korytarze” — „A w kaplicy czasem syczące się zdarza/ „Zamknięte drzwi/ Guślarza” i nad Wileńską „w tym miejscu/ stol wlewać mości/ na przelich pierwej swrotki/ z „Pana Tadeusza”. — To „Mickiewiczowskie Wilno” — tak można odtworzyć z fragmentów wierszy poetyckich wielogłos, polifoniczną poetycką wypowiedź twórców Wileńszczyzny. I jeszcze same tylko tytuły mickiewiczianów: „Do Maryli”, „Echo legendy”,

Inkluzy

„26.XI 1855 w Konstantynopolu”. „Tryptyk romantyczny”. „Zima Adama Mickiewicza”. „Harfa Maryli”.

Mickiewiczowskie ziarno, zasiane w ojczyzną, leżące w wydłubionej owoce. Współistnieją w nich motywy przemijania i motywy nieśmiertelności. Są zarazem źródłem tożsamości twórczej i punktem odniesienia do własnych egzystencjalnych poszukiwań.

„Gra w szachy los z Marylą”.

Wiele pytań i oczekiwań zawartych zostało na kartach tej poezji; odwieczny pytan o miejsce i przeznaczenie „Przez siebie i miast”/ „chodząc pytając głębiej/ która jest teraz chwila? / I niki mi nie odpowiedział” — „I na ciebie żaden dzwon nie dzwoni”; odwieczny niepokój i pragnienie — „Mimolotnie/ Wzjęcie się do ręki/ — Aby w latarniach nie zgasiła nadzieja/ Na rozpogodzenie”. Mickiewiczowskie inspiracje jawią się

jako summa wiedzy, mająca pomóc w wyjaśnieniu świata i zaspokoić dręczące niepokój i oczekiwanie: „Ni Tadeusza ani Telimena/ Jeszcze nie przyszli/ A czas grzybobrania”. By wtłumaczyć świat, poeci sięgają także do innych źródeł inspiracji: „zagadkowe figury/ podobne do znaków Zodiaku/ z obrazów Ciurlonisa...”, „skreślić powrót z wiersza/ sprawdzić czy wytrzyma” (pamięć Rafała Wojaczka), „I dźwiga okręt-zława Twoja tajemnica”, (Przed obrazem Ferdynanda Ruszczyka), „Zagladam w ziemskie oko — / W studnię dzieł Syrokomli”.

Ten wielogłos poetów Wileńszczyzny zmierza do pointy, która niech będzie następująca polemika: „Tracimy czasem Coś, tracimy/ By nie odnalazł nigdy potem” — „Inkluzy — listy/ Pamięci oazy/ Z zamierzonych czasów/ Niosą okrucy fauny i flory/ Zaginionych światów/ I lasów”. Te właśnie inkluzy — słowa współczesnych polskich poetów Wileńszczyzny — nie oderwały się od bujnego drzewa poezji polskiej, nie zostały atakowane i przemówiły dziś na kartach antologii.

EWA-KATARZYNA NOWAK

Współczesna polska poezja Wileńszczyzny. Antologia. (Michał Wołoszewicz, Jadwiga Bebnowska, Aleksander Sniecko, Maria Łotocka, Romuald Mieczkowski, Wojciech Piotrowicz, Sławomir Worotyński, Aleksander Sokolowski, Henryk Mażul, Jan Ciechanowicz). Wybór, wstęp i opracowanie Jacek Kajtoch, Krzysztof Woźniakowski. Wydawnictwo POLONIA. Warszawa 1986.

PESTKI DYNII

Opowiedziano mi następującą historię. Otóż pewien były żołnierz, dziś już emeryt, który walczył na kilku frontach i dzielnie w bitwach i potyczkach stawał, ubierał sobie nieco medali i odznaczeń. Jedne dostał — jak to się mówi — na polu bitwy, inne już po wojnie. Za jedno płacono mu w walucie wymiennej, inne były czysto honorowym uznaniem jego umiejętności bojowych i żołnierskiej dzielności. Ponieważ pieniądze — te prawdziwe, powiedzmy funty — otrzymywał drogą oficjalną, przez nasz bank, a nie chapał ich po kryjomu z zagranicznego konta, w czasie wycofania z „Orbisem”, rozliczono się z nim wedle przyjętych w naszym kraju zwyczajów i stawek. Dla kogo te stawki i zwyczaje były korzystne, dla kogo nie — pominię.

Jak już rzekłem, były dzielny żołnierz od paru lat jest na emeryturze, nie najwyższej — budował bowiem użyteczne nie jako promiennik, a szeregowy obywatel. Zresztą i w wojsku generałem nie został; miał zawsze dziwne upodobanie do niższych szczebli i solidnej roboty. Zdarczają się takie dziwne charaktery nie tylko w książkach i w kinie, ale i w życiu. Lecz one doprawdy nie wiedzą, co czynią.

Ostatnimi czasy ów szeregowy obywatel i dzielny, niegdyś żołnierz doświadczył tego, co się nazywa ogólną podwyżką emerytury. Doświadczył również tego, co się nazywa podatkiem od wzbogacenia, czyli domiarem; tyż się on sumy „dochodów” z kilku minio-nych lat. A trzeba ją uścić tylko w pieniądzu właściwym, powiedzmy w funtach, czyli tych, które ów był żołnierz dostaje za odznaczenia i medale. I słusznie, życie jest bowiem piękne, ale drogie, o, drogie...

Ja, panie ministrze od spraw skarbu, mam jeszcze taki pomysł, żeby ustalić oficjalny podatek za — na przykład — krzyże i Virtuti Militari. Ma ktoś taki — niech płaci i to nie-mało. Ma ktoś dwa — niech płaci jeszcze więcej. Zostało jeszcze chyba kilku, co się owych krzyży dochrapali. Można by ów podatek rozszerzyć i na inne medale, te z pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, osiemdziesiątych, dziewięćdziesiątych — o, pardon, trochę się zagalopowałem z tym planowaniem.

Powie ktoś, że stroję sobie ponure żarty. Ja mu odpowiem, że owszem, jest to ponure — ale to nie są żarty. W każdym razie nie dla kogoś, komu się każe płacić podatek za to, że się kiedyś dobrze bił; i to w tej ojczyźnie, za którą się bił.

Co, że patetyczne? Lepszy zdrowy patos od patosu chorego — od tego mamy chore dusze i chore żołądki.

ANDRZEJ GRUN



Rys. Andrzej Grun

Wiadomości spod Parnasu

sigroszów zapewniłam: opłaca się. Urody Meteorów, ich widzenie i monumentalizm odczucia nie wyrówna żaden ekwiwalent pieniężny. Nawet w najtwardszej walucie.

Ci, którzy poznali urok greckiego południa decydują się na wyjazd w te właśnie regiony, wszak tam dopiero zaczyna się antyczna Grecja. Nie dojeżdżając do Kanalu Korynckiego można zboczyć z drogi, aby przejść ruinami starożytnych Delf, które współcześni Grecy uratowali od zniszczenia. W ubiegłym roku bowiem zapadła decyzja o budowie wytwórni tlenku glinu. Fabryka miała powstać niespełna 15 kilometrów od Delf, w małym miasteczku Agia Eftymia. Trzeba pamiętać, że górskie pasmo Parnasu, w którym leżą Delfy, zbudowane jest ze skał wapiennych, które (reagując z dwutlenkiem siarki wyrzucanym kominami), uległyby szybkiej erozji. W ten sposób w krótkim czasie Delfy czekałaby zagłada.

Głosy niepokoju o przyszłość Delf spowodowały, że korzyści finansowe, jakie płynęłyby z wytwórni zostały usunięte w cień. Od początku przeciwstawiał się tej decyzji Melina Mercouri i resort kultury, którym kieruje. Mimo jej popularności

udało się uzyskać niewielkie ustępstwa projektantów. Niezadowolone z tak rozwijającej się sytuacji przeobraziło się w spontaniczny ruch pod nazwą „Uchronić Delfy”. Koncern chemiczny Hellenic Aluminium S.A. wstąpił na wojenną ścieżkę z dwudziestoma najwybitniejszymi greckimi naukowcami, którzy tworzą rządowe ciało doradcze — Radę Archeologiczną. Nawet ich racje nie były w stanie przekonać kół finansowych o błędnej lokalizacji wytwórni. Walka o Delfy stała się sprawą międzynarodową. Wszystko wskazywało na to, iż budowa zostanie rozpoczęta, dopiero na kilka dni przed rozpoczęciem prac podano, iż budowa zostaje wstrzymana i przeniesiona do miejscowości Domvarina nad Zatoką Koryńską.

Po kilku godzinach zwiedzania tego, co prze-trwało 2500 lat i nowej części Delf z mnóstwem sklepików sprzedających pamiątki, równie tandenne jak w Polsce, zjeżdżamy w dół, przez łąkę na camping Galaxidi. W Delfach, co kilkadziesiąt metrów tablice ostrzegają przed wynoszeniem kamieni z ruin, upraszają aby nie dotykać oraz żeby śmieci i niedopałki wrzucać do koszy, których — nigdzie nie ma. W Starym Koryncie, mimo podobnych tablic włoscy turyści wieszają się na fryzjach kolumn. Służba porządkowa zupełnie nie zwraca na to uwagi, natomiast turysta, który pod hy-drantem dokonywał ochładzających ablucji do-stał sroga i głośną reprymendę.

Po trzydziestu minutach jesteśmy na campin-gu. Chce się napisać „a na campingu jak to na campingu”.

BOGUMIL A. MAKOWSKI

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

PETER BROOK O SOBIE

„Kiedy pana słucham — mówi Peter Brook reporterowi tyg. „Niedziela” — wszystko rozumiem, gdybym natomiast sam zaczął mówić po rosyjsku, to wątpię czy wywiad by się udał. W roku 1914 mój ojciec prze-niósł się z Rosji do Anglii i było rzeczą naturalną, że wśród jego przyjaciół przeważali Rosjanie...” Kim byli rodzice? „Nie mieli nic wspólnego z teatrem. Byli naukowcami. Można jednak mówić o pośrednim oddziaływaniu ich intelektu na mnie...” Pospiesz się poznać Nata-sza Parry, moja żona, rodaczka (Rosjanka) i aktorka, nawiasem mówiąc, występująca w mojej paryskiej i nowojorskiej reali-zacji „Wiśniowego sadu”. A oto nasz syn, Simon: studiuję reży-serię filmową, tutaj także się czegoś nauczył, między innymi u Nikity Michalkowa i u gruziń-skich mistrzów ekranu. Córka, Irena nie mogła nieestety przyje-chać z nami: jest również aktorką, gra Anię w paryskim „Wi-sniowym sadzie”.

Największym niebezpieczeń-stwem dla teatru każdego kraju i każdego kierunku są próby przekształcenia go w organizację biurokratyczną. Bacznie dbamy o to, żeby nasz Międzynarodowy

Ośrodek Twórczości Teatralnej nie przekształcił się w filię ONZ. Bo inaczej trzeba byłoby przyjąć założenie, że jeśli na przykład mamy aktora z Jeme-nu Południowego, to obowiązkowo musi być wśród nas także aktor z Jemenu Północnego. Za-proszenie artysty z tego lub in-nego kraju wiąże się z zamy-słem lub zarysem spektaklu. Jeśli mam być szczery, to daw-no chciałem zaprosić aktora z Kraju Rad. Ale badamy reali-stami i powiedzmy sobie uczci-wie: do niedawna rozmowy o współpracy z nami w dziedzinie kultury ciągnęły się latami, a kiedy — mimo wszelkich trud-ności — został podpisany kontrakt, to przed wyjazdem na zdjęcie lub na próby okazywało się, iż ni-stąd ni zowąd, że aktor nagie „zachorował”. Bariery biurokra-tyczne zniechęcały do prowadze-nia takich rozmów...

Wierzę w końcowe zwycięstwo sprawiedliwości, w ludzki rozum i zdrowy rozsądek. Gdyby mi zaproponowano całe zioła świata za wystawienie „Mechanicznej pomarańczy”, nie przyjąłbym tej oferty: nie chcę uczestniczyć w czymś destrukcyjnym. Dla mnie sztuka — to życie, tyle że bar-dziej skoncentrowane (choć za-teraz w teatrze światowym wie-le rzeczy się zestarzało). Misją teatru jest pokazywanie czegoś

nowego, niezwykłego w każdej sytuacji ludzkiej, w każdej isto-cie. Teatr pozwala każdemu po-stawić sobie pytanie o sens i istotę tego, co się dzieje. Nasce-nie, na ekranie, w życiu”. (Mie-sięcznik „Teatr” nr 8).

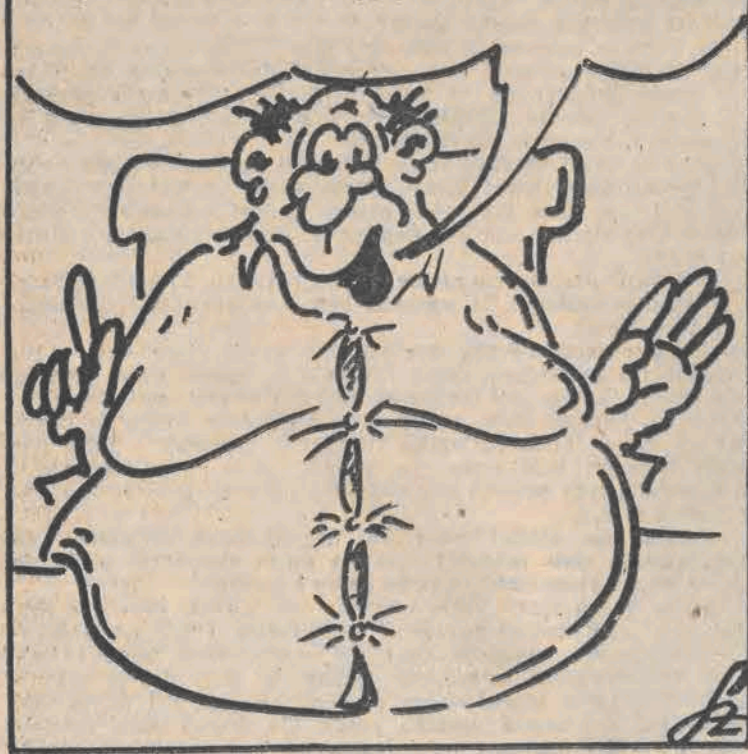
NA PIERWSZYM MIEJSCU — JANUSZ GŁOWACKI

Choć z opóźnieniem jednakże warto odnotować godny uwagi fakt, iż tygodnik „Time” w o-głoszonej liście dziesięciu prze-bójów teatralnych ubiegłego roku, na pierwszym miejscu (po-dobnie jak w piśmie „New York Newsday”) wymienił sztukę Ja-nusza Głowackiego „Polowanie na karaluchy”, która wprze-dziła tak wybitne pozycje jak „Ma-habharata” Petera Brooka. O-prócz Manhattan Theatre Club w Nowym Jorku sztukę Janu-sza Głowackiego została wysta-wiona przez Arthura Penna, re-żysera prapremiery, w Mark Ta-pper Forum or the Los Angeles Music Center ze Swoosie Kurtz i Malcolmem McDowellem w ro-lach małżeństwa polskich emi-grantów. Sztukę Głowackiego wystawił także Alley Theater's Hugo Neuhaus Avena Stage w Huston.

FIASKO „PIRATÓW”

„Jeżeli się robi film z ga-tunku horroru — powiedział dla „Der Spiegel” Roman Polański — to naprawdę może się przy-trafić coś gorszego niż porów-nanie z Hitchcockiem. Ponieważ on przez całe życie kreślił i do-skonalał horrory, to po prostu nie można uniknąć takiego po-równania... Najpierw zastanawia-łem się, jak mogłbym zarobić pieniądze, gdyż po fiasku „Pira-tów” zupełnie zbankrutowałem. I wtedy ludzie z Warner Bro-thers nagle spytali, czy mam ja-kis pomysł na film. Naturalnie odpowiedziałem: „Ależ oczywiście”. I musiałem coś szybko wy-myślić. Wystrzeliłem: „Horror, którego akcja toczy się w Pary-żu”. Powiedziałem „horror”, po-nieważ rzeczywiście wreszcie chciałem znowu nakręcić horror, a Paryż dlatego, że chciałem tu mieszkać przez jakiś czas, po dwóch latach spędzonych w Tu-nezji... Myślę po prostu, że zbyt długo trwało, nim film („Pira-ci”) został ukończony. Podczas pracy wiele się zmieniło, pod koniec już nie nie pasowało. Koncesje, które musiałem uzy-skać, zniszczyły film. Mimo to, myślę, że jest lepszy niż przypu-szcza większość ludzi. Po prostu pojawił się za późno. Kiedy go wymyślałem, nie było ani „Star

NIE UKRYWAM, ŻE NASTAŁY DLA NAS CIUDE LATA.



Rys. Sławomir Łuczyski

— Podczas tegorocznej kanikuli intensywność życia wystawowego w Biurze Wystaw Artystycznych jakby osłabła. Odnowienie Ośrodka Propagandy Sztuki i Galerii przy ul. Wolskiej, to ponad połowa powierzchni jaką dysponuje. Niemniej w Galerii Bałuckiej oraz w Salonie Sztuki Współczesnej wystawy odbywały się normalnie.

— W Galerii Bałuckiej mieliśmy ostatnio malarstwo warszawianina Jacka Białkowskiego. A końcówkę wakacji wypełniła pokaz grafiki zagranicznej z naszych zbiorów — mówi Bernard Kepler, dyr. Biura Wystaw Artystycznych.

— Możemy porozmawiać o grafice w zbiorach łódzkiego BWA, lecz zanim co dodamy, że w

my też pokazaliśmy zbiór polskiej grafiki współczesnej. Niektórych autorów, łódzkich i nie, tylko mamy kompletne zestawy prac. Nastawiliśmy się na dokumentowanie dorobku artystów najwybitniejszych spośród żyjących a także wchodzących dopiero na rynek sztuki. Na przykład prace takich artystów, jak Stanisław Fijałkowski, Antoni Starczewski, Leszek Różga mamy po kilkadziesiąt. Zbieramy też wszystko to, co jest na papierze, a zatem i rysunki, z tym, że są to rysunki tylko autorów polskich. Między innymi tak znanych artystów jak Kulski, Brzozowski czy Lebsztyn. Których prace udało nam się pozyskać na Targach w Poznaniu.

chwili możemy porównywać się z krakowskim Biennale czy graficznymi imprezami międzynarodowymi.

— Istotnie, powodów do kompleksów nie ma i możemy powiedzieć, że grafika jest niejako łódzką specjalnością, przynajmniej jeżeli chodzi o Biuro Wystaw Artystycznych. Różne się na to złożyły przyczyny, wśród nich i ta, że w Łodzi nie uformowało się, poza głosną swego czasu Grupą Realistów, silne środowisko malarzy. No a poza tym pana osobiste zainteresowania grafiką...

— To prawda, nigdy ich nie ukrywałem. A jeżeli chodzi o malarzy. Nie zawsze było tak. Łódzkie środowisko było ukierunkowane, graficzne. Byli okazy, kiedy wielu znaczących malarzy jakby nadawało ton, najczęściej jednak byli to artyści, którzy łączyli te dwie dyscypliny: malarstwo i grafikę. I to było dominujące. No, może jeszcze niewątpliwie wpływ miało powstanie Triennale Tkaniny — środowisko tkaczy łódzkich jest równie znaczące.

— Przywykliśmy do określenia wszystkiego mianem „szkoly”, może to przesada, ale...

— Niemniej tak zarytetykowaną wystawę zorganizowano w Krakowie.

— Krakowska szkoła grafiki, krakowska grafika była i jest zdecydowanie dominująca. Na tej wystawie zwrócono jednak uwagę, że nie dostrzegaliśmy tam braku, a przykład artystów warszawskich, że jeżeli jakkolwiek brak daje się zauważyć, to właśnie Łódź. Później krakowska akademia zaprosiła prof. Stanisława Fijałkowskiego do wygłoszenia wykładu inauguracyjnego, potem zaproszono artystów z jego kręgu, a wszystko to zaowocowało wspomnianą przez pana wystawą.

— Która mogłaby być także w Łodzi, nazwano ją u nas „Łódzki drzeworyt”. Wspominał pan, że BWA kolekcjonuje rysunki.

— Zbiór jest na tyle interesujący, że postanowiliśmy przygotować wystawę, właśnie polskiego rysunku współczesnego, która zamierzamy pokazać w październiku w Paryżu. Wcześniej planowaliśmy jej przedstawienie w Łodzi, ale ponieważ moglibyśmy uczynić to tylko w Galerii Bałuckiej, która okazała się na ten zbiór za mała, zdecydowaliśmy poczekać z tą wystawą do czasu, kiedy możliwe będzie pokazanie jej w Ośrodku Propagandy Sztuki...

— Ale to już są plany, które potwierdzają niejako specjalizację Biura Wystaw Artystycznych w Łodzi.

— Bywałem często za to krytykowany, za taką, można powiedzieć, jednostronność programową...

— Zignorujemy jednak krytykę, liczy się pozycja łódzkich grafików, łódzkiej grafiki, która przeżywa rasadność tego typu zarzutów. Dziękuję za rozmowę.

Bernard Kepler i jego królestwo

Salonie Sztuki Współczesnej druga połowa wakacji zapisuje się głośnie już wystawą fotograficzną Ryszarda Horvitz, prezentowaną najpierw w Warszawie, potem w Krakowie.

— Ja sam nawet nie miałem świadomości, że zbiory graficzne sztuki współczesnej mamy największe w Łodzi. Zawsze sadziłem, że największy zbiór ma Muzeum Sztuki. Pewnie w liczbach bezwzględnych tak jest, nasza przewaga dotyczy sztuki współczesnej. Na niej skupiliśmy naszą uwagę, oczywiście ze szczególnym uwzględnieniem grafiki polskiej i tym, co wiąże się z Małymi Formami Grafiki. Ukazaliśmy się przy naszej imprezie zważywszy, że prawie wszyscy autorzy pozostawiają nam prace z wystawy, tak że mamy już ładnych parę tysięcy miniatur graficznych z całego świata. No i, jak się okazało na spotkaniu zorganizowanym przez Wydział Kultury i Sztuki w sprawie kolekcjonerstwa grafiki w Łodzi, ma-

— Szczególny charakter zbiorów BWA wiąże się właśnie z Małymi Formami Grafiki, impreza, która ma swój niepowtarzalny klimat, bardzo odmienny od wystaw dużej grafiki.

— Nie wypada mi się chwalić, ale rzeczywiście nasza impreza różni się od Biennale krakowskiego i od dużych światowych prezentacji grafiki, które są trochę takimi targowiskami, gdzie sprawa rynku ma ogromne znaczenie. Natomiast nasza wystawa ma, nie tylko ze względu na format prac, charakter bardziej kameralny, powściągliwy nawet rodzinny, chociaż może to nie jest najistotniejsze określenie...

— Jest w tym klimat bezinteresowności, bardzo ważny w sztuce, a zagubiony na wielu innych imprezach.

— Tak. Środowisko graficzne, uczestnicy MFG dają temu wyraz, bardzo sobie tę imprezę cenią. Na tyle się ona rozrosła, że właściwie w tej

Otwarcie sezonu w Teatrze Wielkim

Początek sezonu w łódzkim Teatrze Wielkim przyniósł, jak co roku, kilka imprez nieoperowych (swobodnych „przystawek” do następujących potem, zasadniczych dań).

6 września śpiewała przy akompaniamentzie fortepianowym Krystyna Słoboda, jedna z czołowych sopranów łódzkiego teatru — Delfina Ambroziak. Miała okazję zwracać ostatnio uwagę na niekorzystną manierę — glissandowania, która pojawiła się u tej renomowanej solistki. Konstatując z satysfakcją, że Delfina Ambroziak zdołała tę manierę niemal zupełnie zlikwidować, jest w bardzo wysokiej formie artystycznej, czemu dała wyraz wykonując perfekcyjnie niezwykle trudne intonacyjnie „Erotyki” R. Twardowskiego (utwory jej notabene dedykowane). Ładnie wypadło m. in. 5 wybranych pieśni Karłowicza; w Schumannowskim cyklu „Miłość i życie kobiety” widziałym natomiast potrzebę większego żaru romantycznego.

Następnego dnia w teatralnym foyer — tradycyjnym miejscu recitali — oklaskiwano Paulosę Raptis, która towarzyszyła pianistce Anna Janina Pawluk. Przypomnę, że solista opery łódzkiej był Raptis w latach 1961—73, teraz reprezentuje stołeczny TW i Operę Narodową w Atenach. Pierwszą część festiwalu obejmowała muzykę dawną, druga — pieśni Curtisa i stylizowane, ludowe, innych twórców. Tenor śpiewała brzmnie wyjątkowo dźwięcznie, silnie, posiadała specyficzną barwę, która jednak chyba nie wszystkim musi fascynować tak samo. Nie kwestionowany jest temperament wokalny artysty. Moje zastrzeżenia budzi wszakże jedno:

Raptis w sposób nie różniący się wiele — operowy i romantyczny — interpretuje zarówno popularne piosenki jak i wczesnobarokowe arie Cacciniego i Monteverdiego.

Na kolejny wieczór przewidziano kameralny spektakl dramatyczny. Bogusław Schaeffer (jak wiadomo — kompozytor, teoretyk muzyki, grafik i dramaturg) stworzył w 1964 r. cykl pięciu teatralnych „Audieniec”, z których cztery przeznaczone są dla jednego aktora a jedna (nr III) dla dwójki wykonawców. Wszystkie „Audience”, rozpoczynają się fragmentami adramatyzowanego eseju czy też wykładu dotyczącego nowej muzyki. Akcja przenosi się następnie w sferę prywatności i zaskakujących skojarzeń. Zaprezentowana „Audience III”, rozpoczynająca się rozważaniami o percepcji utworów atonalnych, nabiera stopniowo cech „współczesnego moralitetu operującego groteską i liryzmem dosadnym i zartem i traktowanym z przymrużeniem oka patosem. Clagie transformacje psychologiczne stawiają niełatwe zadania przed aktorami. Wrocławscy goście: Renata Pałys i Wojciech Ziemiański (obok Ewy Sobiech współreżyser tego udanego przedsięwzięcia), wykreowali swe role znakomicie. Zachwycili witalnością i nadwyzczaj rozległą skalą środków wyrazu. Nie zawahaliby się nazwać tego przedstawienia koncertem gry aktorskiej.

10 i 11 września odbyła się uroczysta inauguracja nowego sezonu artystycznego. Oczekiwano jej z dużym zainteresowaniem, gdyż afisze zapowiadały udział Teresy Wojtaszek-Kubiak, niegdyś solistki naszej, lokalnej sceny, obecnie gwiazdy Metropol-

itan Opera w Nowym Jorku (po raz drugi w tym roku występującej w Łodzi po kilkunastoletniej przerwie). Sławną sopranistkę wykonała tym razem 4. Ostatnie pieśni Ryszarda Straussa na głos z orkiestrą do tekstu Lucjana i Lucjanina. Skupione, nie pozbawione melancholii i smutku kompozycje, zaspiewane zostały po mistrzowsku, z subtelnie dozowaną ekspresją. Najsilniej oddziaływała ostatnia, mówiąca o śmierci pieśń „O zmierzchu”, przywołująca temat dźwiękowy z „Śmierci i wyzwolenia”. Ową własnie Straussowski poemat symfoniczny również znalazł się w programie. Zasiadająca na scenie operowa orkiestra zagrała go pod batutą Aleksandra Traczaka bardzo dobrze, w sposób nie ustępujący wyspecjalizowanym zespołom filharmonicznym (ledwie zauważalne były tylko, momentami, niedojrzałości brzmienia kwintetu). Najbardziej pozytywnie okazał się młodzieńczy Koncert d-moll Mendelssohna na skrzypce i fortepian. Francuscy solści — wiolinista Henry Grunier i pianista Jean-Yves Thibaudet nie stworzyli jakiejś szczególnie frapującej wizji dzieła. Partia skrzypka obfitowała wręcz w nieprecyzyjności intonacyjną i chropowatość wyrażającą się w niewybrowanym często dźwięku.

Po ciekawej inauguracji Teatru Wielkiego tymczasowy wypada pomyślnego sezonu.

Rozmawiał:
JANUSZ JANYST

Kurtyna otwarta. Poszum lasu dochodzący spoza horyzontu. Z cienia wysuwa się ręka zdająca się nie mieć końca. Ktoś dziecięcym głosem pyta instruktorkę: — „A czegoś chcesz, dobra kobieto?” Kobieta odpowiada i ku zaskoczeniu pojawia się przed nią talerz z ciastkami. Jednocześnie dwunastolatka brzdąca ze Szkoły Podstawowej nr 94 nie raz robią na próbach niepoddanki Beżenie Jesman, która przed niespełna rokiem przyniosła je nieoczekiwanie w laikowy świat.

Bożena Jesman, adepta „Arieki”, od 6 lat prowadzi dziecięcą teatry. Po tym, jak Dom Teatru Łódzkiego Domu Kultury (w wyniku atencji) zniknął z mapy kulturalnej Łodzi, przeniosła się do DDK — Śródmieście. Jej twórcze poszukiwania składają się w stronę tradycyjnej konwencji: prawie statycznych kukiełek; rzadziej uciekała się natomiast do jawajki na pistolet.

Jawajka z pistoletem

Uzyskała parawan, ale przy realizowaniu adaptacji japońskiej bajki „Czarodziejski kwiat”, dzieł w czarnych trykotach występują w żywym planie. Postępują się „skróconymi” lalkami: głowa i uchwyt do animacji, a kierująca ręka schowana pod powłóczystą szatą. Reflektory oświetlają głowy aktorów i lalkom, ale i tak w widowisku czuć atmosferę „czarnego” teatru. Wyboru orientacji muzyki dokonała wspólnie z Krzysztofem Skowrońskim.

„Czarodziejski kwiat” — to dziwne dojrzałe i smutne zarazem przedstawienie. Tytuł mylący, bo to rzecz o ekstremalnej sytuacji, w jakiej może się znaleźć każdy z nas — widzów; rodzaj filozoficznej przypowieści o konieczności wyboru dla zachowania siebie. Główną rolę Ko-Ti gra Agnieszka Kaepzak.

Makolaty własnoręcznie przygotowują sztukę — od projektów scenograficznych po pomysły na lalki i ich wykonawstwo. Razem je weryfikują i wybierają najlepsze rozwiązania. Rola instruktorki na tym etapie ogranicza się do uszczegółowienia przed infantylizmami.

Małgorzata Kaluina, menażer ze Śródmieściejskiego DDK opowiada, iż kontakt Bożeny Jesman z dziećmi i trupami nie urywa się wcale w sezonie ogórkowym. Jak zawsze, tak i w wakacje zabiera dzieci na prywatny obóz w Ładku Zdroju. Gościł ich przysiadła we własnym domu na pustkowiu. Uczestnicy dzielili czas pomiędzy forsowne wyścigi w góry, wspólne przygotowywanie posiłków i... happeningów.

Kiedy zaczęli jesienią zeszłego roku, w teatr zaczęło się bawić 31 dzieci. Wyrwała jednakże, odznaczająca się dużą wrażliwością artystyczną i chłonnością na propozycje dorosłych. W Kolinie Kłodzkiej dzieci spotkali się z Piotrem Szczeniowskim, prowadzącym Teatr Deszaru. Z zawodowcami wzięli udział w działaniach teatralnych, wykraczających poza klasyczną formułę. Kolejne wyjątkiem przetrwały z grupą studentów Wydziału Lalkarskiego PWST w Wrocławiu. Jacek Zausański, reżyser Państwowego Teatru Lalek we Wrocławiu w dowód uznania zaprosił je do aktywnego udziału w studenckich studach.

We wrześniu dziecięca trupa teatralna wznowiła próby, aby w październiku znów pokazać się z „Czarodziejskim kwiatem”. Bożena Jesman myśli już o nowym widowisku, tym razem o charakterze muzyczno-ruchowym z ograniczoną warstwą słowną. Na IX Ogólnopolskim Przeglądzie Dziecięcych Teatrów Animacji „Działwa '88” jej grupa perfekcyjnie wykonała zdobyła drugie miejsce. Teraz trzeba do solidnego wykonania dołączyć niekonwencjonalne pomysły, aby myśleć o najwyższym podium.

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Kronika

ŁÓDZKI DUET AKTORSKI BARBARA WAŁKOWNA-ZEBROG I JÓZEF ZEBROG objeli z nowym sezonem teatralnym kierownictwo Teatru im. Solskiego w Tarnowie, na miejsce kierującego tym teatrem przez 16 lat Ryszarda Smolewskiego. Życzymy sukcesów.

Z OKAZJI PRZYPADAJĄCEJ W TYM ROKU 125 ROCZNICY UKAZANIA SIĘ PIERWSZEJ ŁÓDZKIEJ GAZETY w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. L. Waryńskiego w Łodzi otwarto wystawę pt. „125 lat czasopiśmiennictwa łódzkiego”. Ta interesująca wystawa czynna będzie do końca września.

W SALONIE „GALERII ŁÓDZKIEJ” Muzeum Historii Miasta otwarto wystawę „Sztuka Dubajka”. W trakcie wernisażu odbył się koncert muzyki elektronicznej.

W DNIACH OD 21 DO 30 WRZEŚNIA PAŃSTWOWY TEATR LALEK „PINOKIO” przebywa w Tarnobrodzie. Łódzkie lalkarze prezentują tam dwa spektakle: „Historię drewnianego pajaka” według Carlo Collodiego (scenariusz i reżyseria: Wojciech Kobrzyński) oraz „Drobnie zdarzenia i zamierzone przesłanki” według bajek A. S. Puškinsa i opowiadań M. Zoszenki (scenariusz: Bogumiła Rzymka, reżyseria: Wojciech Kobrzyński). Wyższa „Pinokio” na dalekiej Syberii to kolejny etap realizacji umowy o współpracy i wymianie kulturalnej zawartej pomiędzy Łodzią i Tarnobrodem.

JAK INFORMUJE PAŃSTWOWA FILHARMONIA IM. A. RUBINSTEINA W ŁÓDZI, w dniach od 27 września do 1 października odbędzie się „Dni Muzyki Organowej i Oratoryjnej”, na które złoży się: Koncert Oratoryjny — L. Janacek: „Missa Glagolska” w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej i Chóru PFL pod dyr. Tomasza Bugaję. Jako solistki wystąpią: Joanna Mika-Cortes (sopran), Elżbieta Panko (mezzosopran), Kazimiera Myślak (tenor) i Leonard Mróz (bas). Następnego dnia wyprzedzi: Nowa Muzyka Organowa, wykonanie: Andrzej Niemierowicz (baryton), Stanisław Morzy i Wiesław Rentowski (organy) oraz Zbigniew Kościłlik i Krzysztof Olezak (akordeon); Koncert Muzyki Dawnej — „Concerto Avenna” z udziałem solistów: Henryki Januszwskiej (sopran) i Krzysztofa Wroniszewskiego (obój) pod kier. artystycznym Andrzeja Mysińskiego; następnie odbędzie się recital organowy Jacech Grubisza i wreszcie na zakończenie — Koncert Oratoryjny z okazji Międzynarodowego Dnia Muzyki, na który złoży się Symfonia e-moll G. Mahlera w wykonaniu orkiestry i chóru PFL pod dyr. Tomasza Bugaję oraz solistów — Bożeny Bejły (sopran) i Jadwigi Teresy Stępiś (mezzosopran). Dni Muzyki Organowej i Oratoryjnej odbywać się będą w Kościele Ewangelickim św. Mateusza, przy ul. Piotrkowskiej 238.

W SALI MUZEUM W TOMASZOWIE MAZ. otwarto wystawę pn. „200 lat dzieł Tomaszowa Mazowieckiego”, zorganizowaną wspólnie z Państwowym Archiwum w Piotrkowie Tryb. Z tej okazji referat na temat dzieł Tomaszowa Maz. wygłosił dr Ryszard Kotewicz.

W AULI ZESPOŁU SZKÓŁ ZAWODOWYCH przy ul. St. Zeromskiego odbył się uroczystość z okazji 130-lecia Zakładów Przemysłu Wemianowego „Norblana” w Łodzi.

W DNIACH OD 16 DO 18 WRZEŚNIA ODBYŁY SIĘ DOROCZNE „DNI ZDUNSKIEJ WOLI”. Uroczystości inauguracyjne uroczysta sesja Miejskiej Rady Narodowej, w czasie której ogłoszono wyniki konkursu „Mojemu miastu by było pięknie”.

WOJENNE LOSY POLAKÓW to temat filmu, nad którym pracuje reżyser Józef Gębski. Z tej okazji twórca filmu odwiedził skupiska radzieckiej Polonii.

SIÓDMY NUMER „LITERATURY RADZIECKIEJ” (w wersji polskiej) poświęcony jest w całości dorobkowi autora „Mistrza i Małgorzaty” Michaiła Bułhakowa. W numerze znaleźć można „Pisze serce”, sztukę „Adam i Ewa”, autobiografię pisarza a także jego listy do Pawła Popowa. Zamieszczono również ciekawą ankietę, w której wypowiadają się — o twórczości Bułhakowa — Czesław Altmann, Władimir Kaminer, Piotr Proskurnin i Władysław Szugajew.

W NASZEJ PUBLIKACJI PT. „MANHATTANSKI HAPPENING” Włodzimierz Kupisz mylnie podał nazwisko łódzkiego artysty plastyka — WIESŁAWA KAROLAKA, którego za ten błąd przepraszamy.

ZAPROSILI NAS: BWA na wystawę Obrazów fakturowych z lat 1984—1987 Bronisława Kierkowskiego do Galerii Bałuckiej oraz na wystawę malarstwa Jerzego Murawskiego do Ośrodka Propagandy Sztuki w Parku im. H. Sienkiewicza. Dziękujemy.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

Wars., ani „Indiana Jones”. One go po prostu wyprzedziły jako „czyste spektakle”. Naturalnie ostatni film jest zawsze najbliższy. To jest jak z przyciętymi miłosnymi, ostatnią przeżywa się najmocniej, nawet kiedy się zakończy. Ale z drugiej strony można spojrzeć w przeszłość i obiektywnie stwierdzić: „Wtedy rzeczywiście byłem najszcześliwszy”. Tak na to patrzeć, moim ulubionym filmem jest „Bal wampirów”. On przenosi mnie do bardzo szczęśliwego okresu mojego życia, zarówno prywatnego, jak i jako reżysera...

O POLAŃSKIM

„Byłem na przyjęciu w domu Gregorów Pecka — mówi Walter Matthau, słynny Kapitan Red w „Piratach” Romana Polańskiego. — Po mojej prawej stronie siedział producent Tarek Ben Ammar. Opowiadał jak zwykłe dowiecy... z akcentem irlandzkim, francuskim, żydowskim. Dowiedziałem się, że potem zadzwonił do Romana Polańskiego: „Zdaje się, że właśnie znalazłem Kapitana Reda”. Przysłał mi scenariusz, który odrzuciłem. Nie sądzę, żeby to było dla mnie powiedzialem. Ten facet jest piratem z jedną nogą, jednym okiem i blizną.

Wciąż wspina się na statki i wciąż musi walczyć. Chyba lepiej nadaje się do roli dziennikarzy, adwokatów czy lekarzy z komedii Neila Simona, które dzieją się w mieście... Mój syn Charlie przeczytał scenariusz i przekonał mnie. Powtarzał: Musisz to wziąć, papo, to film Polańskiego i aktorzy zabiją się, żeby grać u Polańskiego. I wreszcie zrobił coś innego, zaszaleł się w siedzących rolach! No i pięć miesięcy przed zdjęciami zacząłem lekcje fechtunku. A także noszenia drewnianej nogi... aż w piętnastu rodzajach... Polański zabrał mnie do swojego dentysty w Paryżu, uważał bowiem, że pirat musi mieć fatalne uzębienie. Trzeba było założyć specjalne maskowanie, bo w zbliżeniach wszystko widać — na przykład na początku, kiedy polikam haczyk... Oddanie Polańskiego sztuce, temu co robi, jest niewzruszone. A także znajomość języków. Słyszałem, jak wyrzucał z siebie przekleństwa przez cztery minuty w czterech różnych językach... („Film” nr 38).

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

Lew Starowicz „Seks dojrza-

ty” — 1300 zł (cena nominalna 750 zł); Igor Newerly „Zostało u ciebie Bogów” — 1200 zł (cena nominalna 850 zł); Lucy Maud Montgomery „Ania z Aronika” — 700 zł (cena nominalna 400 zł); Hans Hellmut Kirst „Fabryka oficerów” — 3000 zł (cena nominalna 1100 zł); Maria Rzeplińska „Siedem wieków malarstwa europejskiego” — 6500 zł (cena nominalna 5500 zł); Michalina Wisłocka „Sztuka kochania w dwadzieścia lat później” — 1200 zł (cena nominalna 850 zł); Tadeusz Dołęga-Mostowicz „Znachor” — 2000—2500 zł (cena nominalna 500 zł); „Z mądrosi Talmudu” — 2000 zł (cena nominalna 1100 zł); Krystyna Kofka „Pawilon matych drapieżców” 700 zł (cena nominalna 450 zł); Tadeusz Borowicz „Rok z wędka” — 1200 zł (cena nominalna 750 zł); Antoni Piskadlo „100 najsłynniejszych budowli” — 1800 zł (cena nominalna 1300 zł); „Mała Encyklopedia Kultury Antycznej” — 3500 zł (cena nominalna — 2600 zł).

Łódź: historia, wspomnienia, relacje

(5)

ARNOLD MOSTOWICZ

Uwertura

Rzeczywiście, kolumna jakby wrosła w bruk. Zaczęli przeciskać się przez milczący, zwarty tłum. Nawet dzieci nie płakały. Niektórzy odpoływali przysiadając na walizkach. Inni obawiali się okazać Niemcom podobny stopień niesubordynacji. Zwiednięte twarze, zapadnięte oczy, zgarbione plecy — wieczni tułacy czekali na znak, by ruszyć dalej. Okazało się, że wysiedlanie Żydów z kolejnych domów na Zachodniej, na Wólcząskiej, na Zawadzkiej, na Cegielnianej, a przede wszystkim na Piotrkowskiej, która stawszy się Adolf Hitlerstrasse powinna być jak najprędzej zostać Judenfrei, nie szło tak sprawnie, jak sobie to Niemcy wymarzyli.

Wraz z sanitariuszem dotarli do czoła kolumny. Stał tam jakiś osiek z żółtą gwiazdą, ale i opaską, która dawała mu widać specjalne, przekazane przez Niemców, prawo do kierowania ciałą wypędzonych. Czynił to, rozkoszując się swoją nową władzą, smakując ją, jak kość tukową. Od czasu do czasu zwracał się bądź do pierwszych rzędów kolumny, bądź też, z należytym szacunkiem, do stojącej obok grupy oficerów i podoficerów SS. Z podniesioną do góry ręką prawą coś głośno, jak prótok słowo boże przekazujący tułaczom. Osiek miał czerwoną twarz, nabrzmiałą od wysiłku. Nie wyglądał na kogoś, kto zdaje sobie sprawę, że i on jest aktorem biorącym udział w sztuce, wielokrotnie w ciągu stułeci granej. Chociaż kto wie, może wdział w owych umundurowanych esesmanach żołdaków towarzyszących wygnanym z Jerozolimy Żydom w drodze do Babilonu?

Niczego nie zapomnieć? Bał! Kolumna powoli ruszyła okopami wzdłuż szarych kamienic Zachodniej. Szczęśliwiej niż inni, aby przepuścić wlokącą się ciałą. Na odprawie otrzymał polecenie, by trzymać się zawsze końca kolumny. Od czasu do czasu dochodziły do jego uszu jakieś pokrzykiwania niemieckie, a stale — chrząst śniegu wdępywanego coraz głębiej między koczki i by jezdnia.

Znaleźli się wreszcie z sanitariuszem ponownie na kocu i mieli przed sobą otulony mrokiem nocy widok pustej, jakby żegnającej odchodzący tłum wygnanców ulicy. Wydawało się tylko, że ulica jest pusta. Z bram ledwie widocznych domów wysuwały się od czasu do czasu ciemne postacie i szybko do worków, koszyków czy waliz ładowały to, czego Żydzi nie doniosą do getta. Hieny weszły padłone. Było tego coraz więcej, niektórzy z Niemców bowiem urządzali sobie zabawy i jednym umiejętnym kopnięciem wytracali walizkę z rak maruderów. Ci z tyłu szczęśliwi zbierali obfite żniwo. Okazuje się, że okupacja wcale nie jest taka straszna. Daje żyć!

Sanitariusz pokazuje ich palcem i coś mruczy pod nosem. Chciał mu odpowiedzieć, że gdyby sytuacja była odwrotna i dzisiaj upokorzeni byli na miejscu tych, co pozostają, nie jeden z nich zachowałby się podobnie, nie zdążył jednak tego zrobić, gdyż zauważył leżącą pod ścianą jednego z domów starszą kobietę w żółtym flanelowym szlafroku. Staruszką nie żyła. Załadowali ją na nosze. Na pytające spojrzenie sanitariusza mruknął: — Sam pan widzi. Umarła śmiercią naturalną.

Znowu nosze na dorożkę. Zanim je umocowali i zanim wydał woźnicy odpowiednie polecenia, kolumna ponownie się oddaliła. Trzeba się było teraz spieszyć, by ją dogonić. Napływało coraz więcej informacji o zabitych na podworkach, w mieszkaniach, na schodach, na ulicach przecinających Zachodnią. Uwiali się teraz z sanitariuszem jak w utropie. Nie chodziło oczywiście o niesienie pomocy. Ta i tak była zbędna. Chodziło o to, by wszystko mieć dokładnie zapisane i aby adresy w sprawozdaniu zgadzały się z listą trupów, jeśli na jawitru komuś wpadnie do głowy, by je przelecieć.

Kolumna rozciągająca się na całą szerokość ulicy przypominała wartką rzekę przecinającą mroczny kanton. W pewnym miejscu, zam-

knięta podwójnym szeregiem żandarmów, rzeka nagle się kończyła.

Niczego nie uronić...

Ślad wędrówki po śniegu i błocie zaczynały nagle znaczyć książki. Grube, cienkie, duże, małe. Jest ich coraz więcej i coraz głębiej wbite są przez buty kobiet i mężczyzn w miękką podkładę jezdnia. Sanitariusz zdziwiony podniósł jedną z książek — hebrajskie litery i specjalny układ świadczyły, że to prawdopodobnie jakiś komentarz do Talmudu albo Pisma Świętego. Po chwili obydwa przestali się dziwić. Kilku mężczyzn ciągnęło wózek z książkami, cały prawdopodobnie majątek jakiegoś bóżnicy czy może chederu... Wywołało to niezadowolenie dwóch w zielonych mundurach, którzy zaczęli systematycznie zrzucać książki na śnieg, aż w końcu przewrócili cały wózek... Widok rozsypanej zawartości wózka strasznie Niemców ubawił, a sanitariusz zdobył się na ponury dźwięk: — O co się pan założy, panie doktorze, że tych książek ci z tyłu nie ruszą?

Nagle okazało się, że z bocznych ulic przestały napływać strumienie wysiedlonych. Wyrzucanie z mieszkań wstrzymano. Niemcom chce się widać spać. Zresztą i tak osiągnęli swój cel... Jutro wieść o dzisiejszym wysiedleniu roznieśli się szybko i Żydzi sami zaczęli przenosić się na Bałuty. Wprawdzie więcej ze sobą zabiorą i mniejszy będzie łup dla tych, którzy mieszkani ich otrzymają, ale przecież co się odwiecie, to nie uciecie.

— Panie doktorze! Tutaj! Zemdlała! — ktoś krzyczy z tłumu. Pobiegł za sanitariuszem. Niemcy, o dziwo, bez sprzeciwu pozwalają wyciągnąć z tłumu młodą, bladą kobietę. Dusi się. Astma? Astma. Spojrzała pytającym wzrokiem na żandarma. — Trzeba ją zabrać do szpitala... — Machnięcie ręką miało oznaczać: A rób sobie z nią, co chcesz. Dobry człowiek. Sanitariusz zaprowadził kobietę do dorożki. Dusznosc przeszła. Szczęśliwy koniec ataku. — Jestem w ciąży. — Kobieta rzuciła tę informację, zanim dorożka ruszyła. Swoją słabość wynikającą z choroby astmatycznej chciała widać pokryć tą dumną wiadomością. Bezdział to jedno z pierwszych gettowych dzieci — pomyślał.

I ponownie przód kolumny, która czołem dotarła już do Bałuckiego Rynku. Osiek o czerwonej twarzy trzyma obydwie ręce podniesione do góry. — Schneller, Kinderlech! Schneller! — Po żydowsku? Po niemiecku? Jakże nisko upadłeś, Jeremiaszu!

Ile godzin upłynęło od rozpoczęcia tej akcji? Trzy? Cztery? Od Zachodniej do Bałuckiego Rynku jest nie więcej jak trzy kilometry. Przejrzal swoją listę. Chyba już można zabrać się do podsumowania. Zatrzymał się. Był nie uroczy. Osiek podszedł do jakiegoś oficera. Pelen dumy, przykładając dwa palce do granatowej czapki z nasuszkami, coś mleduje. Niemiec nie ukrywa zadowolenia. Często nawet osiłka papierosem. Coś tam mówi i znika w jakimś budynku... Kolumna czeka. Sanitariusz z kromkami krąży w tłumie i częstuje nimi wszystkich jak dobrą śliwówką na kucyku.

Czekanie się przedłuża. — Co z nami zrobili? Czy znajdują się tutaj od razu dla nas mieszkani? A może puszcza nas z powrotem do domu? — To ostatnie pytanie świadczyło, że Żydzi szybko zgłębili psychikę oprawców, zdolnych do gigantycznych nawet działań dla samego zadawania tortur. Ale optymistyczny sens tego pytania nie był na miarę jego przenikliwości. O powrocie do zamkniętych i zapiecznionych mieszkań nie mogło być mowy... Powoli dyscyplina w tłumie ulegała rozluźnieniu. Najgorsze, że zaczęli się niecierpliwić żandarmi, którym marzyło się ciepłe łóżko po dobrze spełnionym obowiązku. A kto potrafi przewidzieć, do czego jest zdolny zniecierpliwiony żandarm? Jednak kolumna na całej swojej długości traciła zwartość, rozpadała się. Pod ścianami okolicznych domów mężczyźni załatwiają swoje potrzeby. Kobiety zresztą również. Rozmowy stają się coraz głośniejsze, nawet dzieci zrozumiały, że czas już na plac.

Był tak zmęczony, że nagle przestał go frapować ten spektakl, te kadry wycięte z filmu o czasach średniowiecznych... Zrobiło mu się zimno, poczuł dreszcze... — Panie doktorze! — to sanitariusz. — Co się stało? — Zmiana przyszła.

Teraz dopiero przypomniał sobie, że o czwartej zastąpić ich miała nowa ekipa pogotowia.

Rzeczywiście. Wyspany i rześki tandem: lekarz — sanitariusz, obejmując w posiadanie dorożkę i pudło z lekarstwami. Zdążył jeszcze lekarzowi przekazać listę zabitych. — Może już jej nie uzupełnisz — powiedział z nikiym uśmiechem. Ale tamten nie patrzył na niego, tylko gdzieś w bok, za jego głowę. Odwrócił się i zdążył jeszcze zobaczyć, jak oficer, który przed chwilą częstował osiłka papierosem, pierze go teraz po pysku, a powalonego na ziemię — kopie. Nie zrobiło to już na nim żadnego wrażenia. Kiwnął głową kolede na pożegnanie i jeszcze zdążył podziękować sanitariuszowi...

Pustymi ulicami! Bałut szedł jak w transie do domu. Do swego nowego mieszkania nad dawną apteką. W jednym pokoju sześć łóżek, kanapek, tapczanów ustawionych wzdłuż ścian. Kanapka pod oknem była w tej chwili jedynym miejscem na ziemi, o którym mógł powiedzieć, że jest jego własnością... Nie zapalił światła, aby nikogo nie budzić, ale hałasu nie udało mu się uniknąć. Po chwili zapaliła się jakaś mała lampka przy czytnym łóżku. Wpatrywało się w niego kilka par oczu. — No i po co cię wywalił? Co to było? — to Broniek. — Przesiedlenie. Kilkanaście tysięcy. Chłopa zresztą wie, może i więcej. Ze śródmieścia na Bałuty... — Milczenie. — No i co? — Dwudziestu trzech zabitych. — Niemożliwe! — to Marysia, żona Bronka. Spia razem. — Hitlerowcy, jacy są, tacy są, ale... — Przecież to mordercy. I sadyści! — to Heniek, młody inżynier, przykryty po uszy cienkim kocem.

Położył się, dzieląc się swoim zmęczeniem z kanapką. Już zasypiał, gdy nagle doszło do jego uszu jeszcze jakieś pytanie. — Dzieci też zabijali? — pytanie zadał koszmarny karzeł leżący wraz ze swoją młodą żoną w stojącym obok kanapki szerokiego łóżku. Żona jego była jedną z najpiękniejszych dziewczyn Łodzi. Kto się do niej nie palił? Wyszła za mąż za tego arcybogatego karta. Nie zdążyła jeszcze wyciągnąć zysków ze swojej inwestycji, gdy wybuchła wojna. W młym świetle lampki zobaczył jej rozchyloną na piersiach koszulę nocną. — Ani jednego zabitego dziecka — uspokoił ich. — No widzisz — powiedział karzeł. — No sam widział — powiedziała Marysia. Zasypiał. Jeszcze przez chwilę słyszał obiecyjący szelest z łóżka obok. Karzeł, póki co, obcinał kupony od swoich uprawnień małżeńskich... Skoro Niemcy nie zabili ani jednego dziecka... Rzeczywiście, dlaczego nie zabili? W Kiszyniowie koszyki zabijali. W Hiszpanii dominikanie przymusowo je chrzcili. A tu?

Na wszystko czas — jako rzecz Eklezjasta.

Był sobie król...

Zamknął książkę. Zamyślił się. Już w trakcie jej przeglądania — czytać nie musiał, jako że treść znał aż nadto dobrze — zastanawiał się, co miałby do powiedzenia, gdyby mu zaproponowano jakieś omówienie tej książki. Co powinien i co chciałby powiedzieć?

Książka nosiła tytuł „Kronika getta łódzkiego”. Wydana została po angielsku w Stanach Zjednoczonych. Kilkanaście lat wcześniej ukazały się w Polsce pierwsze dwa tomy „Kroniki”. Nie wzbudziły wówczas większego zainteresowania. Temat był jakby wstydliwy, a poza tym kogo właściwie mogły obchodzić spisane dzień po dniu wydarzenia i informacje dotyczące getta i stu kilkudziesięciu tysięcy łódzkich Żydów, po których nawet wspomnienia utonęły w niepamięci. Upłynęło musiałoby dziesięć lat, nastąpiłby musiał kilka nielicznych wstrząsów, by przyszedł na tę tematykę czas, albo może nastąpiła na nią tylko moda?

Historyk, który rozpoczął opracowywanie tej książki, musiał w latach sześćdziesiątych opuścić Polskę. Teraz wydał całość „Kroniki” w Stanach Zjednoczonych, gdzie wzbudziła po prostu umysł i stała się autentycznym bestsellerem. Może spisana w języku angielskim relacja o zstępowaniu do piekieł i o życiu w piekle bardziej przemawia do wyobraźni niż ta sama relacja po polsku? A może z biegiem lat rośnie, wynikające z niejasnego poczucia winy — zainteresowanie sptawami skazanego narodu?

Dzieje czterech lat życia w getcie. Rejestr spraw i wydarzeń, które nasz wspaniały wiek dwudziesty przekształcił nie udławiający się. Kronika czasów... Pogardę — jak je nazwał kiedyś wielki pisarz francuski? Pieców — jak je nazwał jego polski kolega? To raczej kronika czasów obojętności. Spektakl mordowania całego narodu wystawiono na oczach ówczesnej Europy. I Ameryki, która się teraz „Kronika” pasjonuje. Nie budził on emocji innych niż bałne wzruszenia, jakich dostarczały podobne spektakle w poprzednich wiekach... Nie zmieniła się przecież tak bardzo moralność chrześcijańska, która je niegdyś parałowała. Może nieco wyculiły ją komplikacje ery kolonializmu. No i oczywiście był to jednak wiek dwudziesty i handel niewolnikami, podboje konkwistadorów czy inkwizycja należały dzięki Bogu do przeszłości. Niemniej opuszczony palec zwycięskiego cesarza wskazywał przecież kogoś, kogo się nigdy nie kochało, kto nie umiał się znaleźć w dobrze urodzonym towarzystwie europejskim i kogo trudno się było pozbyć z domu. Tym razem mogła się publiczność zasiadająca w wygodnych łóżach europejskiej widowni fascynować dodatkowo techniką inscenizacji i mistrzostwem wykonania. O gwiazdach nie było mowy. Gdzieniedzie daly się słyszeć nawet dyskretnie oklaski, którymi obdarzano reżyserie...

„Kronika getta łódzkiego” — kronika zagłady. Gdyby mu przyszło napisać jakieś uwagi na temat tej książki, dwóch jej bohaterów wysunąłby na pierwszy plan. Jednym z nich byłby Mordechaj Chaim Rumkowski, obdarzony przez Niemców tytułem Aelteste der Juden, co przetłumaczono na polski koślawym zwrotem „przełożony starszeństwa Żydów”. Drugim zaś byłby on sam, czytel jak tej „Kroniki”, a zarazem jeden z tych, którzy wszystkie spisane

przez kronikarzy wydarzenia przeżył. On — jeden z tych stu siedemdziesięciu czy stu osiemdziesięciu tysięcy zagnanych za druty, jeden z siedemdziesięciu tysięcy wysłanych do Oświęcimia, jeden z kilkunastu tysięcy, których nie zdążyły zmiażdżyć tryby hitlerowskiej maszyny obozowej. Jeden z tych, których podczas wojny nie miał kto się dopominać, jeden wreszcie z tych, którzy w czterdziści lat od jej zakończenia ciągle żyją. I świadczą.

Dwaj bohaterowie tej książki. Niejasno odzyskał wzajemnie ich stosunki. W jakim charakterze powinien zabrać głos: ofiary? Oskarżyciela? Świadka? A może przemówić w imieniu tych trzech postaci jednocześnie?

Rzeczywistym autorem tej kroniki jest hitlerizm. Tylko że jemu rachunek, acz nie przez wszystkich akceptowany, wystawiono dawno. A Rumkowski? Przecież dla wielu był on, w stojącej na wokandzie historii sprawie getta łódzkiego, oskarżonym nie mniej winnym. O, i jemu wystawiono rachunek. Gorzki. Surowy... W najlepszym wypadku karcono go. Najczęściej potępiano. Jak złego ucznia przeciwstawiano go prymusowi, którym był Adam Czerniakow, prezes warszawskiego Judenratu. Czerniakow popełnił samobójstwo, nie chcąc podpisywać wyroku śmierci na swój naród. Rumkowski nie zdobył się na ten akt odwagi i po dziś dzień to mu się wypomina. Wraz z Rumkowskim postawiono w stan oskarżenia wszystkie bełraty, wszystkie judenraty, i to mimo iż lata miały, a rosnąca wiedza o czasach holocaustu powinna była uprzytomnić historykom, iż wszelkie wzorce i kanony postępowania warte były mniej niż jedno życie żydowskie w sytuacji, jakiej dzieje dotychczas nie znają.

Rumkowski nie tylko nie popełnił samobójstwa, ale zgadzał się i podpisywał, i podpisywał, i podpisywał. I jeszcze zgoda na dziesięć tysięcy do gazu w Chelmie. I jeszcze wyrok śmierci na starców i na dzieci. I jeszcze na tych, którzy z głodu ukradli puszkę konserwy, i na tych, którzy wzięli łapówkę w postaci ciemnego chleba... Boże mój! On to wszystko rzeczywiście podpisał. To oskarżenie nie może przecież budzić wątpliwości. A może są w nim luki? A jeśli tak, to jak ich szukać?

„Ostatni dzień sierpnia przedostatniego roku wojny. Między barakami i na lagerstrasse byłego obozu cygańskiego w Brzezinie snują się ci szczęśliwcy z łódzkiego getta, którzy przeszli selekcję. Snują się czekając na chleb, na żupę, na wysyłkę do innych obozów. Snują się skazani, dzieląc czymś rozradowani. Niektórzy — to niewiarygodne — nawet uśmiechnięci, jeśli w ogóle uśmiech mogli się przedostać za druty obozowe... Ote rozszalał się wśród Żydów łódzkich wieść, że przywieziony został do Oświęcimia — Rumkowski. Szczegół relacji są ponoć wiarygodne i podlewane sosem coraz to nowych. Dostał się tutaj — żydowski król z łódzkiego getta — w ręce tych, którzy wysiedlani w swoim czasie z tego getta, przeszedłszy przez gehennę obozowej karni, przez sita ciągłych selekcji, przez głód i mroz, i morderczą pracę, w ciągu miesiąca i nierzadko i lat uniwersytetu obozowego pieścił plan zemsty. I oto miłoścywi Bóg żydowski, a może raczej ów Bóg zemsty ze sztuki Szaloma Asza, pozwolił im plany te, dokładnie tak, jak je sobie w marzeniach uformowali, zrealizować. Jakimś szczęśliwcom udało się tak wcielić w życie swoje marzenia? Tu w Oświęcimiu oni byli królami. Po to, by przeżyć, co oni przeżyli, trzeba było mieć dzielne zdrowie i chyba szatańska dusza. No i dopadł w końcu Mordechaj Rumkowski na oświęcimskiej rampie. A może wyprosił to sobie u esesmanów — kto to dzisiaj sprawdzi? Grzecznie go przywitani, by nie powiedzieli: serdecznie. Najpierw umożliwili mu przyznanie się przez przemysłowca w komorze gazowej skonstruowane okienko, jak gina jego, żydowskiego króla łódzkiego, poddani, jak skracają się! duszą w oparach cyklonu. A gdy doszli do wniosku, że nasycili już oczy tym widokiem — żywego wepchnęli w czeluść pieca krematoryjnego...

Stąd właśnie uśmiech satysfakcji na ustach tych, którzy zapelnili pocygańskie baraki oświęcimskie... Dostało się królom! Ma za swoje! Za ich żony i dzieci, które teraz w krematorium, o tam, skąd wychodził słup czarnego dymu... Za dzieci, które wysłał z getta na śmierć! I w ogóle za to zastrane, męczęskie życie, które przez lata było ich udziałem. Na nim, na Rumkowskim skupiła się ich nienawiść. Jego śmierć przyniosła im satysfakcję odwetu...

„Ciekawe, że nikt nie potrafił dociec, w jaki sposób, a przede wszystkim dlaczego właśnie on, Mordechaj Chaim Rumkowski, został mianowany owym „Najstarszym” wśród Żydów — „Der Aelteste der Juden”? Dlaczego właśnie ta, do czasów wojny mało wiaściwie znacząca postać w łódzkiej gminie żydowskiej wypchnięta została na plan pierwszy i odegrała miała w tych pięciu najważniejszych i najtragiczniejszych dla żydostwa łódzkiego latach tak ważną rolę? Wszystkie wersje dotyczące tego wydarzenia, to jest nominacji Rumkowskiego, głoszą, że pasowanie na „Najstarszego” było zupełnie przypadkowe. To znaczy stanowilo nie zamierzony efekt przypadkowego udziału Rumkowskiego w jakiejś delegacji, która z ramienia gminy przeprowadziła z władzami okupacyjnymi jedną z pierwszych rozmów. Dotychczasowemu prezesowi tej gminy, posłowi Minceberowi, udało się uciec z Łodzi. Niemcy postanowili więc mianować nowego prezesa, czyli „Najstarszego”. A wybór ich padł na Rumkowskiego, do tej funkcji bowiem wyglądał jego idealnie pasował, odpowiadał dokładnie jej treści.

C.D.N.

Powyższy odcinek jest kolejnym fragmentem książki Arnolda Mostowicza „Żółta Gwiazda i Czerwony Krzyż”, która niebawem ukaże się nakładem PIW. Są to zbeletryzowane wspomnienia autora z czasów kiedy autor był więzionym w łódzkim getcie i obozach koncentracyjnych III Rzeszy.



Repr. Konrad Turowski

Anlek Muszkatulowicz frajerem nie był. Skończył studia na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, otrzymał zaszczytny tytuł magistra plastyka, i stanął przed perspektywą osławiania się z niedostatkiem.

— Niedostatek — powiedział Antek — jest to bardzo dziwne zwierzę. Można go ośwoić, będzie w miarę posłuszne, zawsze obecne, nie zaskakujące jakimi szalonymi wyskokami. Rzecz w tym, że właśnie człowiek z tym zwierzęciem ośwoić się nie może. W zetknięciu z niedostatkiem człowiek okazuje się dzikim zwierzęciem.

— Ale niedostatek starał się nas ośwoić, udawać od kilkudziesięciu lat — powiedziałem — i w dużym stopniu mu się to udało.

— Nie ze mną takie numery, Bruner — zacytował Antek modną wówczas w Polsce telewizyjną odzywkę. — Ja jestem malarz, ja chcę brać po dziesięć tysięcy dolarów za jedno malowidło. Są ludzie, którzy tylko czekają na okazję kupienia moich dzieł.

— Gdzie są ci ludzie?

— W Nowym Jorku. Posłuchaj, kopećm kiedyś dziewczę, która była kochanką faceta, który był przyjaciелем Lebensztajna. W sypialni na ścianie wisiał duży obraz, jeden z tych rybich szkielecików, które Janek przez dłuższy czas obsesyjnie eksploatował. Wówczas jeszcze Lebensztajn nie było żaden kozak, dał ten obraz koleśkowi. Koleś odszedł od dziewczyny, umarł, w każdym razie ją ją ładuje, a ten rybi szkielecik na mnie patrzy. Podczas przerwy między rundami pytam, ile to warte. I wyobraź sobie: miesiąc temu stało pięć tysięcy złotych, a teraz już trzydzieści tysięcy.

— Dlaczego? — zapytałem, wiedząc, że w tym czasie przeciętna pensja w Polsce wynosiła nieco ponad dwa tysiące.

— Bo Lebensztajn w międzyczasie wyjechał do Paryża i zaraz miał wernisaż. Dla krajowych snobów to był sygnał: podnieść cenę jego obrazów o sześćset procent! Tak to, bracie, funkcjonuje. Jesteś tu, więc automatycznie jesteś więcej wart niż gdybyś siedział na dupie w Warszawie. Kiedy będę w Nowym Jorku, to dla Warszawy będę nieosiągalny cenowo. Teraz taki Lebensztajn bierze wiele tysięcy dolarów za szkieleciki, i byłem frajer, że nie kupiłem od idiotki tego płótna i nie przywiozłem go tutaj. Byłbym na rok ustawiony.

Patrzyłem na sprawę sceptycznie, nie tylko na ceny, przylepiane przez Antka do obrazów Lebensztajna, ale na zamysł młodego malarza, na jego pewność zrobienia kariery w Nowym Jorku.

Powiadam:

— Antoś, w Nowym Jorku mieszka kilkanaście milionów ludzi, niech jeden na tysiąc będzie malarzem, wiesz, jaka to armia? W jaki sposób się przebijesz, robaczku?

— Prosto. Wystarczy dotrzeć do jednej osoby, do jednej właściwej osoby.

— Dobra, zgadzam się. Ale jak do niej dotrzesz?

I Antek roztoczył swoje plany.

— Słuchaj. Mam adres do pewnej baronowej. Jest to stara, niesamowicie bogata Żydówka. Ona się nie rusza z fotela, jest częściowo sparalizowana. Ale podobno szalenie lubi młodych facetów. Nie byle jakich, rozumiesz, na to jest zbyt wyrefinowana, to osoba wysokiej klasy, ocytana i tak dalej. Artystów lubi. Więc wyobraź sobie: pewnego pięknego dnia biorę kilka najlepszych płócien i zgłaszam się do niej. Nie trzeba słów, sztuka mówi sama za siebie. Kobieta oszałamia na mój temat. Powiesi obrazy w swoim reprezentacyjnym salonie, bo rozumiesz, ona ma w domu kilka salonów, no i kolekcję klasyki, że ho! Ale na współczesnych też się zna. Więc mój powieści, i przyjdą do niej krytycy, marszandzi, właściciele galerii, za co się do środka przychodzą, na kolację...

— Coś jak obiady czwartkowe u króla Stasia — udało mi się wtargnąć.

— Dokładnie. Ale głównie chodzi o plastykę. Więc widzą, i to wystarcza. Pytają o nazwisko, o telefon. Tego samego dnia dostaje propozycje, a wiesz, że tam wszystko dzieje się natychmiast. Zwoloka nie jest pojęciem znanym w Nowym Jorku. No i widzisz, tak się robi karierę. Jedna, ale właściwa osoba zupełnie wystarcza.

— Antek — mówię — ile czasu już tu siedzisz w Brukseli?

— Piąty miesiąc.

— Ile obrazów namalowałeś?

Rozłożył ręce.

— Stary, wiesz sam, jak drogie są farby, błękitny, nie mówiąc o pędzlu. To majątek. Ja na przykład nie mogę używać innych farb, tylko „Rembrandty”, a idź zobacz, ile jedna tuba kosztuje...

— Napisz do tej baronowej, niech ci przysła na sprzęt.

— Nie mogę. Trzeba ją zaskoczyć. Zaskoczenie w takich wypadkach decyduje o wszystkim. Nie tylko obraz, ale i osobowość człowieka działa.

Przyjrzałem się jego suchej, zmęczonej twarzy, z tym lewym okiem, które próbowało schować się w uchu. Do tego brakowało mu dwu zębów na przedzie. Nie był stary, ale wyglądał podejrzanie. Okulary, dość grube, przydawały mu trochę uczciwego wyglądu, no bo rzadko spotyka się rabusiów ulicznych w okularach... Ale czy baronowa się Antosem zachwyci?

— Antek, skąd ty wziąłeś jej adres?

— Dał mi jeden marynarz w Hiszpanii.

— Polak?

— Nie, Grek. Dałem mu za to zegarek i litr wina. Opowiedział mi wszystko o niej. On ma brata, rozumiesz, i ten brat jest malarzem. Kiedy przyjechał do Nowego Jorku, bez grosza, to...

Nie mogłem już dłużej słuchać. Antek nie malował obrazów, bo po co? Dużo łatwiej i przyjemniej malować wyobraźnię. Oszedelem, trzeba obłedzić pokój, tyle nowych rzeczy się dzieje, o których warto wiedzieć, w każdej chwili któryś z naszych może otrzymać wiadomość o przyznaniu azylu, i będzie radość, woda, śpiew... I smutek pozostałych, podbarwiony jednak nadzieją, że skoro temu dali, to i mnie w końcu...

Tego dnia nikt nie dostał azylu, za to wpadłem na zmęczonego, zaafektowanego Merle, który wysapał:

— Niech pan sobie wyobrazi, jaka nieprzyjemna rzecz się stała. Przyjechało dzisiaj z Polski młode małżeństwo, pozwolono im na wyjazd bez dziecka, ale oni wzięli dziecko z sobą, do walizki. To było maleńkie dziecko, rozumie pan. Wywiercili w tej walizce otwory, żeby miało czym oddychać, i dali mu środki nasenne, żeby przejechać po cichu na Zachód. Kie-

że pojedziecie, ale dzieciak zostanie, to tylko może ostatni skurwysyn, niewart splunienia. Taki ustrój się nie utrzyma, ludzie to rozwalą.

— U nas jest więcej baronów, niż ludzi — powiedział Gral. — Ja na to baraniństwo patrzeć nie mogę, dlatego wypierdalam. Żeby tam byli ludzie, to by się o wiele wcześniej gnojów pogoniło. A tak, to ratuj się, kto może, każdy na własną rękę.

Nie wiem, co stało się z maleńkim nieboszczykiem, ofiarą pragnień wolnościowych młodych rodziców. Pewnie gdzieś tam ma jakiś tam grobek. Rodzice, przeżywający w sposób rzeczywiste straszny tę tragedię, dostali azyl natychmiast. Po jakimś czasie dowiedziałem się, że kobieta wróciła do Polski, nie mogła żyć z mężem, który ponoć był autorem projektu „walizka”. Ciekawe byłoby o czymś takim napisać dłuższą rzecz, poprowadzić akcję psychologiczną między rodzicami. Ale kto by się tam chciał w to bawić.

Jan Duch napisał o tym wypadku wiersz. Widywałem się teraz z Duchem codziennie. Nie mieszkali już z Georgią w domu SPK. Przeprowadzili się wkrótce po przesłuchaniach przez tajną policję belgijską. Oboje zbyt delikatni, by cierpieć bliskości holoty. Nie, dziwię się im, na zewnątrz chcieli uchodzić za parę małżeńską, która pragnie prowadzić własne, osobne gospodarstwo. W pokojach w SPK nie można było gotować, niektórzy mieli małe elektryczne maszyny do odgrzewania puszek, albo tylko grzałki do herbaty.

Janek wiedział, że spałem z jego żoną. Powiedziałem mu o tym następnego dnia w południe, ledwie trochę doszedł do siebie. Wzruszył ramionami.

— Dla mnie to możesz ją zjeść z musztardą — powiedział ziewając. — Sprzedam ci ją za flaszkę wina, bo mam kaca.

Chłopcy malowani

dy pociąg minął NRD, otwierają walizkę, a dziecko nie żyje. Więc przywieźli je tutaj, i jest dużo kłopotu...

— Powinno dostać pośmiertnie obywatelstwo belgijskie — powiedziałem — a rodzice tytuł „największych rzykantów roku”.

— Pan chyba żartuje — powiedział Merle z właściwym sobie poczuciem humoru.

Wieczorem długa dyskusja przy winie o moralnych aspektach tej sprawy. Kto spowodował śmierć dziecka? Czy nie rodzice przypadkiem, wierząc zbyt małe dziury w walizce, a potem przywalając ją tobołami, żeby ewentualny płacz dziecka nie był słyszalny? Czy nie oni właśnie, ponieważ dali oseskowej środki nasenne?

— Ja bym ich z kicia nie wypuścił — powiedział Stasiu Gral. — To mordery. Przecież wystarczy odrobina wyobraźni.

— Stasiu, sam lecisz na azyl — powiedział Józio Golczyk. — Nie możesz potępiać ludzi, że chcą tego samego, co ty.

— Wyleciałem sam, smarka nigdy bym nie brał z sobą, nie w takich warunkach. Wiedzieli, że to się źle skończy.

— Może nawet chcieli się pozbyć dziecka, i zważyć winę na okoliczności. Nikt ich przecież nie będzie za to karał.

— Moim zdaniem winni są komuniści. Co to znaczy nie pozwolić komuś wyjechać, jeżeli ktoś chce.

— Pozwolili im jechać. Po cholere brali dzieciaka.

— Może nie mieli z kim zostawić. Zresztą co, dlaczego bez dzieciaka?

— Żeby wrócili. Dzieciak jako zakładnik.

— Stuchajta — odezwał się Franio Zajdel. — To jest czysty terrorizm oraz szantaż. Winny jest ustrój, nie ma dwóch zdań.

— Winni są rodzice — powiedział Gral. — Wiemy, jaki jest ustrój, i wiemy, jak się w nim żyje. Chodzi o to, żeby żyć, a nie żeby umierać. I moim zdaniem nie jest aż tak źle, żeby dzieci narażać na śmierć, kiedy się chce wyjechać, żeby zarobić trochę forsy. To nie wojna.

— Wojna — upierał się Zajdel. — Gdyby to nie była wojna, to by nie trzymali zakładników. Mogli puścić ich wszystkich razem.

— Jakby każdego puszczali, to by wszyscy wyjechali.

— Eee, tam, wszyscy. Ja wam powiem, jakby połowa naszych wyjechała, to ja bym został w kraju. Luźniej, to lepiej żyć. Człowiek by stał się potrzebny, większe zarobki, lepsze mieszkanie... Jak było po wojnie? Ludzie się szanowali.

— Głupstwa gadasz — powiedział Bolek, który uciekł z kraju, bo mu groziło więzienie za produkowanie pocztówek pornograficznych. — Nie powiem, że rodzice są całkiem niewinni, według mnie to wyjątkowo barany, przedźniętą do dziecka by przy nich wykorkowało, zatruli by je gryzami. Ale tak stawiać sprawę,

chaj, różne się wojny toczyły. Zaczęłam chodzić na kurwy, forsy mniej przynosiłem. Zocha widzi, co się dzieje, znowu zaczyna dawać, żebym tylko na te kurwy forsy nie tracił. No to więc zaprzestałem kurwowania, znowu całą wypłatę przynoszę. Ale stara i tak mi żyć nie daje. Nowe ubranie mi popuła, chcę się ubrać w niedzielę, a tu rozperdek w marynarce aż po łopatkę. Kto to zrobił? Nie ma winnego. Dobra, myślę sobie, już mi nadojadło. W poniedziałek rano Zocha do roboty poszła, a ja śpię. Teściowa w drugim pokoju odkurzaczem warczy, na złość. Wstałem, pakuję walizki. Weszła, patrzy: Wacuś, co robisz? Wyprowadzam się. Już mam ciebie dość, stara cholero. Pamiętaj, że własną córkę unieszczęśliwiasz. Przez ciebie nasz związek się rozpada. To mówią idę do niej z łapami, żeby nastraszyć. Wcale nie miałem zamiaru jej bić, ale ona się przestraszyła, myślała, że przyłoży. Musiałem groźnie wyglądać, bo padła na kolana i krzyczy: nie bij, Wacuś, najłodszy! Jak to usłyszałem, i zobaczyłem, że boi się mnie jak diabła, dzwina chcę mnie spalić. Nie mogłem się przechrztać. Złapałem ją za włosy, podniosłem, rzuciłem na łóżko i mówię: stara cholero, jedź, kurwo! Odcinając z tego burdelu, bo żeś burdel z mojego małżeństwa uczyniła. Ale przedtem, dla zemsty, potraktuję cię tak, jak na to zasługujesz. Ściągaj majtki! I ta cholera, wyobraź sobie, bracie, majtki z siebie zdiera, w takim pośpiechu, jakby się na pociąg spieszyła. Nożyska rozwała szeroko, widzę, ciało mocne, zdrowe, szpara niełicha, aż się w niej błyska... Rach, ciach, spodnie na podłogę i walę się na cholere. A ona oblapała mnie jak ośmiornica i chodzi po me mój jak maszyna i krzyczy: Wacuniu, najdroższy, daj czegoś tego od razu ze mną nie zrobił, ja tak tego pragnęłam, i dlatego ci plecko robiłam, ale teraz to już będziesz miał raj, przysięgam! No i, bracie, słowa dotrzymała. Słuchaj, żyłem jak król. Stara, Halina jej na imię, wychwała mnie do Zochy, obie rozmaite przysmarki podtykają, wódeczkę przynoszą... A ja w nocy walę własną małżonkę, a w dzień, jak ona w pracy, to w tym samym łóżku z teściową. Robić przestałem, bo mi się nie opłacało. Nagle się dowiaduję, rozumiesz, że Halinka ma zakitrane złoto, biżuterię, dolary, po swoim mężu, który jakieś tam interesy nielegalne robił. Zaczęła sprzedawać po trochu, i tak żeśmy żyli.

— No, to po co żeś nawiał? Ja bym siedział do końca życia w takim układzie.

— Człowieku, to był dopiero początek. Razu jednego żeśmy się wszyscy w trójkę popili, no i Zocha chce ze mną do Łochy, i Halina. Zocha się patrzy, a Halina całkiem jawnie mnie za rozporek, niech tu skonał!

— Niezła bitwa między nimi się wywiązała!

— A skąd. Zocha, jak zobaczyła, że się musi poddać, to jakby ją kto miodem i majzajem posmarował. Takiego ognia do mnie nabrała, że ani się spostrzegłem, już mnie obydwoje z ciuchów wylargali, i grzej się przy moim kaloryferze, jakby z mrozu wrócili. Chłopie, miałeś kiedy dwie baby naraz?

— Miałem i trzy, i cztery.

— Ale matkę z córką?

— Nigdy.

— No widzisz. A to jest dopiero frajda. I już od tej pory opędać się nie mogłem. Tak im się we dwie spodobało, że osobno to wcale nie chciały.

— Musiał być dla ciebie cholernie męczące.

— Nawet nie za bardzo. Przyzwyczaiłem się. Kiedyś poszedłem na wizytę do jednej obcej, pół godziny i ona rozebrana, a ja zimny, rozglądam się, co tu luźno w pokoju, gdzie drugie ciało? Na solówkę już mi nie szło, oducie, co dawał głowę, to nie jedna.

— Wacek, to po cholere wyjechałeś?

— Słuchaj. Kto tam za babę trafi. Ja tego dotąd nie mogę zrozumieć. Wszystko było w porządku, aż któregoś dnia Halina mnie łapie i mówi, żebym się z Zochą rozszedł i z nią ożenił. Jak to, powiadam, przecież to twoja córka, masz mnie tak samo, jak ona, wszystko w rodzinie gra, po co rozwód? Ale ona postawiła sprawę twardo, wieczorem rozmowa z Zochą, ta protestuje, i zaczęła się nienawiść między nami. Ale jako nienawiść! Darily sobie ubrania, brudziły bieliznę, kradły różne rzeczy. Do mnie jedna drugą szkalowała od najgorszych swin, aż nie mogłem słuchać. Ale najgorsze było to, że już nie mogłem żadnej posuwać. Ta wojna między nimi widać im takie zadowolenie dawała, że już na robotę żadnej ochoty nie miały. W końcu i siebie nawzajem nienawidziły, i mnie zaczęły nienawidzić. Tak się z trzy miesiące pociągnęło, znowu zacząłem do kurwy się zwracać. Kiedyś patrzy, sporo forsy na biurku straciłem, jak dożyć do pierwszego? Bo znowu zacząłem pracować, rozumiesz, ale już bez nadgodzin, to mniej upadło. No i nagle, jak błyskawica, przychodzi mi do głowy, że stara ma złoto i te wszystkie bogactwa zakitrane! I znam kryjówkę! Modliłem się, po raz pierwszy od dnia pierwszego komunii się modliłem, żeby nie schowała gdzieś indziej. Wycekałem, kiedy ich w domu nie było, i do schowka. Jest! Bracie, ani dwóch minut nie trwało, wyrwałem z chałupy, jak ogień na starcie. Do Jugosławii, przez Triest do Włoch, całą Francję przeleciałem, nawet nie wiedziałem, w jakim celu tak uderzę. Forsa się po paru miesiącach skończyła.

— Wtedy dotarłeś do Brukseli.

— Tak. I poprosiłem o azyl polityczny. A co, że?

C.D.N.



„Moim sukcesem - normalny dom”

— rozmowa z PIOTREM GRABOWSKIM, aktorem „Teatru Polskiego”.

— Kończył pan PWST w Warszawie w 1969 r. w czasie, kiedy jeszcze Jan Kreczmar pełnił funkcję rektora. Jak pan wspomina szkołę z tamtych lat?

— Rzemiosła aktorskiego uczyli mnie jeszcze przedwojenne sławy teatru: Ludwik Sempoliński, Zofia Małynier, Aleksander Bardini, Kazimierz Rudzki. Jestem wychowankiem Ryszarda Hanina. Najczulsze wspomnienia wiąże się ze Stanisławem Perzanowską. Byliśmy jej ostatnim rocznikiem. Do dyplomu nie zdążyła nas doprowadzić. Rektorem kończył złoony ciekła choroba Jan Kreczmar — człowiek wiatkawy. Potrafił całej szkole narzucić określony styl pracy i sposób zachowania się. Gdy odziedziczył ducha szkoły zamart. Coraz poważniejszej obserwowało się fraternizację studentów i pedagogów, która nie wyszła na zdrowie ani jednemu, ani drugiemu. Pamiętam te atmosfery doskonałe, bowiem na studiach przez cztery lata asystowałem w PWST profesorowi Jerzemu Kaliszewskiemu.

— Należą pan do aktorów dramatycznych. Epizody, które pan gra, zapadają w pamięć, choćby role: Siwka Radzika w „Popielcu”, Zenka w „Znachorze”, dyrektora lasów państwowych w „Punkcie widzenia”, Kuźniaka w „Domu”, Grubego w „Karacie po polsku”, Huberta Pyzika w „Sam pośród swoich”, i wiele innych. Czy nie tęskni pan do głównych ról?

— Oczywiście, że tęsknię — widocznie mój czas jeszcze nie nadziedzi. Zaden reżyser nie próbował we mnie zainwestować. Niemniej filmy w których uczestniczyłem dostarczały mi sporo osobistej satysfakcji, bez względu na ich powszechną ocenę.

— Która rola filmowa okazała się przełomowa w dotychczasowym dorobku?

— Myślę że to był film Kazimierza Karabasa „We dwoje”. Zagrałem w nim rolę studenta Politechniki w Gliwicach, który jest związany z dziewczyną o zupełnie

odmiennej mentalności aniżeli on sam posiada. Różnica charakterów, postaw wyzwała w nim podłość, wręcz chamskość. Było to dla mnie skomplikowane zadanie aktorskie, bo wydawało mi się, że w tytułowym postawie mojego bohatera byłoby nie do przyjęcia. Ten film jest dlatego bardzo ważny dla mnie, ponieważ K. Karabas nauczył mnie, jak powinienem zachowywać się w filmie, w określonej sytuacji. Nauczył mnie pewnej lapidarności zachowań, ich normalności i gdzie każdy ruch reki, ciała, grymas twarzy coś znaczy. O czymś informuje widza i zawiera w sobie jakiś ładunek ekspresji. To jest bardzo trudne zadanie, nie zawsze się udaje. W teatrze, kiedyś ponosiłem porażkę. W końcu zrozumiałem że konieczne jest trzeźwość, oko, tkwienie wewnątrz człowieka, oko które na chłodno obserwuje poczynania aktora. Jeszcze w latach szkolnych prof. Kaliszewski próbował mi zaszczyścić że warto w pewnych okolicznościach poszukiwać jeszcze większej oczywistości.

— Czy jest dla pana aktorstwo?

— Aktorstwo jest dla mnie takim samym zawodem jak każdy inny, ale nie każdy może go wykonać.

— A kto może?

— Górale powiadają: „Chodził Panbórek po niebie i tak ręką mazał: ty będziesz stolarzem, ty cieśla, ty murarzem a ty aktorem...”. Aktorów z prawdziwego zdarzenia jest niewiele. Dla mnie liczy się Ryszard Hanin, Tadeusz Lomnicki, Zbigniew Zapasiewicz, Wojciech Perzanowski. Słowo osób do tego zawodu trafiło przypadkowo. Może ja sam do nich należę? Mam świadomość własnych „niedoróbek”.

— Od czego zależy powodzenie aktora?

— Trochę od szczęścia, trochę od umiejętności nawiązywania kontaktów na pewno od pracowitości. Talent wydaje mi się sprawą chyba drugorzędna.

— Co takiego fascynującego jest w tym zawodzie?

— Dla mnie najatrakcyjniejsza jest zmienność, to że każdego wieczoru można być kimś innym.

— A jaki jest pan prywatnie?

— Bardzo spokojny, denerwuję się raz w roku. Trochę flegmatyczny i trochę niesystematyczny. Skupiam w sobie wszystkie te cechy które są sprzeczne z zawodem wykonywanym przez mnie. Staram się nikomu nie szkodzić, a jeśli tak się stało, to pośrednio w imię obrony kolegów i własnych racji. Lubie życie rodzinne, dom. Mam czternastoletnią córkę, która chodzi do szkoły muzycznej. To duża przyjemność obserwować jak dziecko się rozwija. Zna jest nauczycielka i doskonale rozumie sytuację, w której się znalazła.

— Często w pogoni za sukcesem dom ulega zburzeniu.

— Nawet nie wie pani jak często. Moim sukcesem życiowym jest to, że mam normalny dom. We wszystkich moich wyprawach fil-

mowych, mój dom ciągle pobrzmiewa w myślach i z prawdziwą radością do niego wracam. Lubie majsterkować meble, pokój. Nie są to rzeczy artystyczne, ale uważam, że stolarz nie powstydziliby się moich prac.

— Ale chyba odczuwa pan uczucie pewnej popularności. Dzieci zapewne często wytykają pana palcami na ulicy po roli kucharza Fortetasa w „Podrózach Pana Kleksa”?

— Nie ukrywam, że czasem korzystam z popularności. Udać mi się kupię lepsze mięso u rzeźnika. Pamiętam dość zabawna sytuacja. Stałem na postoiu taxi obok dwóch kobiet — rozweselone alkoholem. Zaczęły komentować moją obecność. Nagle usłyszałem: „Co ty, co to za aktor? Nie jeździż mercedesem...”. A swoją drogą zastanawiam się, skąd się biorą takie wyobrażenia na temat naszego zawodu?

— Jakże ma pan marzenia?

— Chciałbym razem z moją rodziną zwiedzić cały świat. Tej możliwości szczerze zazdroścę innym ludziom. Dobra materialnie nie przemawia do mnie.

— W czym można pana zobaczyć w najbliższym czasie?

— W Teatrze Polskim gram w spektaklu pt. „Drzewo” w reżyserii Karimiera Dziewki. Cieszy mnie ta współpraca z ówczesnym reżyserem, który ponownie kochał się w teatrze. W tym filmie „Janka” rolę Fortetasa w „Pograniczu w ogniu” — Hugo Berimana, w „Kancelarii” — Piskorzewskiego. Po składowaniu jest „Anquilla” w której zagrałem Nalepsia.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
IWONA
NIEMIEC-ADAMSKA

Proponujemy dziś „Pekół z widokiem” prod. angielskiej w reż. Jamesa Ivory’ego, film zrealizowany na podstawie powieści E.M. Forstera. Jest to obraz kostiumowy z epoki wiktoriańskiej, opowiadający historię miłości z powikłaniami. Twórczość tego amerykańskiego reżysera pozostaje zawsze w podobnym kręgu tematycznym: śledząc do bliźszej lub dalszej przeszłości Indii lub Anglii, Ivory szuka przeciwności w ucieczce. Zestawiając ze sobą różne kultury, obserwuje, jaki wpływ ma wychowanie i odrębne tradycje i obyczajowości na ludzkie uczucia, jak dochodzi do zderzenia dwóch osobowości, jak trudne jest znalezienie wspólnoty uczuciowej. Ivory tworzy kino indywidualne, które nie poddaje się żadnym modom czy tendencjom. Jest to kino perfekcyjne stylistycznie, bardziej brytyjskie niż amerykańskie. Film zdobył trzy Oscary i Złoty Globus ’86.

gdyby nie powtarzające się ciągle awarie aparatury Jury pod przewodnictwem Janusza Zaorskiego obejrzy w sumie ponad 20 filmów kinowych i telewizyjnych ubiegających się o „Lwy Gdańskie”. Jakkolwiek z wielkim zainteresowaniem oczekuje się projekcji filmów „Zauważ, Hassa, Kotkowskiego, Wosiewicza czy A. Holland, jednakże to, co obejrano w ub. tygodniu, niektórzy sprawozdawcy określili „daniem raczej ciekawostkowym”.

A może do kina?



Fakty ♦ Plotki ♦ Anegdotki

● Przebywający w Hollywood od 1983 r. Wiktor Grodecki (reżyser, absolwent łódzkiej PWSFTiT, autor głośnego filmu absolutoryjnego „Nagi przyszedłem”, który pracuje tam jako montażysta filmowy i pisze także scenariusze), przygotowuje się obecnie do zdjęć własnego filmu „Dusza zamordowanego królestwa” („The Soul of the Murdered Kingdom”). Film opowiada o polskich oddziałach uczestniczących w ekspedycji wojsk francuskich przeciw powstańcom z San Domingo. W roli polskiego oficera występuje Marek Proboz.

* Drżnasty Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni przebiegał jak utrzymujący niekiedy sprawozdawcy, w atmosferze... nudy,

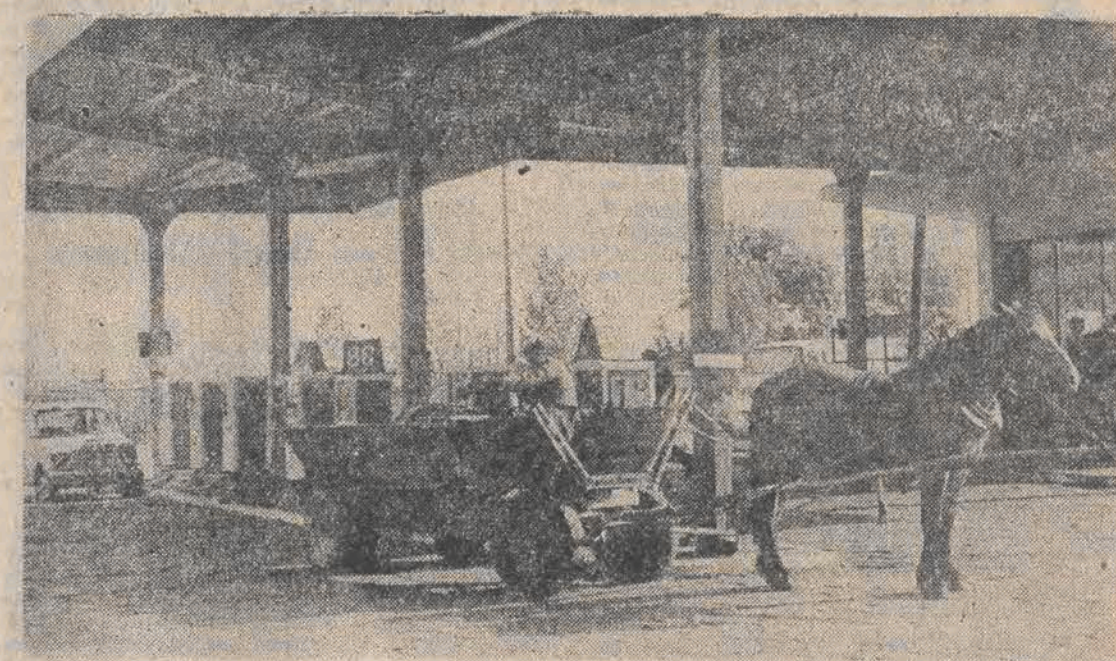


Foto: Grzegorz Galasiński



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podaj
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na Twój telefon czekają redaktorzy:
22 września — JERZY KWIECIŃSKI — godzina 10—15.
29 września — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godz. 10—15.

Relacja z dyżuru przy telefonie z dnia 13 września 1988 roku.

Różnie bywa na naszych reporterskich dyżurach przy telefonie — niekiedy aparat milczy jak zakłuty, innym razem nie mamy czasu nawet wypić herbaty, bo natychmiast po zakończeniu jednej rozmowy rozlega się kolejny dzwonek. Ostatni dyżur należał do średnich — co, z jednej strony świadcząc o tym, iż ciągle są czytelnicy, którzy poszukują kontaktu z redakcją, z drugiej — że nie szczególnie uciążliwe go akurat się w naszym mieście nie dzieje. Ale nich no tylko spadną deszcze, niech zaczną przeciekać dachy — telefon rozdzwoni się z potrójną częstotliwością.

Zwracamy uwagę władz administracyjnych dzielnicy Bałuty na fakt, że w czasie każdego dyżuru, a więc co tydzień, dzwonią do nas czytelnicy — mieszkańcy Bałut sygnalizując różne nieprawidłowości i uciążliwe sprawy, z którymi mają na co dzień do czynienia. Tak było i tym razem.

Pan R.D. (nawiasem — nasz stały rozmówca, któremu jak sam twierdzi, pomogliśmy już w wielu sprawach, dotyczących całej dzielnicy) zwrócił się tym razem — stanem trawników przy zbiegu ulic Zachodniej i Limanowskiego. Teren ten miał być zagospodarowany do końca maja — a tymczasem już prawie październik i drzewa nadal nie „prześwietlone”, kwiaty nie posadzone, a trawniki przygotowane w sposób skandaliczny — mianowicie na stosy gruzu, polamanych płyt chodnikowych i innych śmieci wysypano ziemię. Na pewno nie będzie tu w przyszłym roku ładnie — szkoda na takie zabiegi „upiększające” pieniędzy i ludzkiego trudu.

Pani K. zwróciła uwagę na stan ulic Ks. Brzozki, Urzędniczej, Sędziowskiej i okolicznych. Taksówki nie chcą tu wjeżdżać, kierowcy pogotowia, które wjechać musi — narzekają, mieszkańcy — tracą dodatkowe pieniądze na reperacje uszkodzonych zawieszonych w samochodach. Interwencje i prośby o remont nawierzchni od lat nie skutkują.

Pani Matylda J. — także z Bałut — opowiedziała nam dalszy ciąg swoich potyczek z ROM i PGM. O sprawie tej pisałyśmy już obszerny materiał, wkrótce do niej wrócimy, tym bardziej, że pani Matylda ma zamiar ogłosić strajk protestacyjny i przestać płacić czynsz.

Dwóch czytelników domagało się — i słusznie — szybkiego otwarcia w centrum miasta punktu sprzedaży prasy antykwarycznej, również dwóch — proponowało poruszenie na łamach „Odgłosów” problemu działek budowlanych, o które

na wąskich uliczkach) przez co pasażerowie narażeni są na dodatkowe, długie spacer i oczekiwanie (ponadgodzinne) na autobus połączony do Pabianic, bo na najbliższy po prostu nie zdążają.

O dziwnych praktykach powiadomił nas pracownik jednego z przedsiębiorstw (jego nazwa i adresom służymy odpowiednim instytucjom kontrolnym) w którym z pożyczek z funduszu mieszkaniowego korzystają jedynie ci, którzy budują własny dom. Chętni do mieszkania lokatorskiego pożyczek nie dostają, bo... słabym i bez inicjatywy pomagać nie warto.

Czytelniczka, która nie przedstawiła się, podała adres staruszka, którego rzekomo dzieci wyrzuciły do komórki, gdzie trzymają go o chlebie i wodzie. Adres i nazwisko zapisaliśmy — nie podajemy jednak do wiadomości, ponieważ podejrzewamy w tym jakieś saskie porachunki. Na wszelki wypadek sprawdzimy.

TERESA
JERZYKOWSKA

Baltona

PHU „OTEX”
w Łodzi

PHZ „BALTONA” SA
w Gdyni

ZAPRASZAJĄ

do swoich sklepów, polecając:

- ul. ZGIERSKA 22
- * sprzęt RTV i audiowizualny
- * kasety video
- * art. kosmetyczne
- * zegary i zegarki
- * zabawki i kalkulatory

sklep czynny w godz. 10—18
w soboty, w godz. 10—15

- ul. ZGIERSKA 11
- * art. spożywcze
- * napoje

sklep czynny w godz. 10—18
w soboty, w godz. 10—15

ZYCCZYMY UDANYCH ZAKUPÓW!

2494 R

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

„NIE BYŁO INNEGO ROZWIĄZANIA”

„Nie było innego rozwiązania” pisze pan Z.J. Michalski i po słownym, jak za dawnych lat ułóża ofiarom stalinowskich kampanii propagandowych, „Sternicy ówczesnego państwa polskiego (mowa o rządach II Rzeczypospolitej przyp. K.O.) diabli byli wariaci i dostawali DRGAŁEK na sam oddech słowa socjalizm czy demokracja”.

Otoż ja dostałem drgawek ze śmiechu czytając te brednie, usiłowałem bowiem wyobrazić sobie pana Z.J. Michalskiego urgającego na dźwięk słowa KAPITALIZM.

Ogromna większość z tych drgawkowiczów, o których pisze pan Z.J. Michalski nie dość, że wywalczyła nam Niepodległość, to jeszcze brała czynny udział w walce o socjalistyczne ideały, ale wierząc o tym, powinno się pamiętać przy tak oceremonialnych oskarżeniach, co dzieje się i jak te ideały są wieloletnie w życie u naszego wschodniego sąsiada, panicznie bała się powtórzenia tych błędów w odródnionej Polsce.

Stalin, teraz wiemy już choćby z prasy radzieckiej nigdy nie pogodził się z faktem, iż Polacy poszli własną drogą do Niepodległości a nie wskazaną nam, jak mniemam w najlepszej wierze, przez komunistów polskich i rosyjskich. Najdobitniej świadczy o tym pakt Ribbentrop — Molotow, a zwłaszcza wystąpienie Molotowa cytowane zresztą przez pana Z.J. Michalskiego „wystarczyło jednego krótkiego uderzenia na Polskę najpierw ze strony armii niemieckiej, a potem Armii Czerwonej, aby nie nie zostało z tego pokracznego dziejstwa Traktatu Wersalskiego”.

Taki był stosunek rządu ZR do naszej niepodległości i odpowiedzialni za losy II Rzeczypospolitej doskonale o tym wiedzieli. Stąd brały się ich, jak się okazuje, szumne obawy, np. przed wopuszczeniem Armii Czerwonej do Polski, zwłaszcza że przy udzieleniu gwarancji Czechosłowacji Stalin nawet nie wspominał o potrzebie założenia radzieckich baz wojskowych w Czechach.

Kłamia — moim zdaniem — wciąż jeszcze kłamia ci wszyscy, którzy nadal bez zażenienia piszą, że Armia Czerwona wkroczyła do Polski, by ochronić swoje mniejszości. W pierwszym wariancie umowy Ribbentrop — Molotow, Stalin domagał się przyznania mu ziem polskich aż po Wisłę i to była ta druga część prawdy skrytą przed polską opinią publiczną, ale ukrytą się jej nigdy nie udało. Było z nią podobnie jak ze zbrodniami Stalina, wszyscy w Polsce o nich wiedzieli, tylko część z wiedzących nie dawała im publicznie wiary.

O Rydzu-Smigłym pan Z.J. Michalski pisze: „Bliż się nasz żołnierz z determinacją, gnieć na polu walki szeregowcy i generałowie i nie może blasku tych dni krwi i chwaliły przyćmić jeden fakt haniebnej ucieczki naczelnego wodza”.

Uf jak gorąco, mocno powiedziane, widać z tego, że autor jest zdania, iż Wódz Naczelny powinien pojsć razem ze swoimi oddziałami do niemieckiej, albo może do radzieckiej niewoli, a kto wie być może dzisiaj widniałoby jego nazwisko na czele pomordowanych w Katyniu. Tymczasem On, co za hańba, chciał uciec się do Francji, niestety rząd polski został w Rumuni interponowany i tylko dlatego Sikorski, a nie On kandydował do miejsca na Wawelu.

Hannibalowo, o ile dobrze pamiętam, nikt nie miał za złe, że po przegranej bitwie uchodził z pola po to, by podjąć ją przeciw Rzymowi w innym miejscu i czasie.

Solusz polsko-brytyjski ocenia pan Z.J. Michalski według starej melodramatycznej formuły, nie pomógł. „Anglicy zresztą również, gdy 25 sierpnia 1939 roku został podpisany polsko-brytyjski układ o wzajemnej pomocy, a pomocy nie było...”. A to, że Anglia przystąpiła do wojny, będąc do niej nie przygotowana, to nie! W 1939 roku Anglia zrobiła wszystko, co mogła zrobić, podobnie jak Polska! Dzieki przystąpieniu Anglii do wojny, nasza wojna obronna stała się tylko pierwszą bitwą drugiej wojny światowej i dla nas żołnierzy Września, dla tych, którym udało się uniknąć niewoli, Września był początkiem drogi do zwycięstwa!

Czy pan Z.J. Michalski może sobie wyobrazić, jak dzisiaj wyglądałby świat, gdyby Anglia w 1939 roku nie wydała Niemcom wojny, czy może pan sobie to wyobrazić?

KAROL OBIDNIAK

Czytając artykuły panów redaktorów w różnych tygodniakach na temat Polski międzywojennej, można sobie wyobrazić historię minionych lat. W dalszym ciągu jest ona interesująca z powodu różnych opinii wśród osób, interesujących się problematyką historii Polski. Obecnie panuje moda na uławianianie białych plam. Wysskokuje się coraz bardziej ciekawe wspomnienia i pisze kontrowersyjne artykuły mające udowodnić czytelnikowi.

Artykuł pana Z. Michalskiego pt. „Nie było innego rozwiązania”, nasunął mi kilka uwag polegających na odmiennych poglądach w ocenie niektórych fragmentów dotyczących wojny w 1939 roku.

Jak zawsze bywa w każdej polemice pomija się zdania szumne i prawdziwe. Pozostałe zdania mają już charakter dyskusyjny.

Pierwsze porównanie: autor pisze, że na przestrzeni dwudziestolecia ogólny bilans stosunków polsko-niemieckich nie obciąża polskiego konta. Pytam się, czy to nie jest delikatne wybielanie rządów sanacyjnych nie widzących zagrożenia z zachodu?

Do polityki obozu sanacyjnego autor zaliczył Żołzie, Wileńszczanie i plebsicy na Śląsku czy to mało, jak na początek po odzyskaniu niepodległości? Józef Piłsudski przygotowywał wojsko do agresji na młodą Republikę Lit. Dziś nikt nie pisze otwarcie, jaka była rola Jasia Pańskiego Polki. Jaki był cel tej wojny? A cel był jeden: zniszczyć słaby opór Armii Czerwonej i zająć jak największy obszar terytorium. Stworzyć Państwo Polskie od morza do morza. Hasło to zawsze podobało się szczególnie polskim nacjonalistom z obozu narodowego.

Polska walczyła o swoją niepodległość przeszło 100 lat. A po jej odzyskaniu już w drugim roku wojności, kiedy cały naród po katedrach i rozbiórach jeszcze świecił gołymi tykami, już przygotowywano go do wojny przeciwko bolszewizmowi. Wojsko Polskie było już pod Kijowem, ale karta wojenna odwróciła się nim (jak pisał publicysta wspaniałych podziękowań taktycznych gen. Rydza-Smigłego, bolszewicy nosili karabiny na sznurkach, a mimo to dotarli pod Warszawę. Wtedy stał się cud nad Wisłą, który przeszedł do legendy narodowej. W tym czasie Lwów pozostawiono na łasce operacyjności. Lwowa bronił Orleto. W nagrodę za bohaterstwo obronę i śniadanie ułożono pieśń sławiącą ich bohaterstwo. W 1988 roku gloryfikuje się Józefa Piłsudskiego i wszystkie Jego błędy uważa się za niebyle. Przemilcza się Berezę Kartuską, Brześć, a o przewrocie majowym mówi się jako o konieczności utrzymania porządku w kraju. Każdy wódz jest podziwiany i kochany, kiedy walczy o czyść i służną sprawę. Kiedy podnosi rękę na współplemieńców, traci swój autorytet. Trzeba pamiętać, że wojna 1920 roku, jak wspominałem, niektórym panom się bardzo podobała, natomiast patrzeć z odwrotnej strony słyszy się jak głośno hasła „brońmy rewolucji „rosyjskiej przed Polakami”. Mamy porzekadło mówiące, że u naszego wroga znajdziemy igłę w stogu siana, u siebie nie widziemy belki w oku.

Z głoszonych opinii wynika, że byliśmy krajem o własnej linii politycznej, wyrazem której były romanse prowadzone z Niemcami, Francją, Anglią oraz Rumunią. Utrzymywano stosunki dyplomatyczne a dwustronne sojusze miały być gwarancją na utrzymanie pokoju. Patrząc przez palce na fakt zbrojenia się niemieckiego faszyzmu, który jak wiadomo wszedł do Austrii, a później do Czechosłowacji. Polsce zaproponowano budowę autostrady do Gdańska. Z powodu tak bezczelnej propozycji, która nazwałimy niemiecką prowokacją, naród polski postanowił sprzeciwić się hitlerowskiemu zadaniom. Pod wpływem panujących nastrojów w narodzie, władze sanacyjne decydują się odmówić zadaniom Hitlera. Nastąpiła szybka nieorganizowana mobilizacja. Jednostki bojowe były niedobrobrojne. Zaostrzenie wojskowe beznadziejne. Poraz tym niewiara rządu w zwycięstwo już na samym początku powodowała psychiczne załamanie dowództwa Polacy przyjaciele przestali być przyzwoćmi.

Stanisław Strumpp-Wojtkiewicz w książce pt. „Alarm dla Gdyni” na stronie 25 pisze: „Od maja 1926 r. Armia była permanentnie gongolowana — Korpus Oficerski był wzięty w kleszcze rozróbek personalnych stał się mi prostu i grawitacji w rękach takich jak pułk Sobolfa”, dalej na stronie 102 gen. Borowski zapytał: „A co pan zrobi pułkowniku, jak Niemcy brzoza pana do morza?”. „Ostatni granat rzucił sobie pod nogi, panie Generale, jak już nie będzie miał innego wyjścia” — odrzekł Dabek”.

Oto jest odpowiedź autorowi: „Czy istniało inne rozwiązanie”, oczywiście to nie jest jedyny opisany przypadek. Była jeszcze jedna

odpowiedź zaprezentowana w prasie: „Tylko głupiec strzelał sobie w łeb, należy szukać innej koncepcji życia”.

Cnota i bohaterstwo, poświęcenie i wiara walczących żołnierzy i oficerów we wrześniu nie może oznaczać rehabilitacji dla zgrubnej polityki burżuazyjnych władców międzywojennej Polski.

Druga sprawa: dotyczyła Władysława Molotowa, który ubliżył narodowi polskiemu, i dla którego nie ma już przebaczenia. Określił on naród polski jako pokraczne dzieło Traktatu Wersalskiego. Nie mam zamiaru stawiać w obronie osoby ogólnie potępionej, która w tak niedyplomatyczny sposób określiła naród polski i wyraziła, jak mi się wydaje, swoje odczucia. Nie zapominajmy, jaka wówczas panowała sytuacja. Każdy zwycięzca chce być podziwiany (znany to z polskiej historii). Władysław Molotow znał Polskę lepiej od nas. Posiadał tajne dokumenty. Był świadkiem wielu wydarzeń, również i Traktatu Wersalskiego. Czytał odpowiedź rządu polskiego, które brzmiały — NIE! Byliśmy siłni, zważy, gotowi, to przedwojenna propaganda nie istniejącego sukcesu. Co łaska było sądzić o polskim rządzie, który w kompromitujący sposób opisał kraj. Członkowie rządu oraz część wojskowych wyrażała pogląd, że w beznadziejnej walce nie chcą iść do niewoli. Nie wiem jak ja bym się wyraził o Polsce, gdybym był na miejscu Molotowa. Mam nadzieję, że wielu czytelników mogłoby zadać sobie to pytanie. Joanna d'Arc chciała i walczyła jak najlepiej, a jednak ją spalono.

Sprawa trzecia: Pan Michalski dalej pisze, że:

I) Władza radziecka szczególnie w drugiej połowie lat trzydziestych nie była zachęcającym partnerem.

II) Socjalizm w stalinowskim wydaniu mógł skutecznie odstraszyc od bliskich kontaktów.

III) Rząd radziecki domagał się od władz polskich przepuszczenia Armii Czerwonej przez terytorium Polski dla bezpośredniego zetknięcia się z nieprzyjacielem, nie znając Józefa Stalina nie było żadnej gwarancji, że wojska te po wykonaniu zadania wrócą do siebie. (Koncepcja cytowa).

Są to trzy informacje sugerujące czytelnikowi, że już wówczas znane były rady stalinowskie w politycznych dążeniach. A inni się wciąż wyrażają, że dopiero po XX Zjeździe dowiedzieliśmy się szczegółów polityki Stalina, o których poprzednio nawet polski wywiad nie miał możliwości sprawdzenia stalinowskich tajemnic. Owszem w przedwojenną propagandzie karmiono nas w Polsce plakami i rysunkami w prasie jak to ludzkie z NKWD z nożem w ręku i zębami czyhają na swoich wrogów. Polskim nacjonalistom wybitnie podobała się taka forma i z radości śpiewali nabożne pieśni.

Sprawa czwarta: Pan Kazimierz Roren-Zawadzki pisząc swój artykuł pyta, czy warto było walczyć w 1939 roku. Takie pytanie jest również obraźliwe dla każdego polskiego żołnierza. Dla on o sobie niezbędny pochlebna ocena. Sprawa uległaby wobec Niemców była często dyskutowana i propagowana wśród polskich zwolenników hitlerizmu. Dalszy komentarz uważam za zbędny.

Sprawa piąta: (czt. pana Michalskiego). Trójea Bojowe Armii Czerwonej to było 900 dział, 10.000 karabinów maszynowych, 300.000 karabinów, 150 milionów kul karabinowych, milion ppełków artyleryjskich oraz 300 samolotów. (kon. cyt.).

Jak mnie pamięć nie myli, cytuję te wymieniał Molotow chwalać się osiągnięciami Armii Czerwonej w walce z Polakami. Błąd autora polega na tym, że czytelnicy zostają poinformowani niewłaściwie. W czasie wojny nikt nie ma czasu na liczenie kul karabinowych i armatnich, a pozostałe cyfry podaje w przybliżeniu. Czytelnicy mogą dosłownie zrozumieć, że Armia Czerwona rzeczywiście zabierała nam wymienioną siłę ognia, karabiny i samoloty. Uważam za konieczne poinformowanie czytelników o powyższym błędzie. Napisaw: przeglądając książkę wydaną przez MON — napisana przez Andrzeja Rzepniewskiego. W książce tej znajduje się mapki rozmieszczenia sił lotniczych Polski od 1 września do dnia 18 września 1939 r. W załączniku nr 23 znajduje się tabela, w której wyszczególnione są ilości i typy polskich samolotów. Łącznie było w walce 463. Z tego 98 ewakuowano. Część została zbombardowana na lotniskach, część zginęła w walce, cyfry nie są podane. W książce napisanej przez p. Kozłowskiego w podobnej tabelce w każdej pozycji jest wymienionych po kilka samolotów mniej. Dosłownie do paragrafu, który należy wyjaśnić. Jeżeli przyjmujemy, że 300 samolotów zabrala nam Armia Czerwona i 99 zostało ewakuowanych pozostało nam 45, którymi to zniszczyliśmy, jak podaje tabela 336 samolotów niemieckich i 279 ciężko uszkodzonych. Takich bohaterów czynów jeszcze nikt na świecie nie dokonał. Chyba że będzie to bajka fantazyjnie opisana w książce dla dzieci i młodzieży.

Kto pamięta wrzesień, ten zawsze powie, że na polskim niebie nie widział polskich samolotów. Były jednak walki powietrzne, o których prawie nie wiemy. Z przykrością muszę stwierdzić, że w czasie moich bojów w 1939 r. ja i moi koledzy po wystrzeleniu posiadanej amunicji nosiliśmy beznadziejne karabiny.

Zaznaczam, że w omawianym temacie znajduje się wiele luk dotyczących tej wojny. Dziś pisze się, że nie było innego rozwiązania, dodając przy tym sugestywne twierdzenia w myśl ogólnych zasad nie ubliżaj i nie oskarżaj. Nie narażaj się bliźnim.

TADEUSZ KOLACZYK

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem artykuł Zenona Janusza Michalskiego pod tytułem: „Nie było innego rozwiązania” zamieszczony w numerze 36 z 3.09.1988 r.

Obiektywne nasświetlenie faktów poprzedzających najazd hitlerowców na Polskę 1 września 1939 r. predestynuje ten artykuł do zapoznania z nim na lekcjach w szkole w klasach V — XI, tym bardziej, że rocznica najazdu na Polskę zbliża się zawsze z rozpoczęciem nowego roku szkolnego.

Mam tylko jedną wątpliwość, czy pan redaktor Michalski prawidłowo zacytował wypowiedź Molotowa na V nadzwyczajnej Radzie Najwyższej ZSRR 21.10.1939 r. We wszystkich dotychczas przeczytanych publikacjach ostatnia część cytowanego zdania brzmiała „aby nie nie zostało z tego pokracznego bekarta — Traktatu Wersalskiego”, tymczasem pan Michalski cytuję „aby nie nie zostało z tego pokracznego dziejstwa Traktatu Wersalskiego”.

Jest więc istotna różnica między tymi wyjaśnieniami i należałoby podawać prawidłowe tłumaczenie tej skandalicznej wypowiedzi Molotowa.

GRATULACJE DLA PKS

Jechałem na urlop wraz z rodziną do Ustki, autobusem PKS relacji Tomaszów Maz. — Ustka, w dniu 13 sierpnia br. o godz. 9 z Dw. Fabrycznego w Łodzi. Autobus podstawiony w czasie. Był też czas na ulokowanie bagażu w kufrach autobusu. Był czas na zajęcie swoich miejsc, w czym mniej wprawnym, pomagał kierowca.

I tu warto zatrzymać dłużej się nad osobą kierowcy. Nie odmówił on żadnej prośbie zatrzymania się, podczas tej długiej przejeżdż podryż Informował przy postojach o czasie ich trwania. Przed kolejnym wyruszeniem w trasę, sprawdzał czy wszyscy są w autobusie. Była też dłuższa przerwa (przewidziana rozkładem) na obiad i tu odbyło się to bez zbędnego pośpiechu. Sam sposób prowadzenia wozu przez tego kierowcę zasługuje na pochwałę. Tak bezpiecznie i tak kulturalnie dawno już nie podróżowałem. Podróż trwa 10,5 godziny.

Gratuluje PKS w Tomaszowie Maz. takiego kierowcy, który swoje obowiązki traktuje poważnie, jest uczynny i miły, choć na jego twarzy malował się zmęczenie i trud drogi.

nowią szczególną uciążliwość dla lokatorów, którzy zamieszkują w takich lokalach oraz powodują niszczenie substancji budynku. A zatem ocieplanie ścian budynków jest konieczne i uzasadnione. Usunięcie przedmiotowych wad technologicznych następuje metodą ocieplenia ścian zewnętrznych. Stosowana technologia przy ocieplaniu ścian (piły styropianowe pokryte cienką warstwą tynku) jest obecnie jedną z najtańszych i najprostszych metod zatwierdzonych i dopuszczonych do tego typu robót przez Instytut Techniki Budowlanej.

Potwierdzamy fakt, że na wykonawcy ciąży obowiązek zabezpieczenia okien i drzwi balkonowych przed zachlapaniem podczas wykonywania robót ociepleniowych. Spółdzielnia na te sprawy niejednokrotnie zwracała uwagę wykonawcy, jednak jest to trudne do wyegzekwowania. Podkreślić przy tym trzeba, że budynki przy zastosowaniu tej technologii niedbałe wybudowane w latach poprzednich stwarzają nie tylko spółdzielcom, ale i spółdzielcom wiele trudnych problemów związanych z ich eksploatacją.

Dyrektor
mgr WIESŁAW CYZOWSKI

DYREKTOR ZAREAGOWAŁ

W odpowiedzi na notatkę prasową „Czy dyrektor Wojciech Szmidt zareaguje”, zamieszczoną w Waszej gazecie, odnośnie wymiany stolarki okiennej w lokalu ob. M. Kozaka przy ul. Zachodniej 50 informujemy, iż wykonanie powyższych prac zostało zleczone do wykonania w Sp. Drewno z terminem realizacji do 30.10. br.

Jednocześnie pragniemy tą drogą przeprosić zainteresowanego za długi okres oczekiwania, a wyniki on z braku wykonawców — rzemieślników stolarki okiennej oraz braku tarcicy w naszym przedsiębiorstwie (realizacja zamówień wniosła w I półroczu 0 proc.).

Z-ca dyrektora ds. eksploatacyjnych
mgr WALDEMAR GUCAJIS

Zgodnie z życzeniem Dyrekcji Okręgowej KPKS w Łodzi zawartym w piśmie z dnia 11.08. br. stanowiącym odpowiedź na skargę złożoną przez Obywatelkę Joannę Federowicz-Barowicz i podjęta w tej sprawie interwencje ze strony Redakcji Tygodnika „Odgłosy”, Dyrekcja Okręgowa KPKS we Wrocławiu dodatkowo wyjaśnia, że zarzuty zainteresowanej pasażerki stawiane naszym rewizorom zostały potwierdzone wdrożonym postępowaniem wyjaśniającym.

Kierownictwo właściwego Oddziału nadzorujące pracę omawianych rewizorów obek podjęcia stosownych działań zapobiegających powstawaniu stwierdzonych uchybień w przyszłości, a w szczególności niedopełnienia przez kontrolujących obowiązku pomiaru bagażu, dokonało w dniu 1.08.88 r. zwrotu w pełnej wysokości pobranej opłaty za przewóz tego bagażu oraz przekazało Obywatelce Federowicz-Barowicz słowa przeprosin za doznane przykrości.

Z-ca dyrektora ds. przewozów
mgr inż. ELŻBIETA TOMASZEWSKA

ZATKANA RURA

Odpowiadając na pismo z 23 lipca 1988 roku w sprawie załamania woda suszarki w budynku przy ul. Dębskiej 3 — Przedsiębiorstwo Gospodarki Mieszkaniowej Łódź — Górna informujemy, że została udrożniona rura deszczowa i woda nie przedostaje się o piwnicy.

W sprawie wyrażenia zgody na wycięcie drzew przed budynkiem występowaliśmy do Wydziału Ochrony Środowiska Urzędu Dzielnicy Łódź — Górna w październiku 1987 roku — zgody nie wyrażono. Ponownie wystąpiliśmy o zgodę 16 sierpnia 1988 r. i po jej uzyskaniu drzewa zostaną wycięte lub przetrzone.

mgr inż. WŁODZIMIERZ ZAJĄCZKOWSKI

POWODEM CHOROBA AJENTA

W odpowiedzi na krytyczną notatkę prasową zamieszczoną w „Odgłosach” 1988-VIII-20 „Społem” — PSS Oddział Górna wyjaśnia, że wyłączenie z działalności handlowej sklepu branży spożywczej przy ul. Niemcewicza 17 wystąpiło w związku z nieprzewidzianymi zwolnieniami lekarskimi agentów.

Powyższe zamknięcie zostało uzgodnione z Urzędem Dzielnicy Łódź-Górna z uwagi jednak na fakt, iż sklep został zamknięty nagle, decyzyja w sprawie wyłączenia z działalności została zawieszona na zewnątrz placówki z pieczęcią Oddziału.

mgr JADWIGA SZABUNIC

REDAKCJA — CZYTELNICY

CZESŁAW ZYLINSKI, Łódź. Otto Kuusinen był oczywiście członkiem Prezydium i sekretarzem KC KPZR, a nie KC PZPR, jak mylnie wydrukowano. Za błąd przepraszamy.

Dziękujemy za wiadomość o pogrzebie ostatniego komendanta Okręgu Łódzkiego AK — gen. Michała Stempkowskiego. W miarę naszych możliwości postaramy się zająć tą postacią historyczną.

REGINA KUSIAK, Gorzów Wielkopolski. Pozdrowienia Bohdanowi Gadomskiemu przekazaliśmy. Cieszy nas, że podobał się panu wywiad z Krzysztofem Krawczykiem. Kiedy Krzysztof Krawczyk powróci do zdrowia, to nie będzie żadnych przeszkód, aby znów ukazał się z nim wywiad.

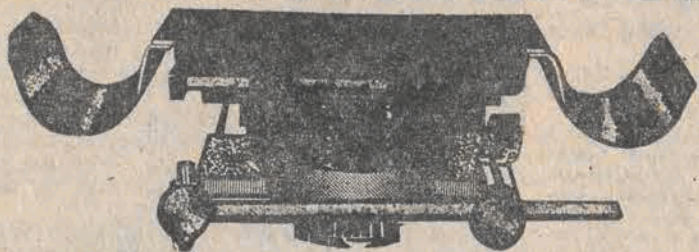
RYSZARD WINER, Łódź. Z nadesłanego materiału nie skorzystamy. Przedstawiona przez pana hipoteza wydaje się zbyt fantastyczna, aby mogła spotkać się z umiarkowanym nawet zainteresowaniem naszych Czytelników. Jeśli będzie miał pan coś mniej fantastycznego, prosimy o nas pamiętać, chociaż w zasadzie mało nas interesują problemy UFO, SF i temu podobne. Tyle jest ważnych spraw do rozwiązania w naszej nie najlepszej rzeczywistości. Im przede wszystkim musimy poświęcać uwagę.

WITOLD AFEŁT, Łódź. Przykro nam, ale nie mamy zamiaru powracać do dyskusji na temat „karać czy wychowywać”. Dlatego z listu nie skorzystamy.

AURELIA JEZIORNA, Łódź. L. Wiodkowski prosił, aby podziękować za list i napisać, że nadal nie umie pani pisać skarg i innych pism. Krótka i zwięzła! Bez degenerji i niepotrzebnych gadulstwa. Pozdrawiamy i życzymy powodzenia!

REDAKTOR DYŻURNY

UWAGA FOTOAMATORZY!



OTRZYMASZ BEZPŁATNIE FILM KOLOROWY.

jeżeli

z Twojego negatywu wywołanego u nas wykonamy co najmniej 20 dobrych zdjęć!

- Wywoływanie filmów ORWO, AGFA, KODAK i innych w urządzeniach najlepszych firm światowych,
- Odbitki barwne robione wyłącznie w automatach AGFA i GRETAG na papierach polskich i zagranicznych,
- Odbitki ze slajdów wykonywane techniką specjalną na papierze odwracalnym.

STUDIO FOTOGRAFICZNE AFP
ZAPRASZA!

adres: 03-318 Warszawa, ul. Ogińskiego 5a, tel. 11-50-95.
00-545 Warszawa, ul. Marszałkowska 72,
tel. 28-32-29.

Prace można również nadsyłać pocztą.



Tylko sprzęt RTV zakupiony
w **Pewexie**
zagwarantuje najwyższą
jakość transmisji olimpijskich
z Seulu

ZAPRASZAMY

do sklepów w:

ŁÓDŹ, ul. Piotrkowska 143 i ul. Marynarska 4
PIOTRKOWIE, Rynek Trybunalski 7
TRYBUNALSKIM, Rynek Trybunalski 7
SKIERNIEWICACH, ul. Mszczonowska 30

2574/K



TOWARZYSTWO WIEDZY POWSZECHNEJ
w Łodzi, ul. Piotrkowska 68

ZATRUDNI

OB SARA
ANGLISTÓW

(również studentów)

W CHARAKTERZE LEKTORÓW
na kursach języków obcych.

Warunki podobne do Klubu MPIK, tel. 33-01-04.

2573/K

OKRĘGOWE PRZEDSIĘBIORSTWO PRZEMYSŁU
MIĘSNEGO

w Łodzi, przy ul. Inżynierskiej 1/3.

O F E R U J E

do sprzedaży m.w. maszyn i urządzeń:

- ▲ WENTYLATORY typu: FKD-80, FA/K, FKDN-80, LRN-800.
- ▲ ODOLEJACZ OA-150 — 1980 r.
- ▲ ZBIORNIK SPRĘŻONEGO POWIETRZA V-4 m sześci., p-10atm — 1987 r.
- ▲ WAGI ELEKTRONICZNE: Hobart, Biserba.
- ▲ KRAJALNICE: Berkel, Toby.
- ▲ PAKOWACZKI: Franklin, Avo Compak, Dixi Union, Multivac, Hayssen.

Informacji udzielamy w Dziale Koordynacji i Nadzoru Technicznego, tel. 36-05-13, lub 36-78-66 wew. 83.

Zainteresowani proszeni są o złożenie pisemnych ofert w ww. dziale.
Zastrzegamy sobie prawo wyboru oferty bez podania uzasadnienia.

2630/K

OSRODEK KSZTALCENIA ZAWODOWEGO NR 1
ZAKŁADU DOSKONAŁENIA ZAWODOWEGO

w Łodzi, ul. Łąkowa 4

ORGANIZUJE

K U R S Y:

- MASAŻU LECZNICZEGO
- RADIESTEZJI (ROZDZKARSTWA)
- SAMOLECZENIA NATURALNEGO (magnetoterapia i techniki Bliskiego i Dalekiego Wschodu)
- ZIOŁOLECZNICTWA
- UWRAZLIWIENIA „ENCOUNTER” — ułatwiające lepsze poznanie siebie, zwalczanie stresów, lęków, urazów.

Zapisy przyjmuje i informacji udziela sekretariat ośrodka, ul. Łąkowa 4, pokój 301, III p., tel. 32-89-05 w 25 w godz. 8—15.30, tel. 32-89-07 w godz. 15.30 do 19.30 i tel. 32-60-48 w godz. 9—17.

2628/K

PRZEDSIĘBIORSTWO GOSPODARKI KOMUNALNEJ
I MIESZKANIOWEJ

w Aleksandrowie Łódzkim, ul. 1 Maja 28/30

OGŁASZA

PRZETARG NIEOGRANICZONY

na sprzedaż

KOPARKI KS-251

na podwoziu samochodu Star — 66

Nr rej. LDA-106-4, rok prod. 1975, cena wywoławcza 1.654.000 zł.

Przetarg odbędzie się w dniu 27 września br., o godz. 10 na świetlicy PGKiM, ul. 1 Maja 28/30.

Ww. pojazd można oglądać co dzień od 8 do 14 na ul. 1 Maja 28/30. Przystępujący do przetargu zobowiązani są do wpłacenia, najpóźniej w dniu przetargu wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej w kasie PGKiM.

W przypadku niedojścia do skutku I przetargu, nastąpi II przetarg o godz. 13. Przedsiębiorstwo zastrzega sobie prawo odstąpienia od przetargu bez podania przyczyn.

2629/K

sklepy
PEWEX-u
zapraszają

PEWEX — WIELKA
POSEZONOWA
OBNIŻKA CEN

Od 12 września
ponad 800
atrakcyjnych
artykułów

TANIEJ



Częstokroć łatwiej wysnuć wielki epos z głowy,
Niż napisać maleńki utwórzik karmelkowy...

Józef Klemensiewicz

Julianowi Tuwimowi wpadł kiedyś w ręce arkusz papieru pochodzący z połowy XIX w., osobliwy o tyle, że były na nim wydrukowane jednostronnie dwuwiersze, służące po ich wycięciu do owijania karmelków. Te karmelkowe wiersze — obecnie synonim utworów o małej wartości, salonowych erotyków — wykorzystywano następnie do gry salonowej zbliżonej do flirtu towarzyskiego. Tuwim uznał je („Problemy” 1949, nr 3) za przejaw swoistego folkloru wierszopiskiego, podobnie jak pieśni straganowe, odpustowe, wiersze mnemotechniczne, szarady. A były na tym szczęśliwie ocalalym arkuszu (czy zachował się aby w spuściźnie po Tuwimie — przechowywane w Muzeum Literatury?) takie klejnotki poetyckiej weny jak np.:

Jeśli ten karmelek za gorsik umieścisz,
Wzajemność twojego serca przez to mi obwieścisz.

Udepcz mnie nóżką na znak, żeś kochany,
A najszczęśliwszy poezjama ci ściany.

Dla ciebie, ach! dla ciebie, najmiłsza z Anielek,
Nie mogąc oddać serca, składam ci karmelek.

Panie Salezy, nie rób tak wiele przyrzeczeń,
Bo miłość nie szkatuła, a serce nie pieczeń.

Jutro będę u ciebie, lecz pamiętaj, Pani,
Zebym; byli samu i niepodglądani.

Najsynniejszy jest oczywiście „Karmelkowy wiersz” Adama Asnyka, znanego pod pseudonimem El...y — ironiczny antyteza świeckiego erotyka, drukowany po raz pierwszy w 41 numerze lwowskiego „Dziennika Literackiego” z 1868 r.:

Lecz ja komedi, salonu
Jak człowiek dobrego tonu
Na wylot znam.
Z serca pożytek niewielki,
Więc mam w zapasie karmelki
Dla dam

4 czerwca 1899 r. odbyła się we Lwowie zabawa ogrodowa, z której dochód przeznaczono na rzecz I Bezpłatnej Czytelni Koła Pań Towarzystwa Szkół Ludowej. Atrakcję programu sta-

Z różnych szuflad

Karmelkowe wiersze

nowiły okolicznościowe wiersze, nadesłane przez przedstawicieli polskiej literatury, jakie fany na zorganizowaną podczas zabawy loterię Niezależnie od tego wszystkie teksty znalazły się równocześnie w „Jedynoludzie karmelkowej”, wydanej jako swego rodzaju dokumentacja owej imprezy dobroczynnej. Krakowski publicysta i satyryk Kazimierz Bartoszewicz tak pisał o wartości literackiej fantów:

Zupełni, jak w karmelkach: różne są tu smaki,
Różne formy i barwy, lecz treść zawsze słodka,
Jeśli wszystkim je schrupie jaka miła kotka,
Mamy jeszcze w zapasie dla niej — całe paki!

Utwory wierszeni i prozą nadesłali m. in. Karol Brzozowski, Władysław Belza, Felicjan Paleński, Mikołaj Biernacki (Rodo), Jan Kasprówic, Maryla Wolska, Władysław Orkan, Maria Kopnińska, Zdzisław Dębicki, tak ogólnie scharakteryzowani piórem przedmówcy Bartoszewicza:

Satyryk myśli głęboką w paru wierszach mieści,
Hi morysta rozśmiesza, a śmiech zawsze zda się,
Tu uczony filozof, aforystem pastę,
Tam poeta wytwornym rymem ucho pieści.

A oto przykłady kilku wierszy karmelkowych z tego arcydzieła wydawnictwa, znajdującego się w kilku zaledwie bibliotekach polskich:

Pst!... Do uszka powiem ci
Sekret bardz wielki:
Moja mowa poszła dziś
Także na karmelki...

(Zdzisław Dębicki)

Idę po koncept do głowy
Na jaki wiersz karmelkowy —
Trud to za wielki!
Nasz El...y jeden na świecie
Umiał nadobnie kobiecie
Sypać karmelki.

(Jan Kasprówic)

Fazano mi utwórzik pisać na karmelki!
Któż to kazał? Kobiety. Dosyć! Boże wielki!

(Mikołaj Biernacki)

Nie znamy cennika obowiązującego przy zakupie losów loteryjnych, ale widac obowiązywał również uśmiech, szczególnie na usteczkach pięknych pań, sądząc z żarliwego apelu Bartoszewicza:

Nie bądźcie bezlitosne, festynu boginie!
Płacici, za wiersz uśmiechem, bo gdyby inaczej
Być miało — to zaiste każdy z nas z rozpacz
Jak karmelek w usteczkach, w nicość się rozplynie.

W „Satyryconie” niejakiego Zaby (podobno pseudonim galicyjskiego humorysty Aniciego Barańskiego), wydanym nakładem autora w Jarosławiu w 1900 r., znajdujemy charakterystykę Władysława Belzy, poety, antologisty, autora niezapomnianego „Katechizmu polskiego dziecka” („Kto ty jesteś? Polak mały”). Zjadliwy konterfekt pisarza, karykaturalnie przedstawiający mdłą i bezbarwną poprawną jego poezję, odpowiada ocenie Belzy we współczesnej historii literatury polskiej.

Pegaz mój bryka, czekaj go nie okiełz
I choć się sili, już go nie powstrzyma.
O! rym już gotów, pan Władysław Belza
Także poeta a jego maksy
Jes' poetyczka: „Z tam człowiek pełza
Gdzie nie przeskoczy...” Węz za pióro ima
I składa rymy: fitu, fitu, fitu...
Oto pełniutka skrzynia aksamitu”.

Nie mój to koncept, lecz go wyczytałem
Gdzieś że pan Belza takie wiersze składa.
A w jego życiu poetycznym całym
Wierszy tych furta Furta to nielada.
Zreszta jest teg przedświadczeniem statym
Pisanie wierszy. A czy to jest wada?
No, czytelniku, mam koncept nienowy,
Ze on poeta tylko karmelkowy.

Ostatni werse parafletu Zaby odnosi się nie tylko do oceny twórczości „karmelkowego” poety, ale również do jego udziału w zabawie ogrodowej sprzed roku. Belza nadesłał bowiem na życzenie dami pośród kilku rymowanek stosowny wiersz na zadany temat:

Wio nie od dzisiaj mały i wielki,
Jaki to w sobi wdzik słodczy chowa.
Wszak dzieci łowi się na karmelki,
A starszych ludzi na słodkie słowa.

A swoja droga ileż to razy w tej naszej historii ojczystej, dorosli ludzie dali się schwytać na słodkie i nie zawsze słodkie słowa. Miał rację stary pan Belza.

ANDRZEJ KEMPA

NR 39 (1591), 24 WRZEŚNIA 1988 R.

1

Koń, jaki jest każdy widzi

Nie wiem czy zwrócili państwo uwagę na to, jak wielką popularnością cieszy się u nas ostatnimi czasy słynna definicja Chmielowskiego o koniu. Księdzu Chmielowskiemu nie śniło się nawet, że po tylu latach będzie się go tak często cytować i na tyle różnych sposobów jego „koń, jaki jest, każdy widzi” przerabiać. No bo tak: do sportu pasuje, do gospodarki pasuje, do handlu pasuje, do biurokracji pasuje, do PKP pasuje, do... ludziel postrzmacie mnie, bo jak się okazuje to najbardziej uniwersalna definicja na świecie — do wszystkiego w tym kraju pasuje.

Mądrzy ludzie opowiadają jak te czasy saskie były straszne i prymitywne, a tu proszę, jedną definicją z tamtej epoki można wszystko załatwić. Ale przecież to dobrze, że wiemy jak jest, bo kiedy człowiek uświadamia sobie swoje wady, to już połowa sukcesu, może nawet więcej niż połowa, teraz już tylko zebrać się w sobie i zmienić. Tylko to, jak się okazuje, nie jest takie proste. Niby wszyscy wszystko wiedzą, tylko ni rusz na lepsze przeobrazić nie mogą.

Podróżowałem ostatnio trochę po kraju, by zobaczyć jak ludzie tu i ówdzie żyją. I co, prawie wszędzie jest tak samo, miasta są brudne, knajpy obkurkne, dworce zasikane, jeziora i rzeki zatrute, pijacy wszędzie tacy sami i tak dalej. Choć muszę obiektywnie przyznać, że zdarzyło mi się widzieć miasta wyglądające zupełnie przyzwoicie. Otóż proszę sobie wyobrazić, że im dalej na zachód człowiek podróżuje, tym bardziej czyste miejscowości. A ludzi tam przecież kresowych dużo, do których pełni kompleksów kongresowiaczy i zarozumiali Wielkopolanie mieli stosunek zawsze raczej nieprzychylny. A jednak!

Kejnia, stąd zaczęła moja krótka podróż, pięknie położona, z bardzo ciekawym rynkiem i krętymi uliczkami, jest brudna, odrapana, wygląda jakby nie w niej się nie robiło od przynajmniej 50 lat. Margonin jest już zupełnie przyzwoity. Chodzież ładna (tylko że zatrute jeziora). Międzyzrzecz dość zadbane i całkiem dobrze się prezentujący, a Świebodzin to jak na nasze warunki prawdziwa rewelacja, miasto czyste i naprawdę ładne, natomiast Łagowa można by było zrobić turystyczną perełkę do której chętnie by przyjeżdżali na letni wypoczynek dewizowi turyści. Oczywiście wybrałem z mojej wędrowki te miasta, które wydały mi się najbardziej charakterystyczne.

A poza tym wszędzie widać nowe, na przykład na jednej z niewielkich stacji, gdzieś w Polsce, gdy w kasie poprosiłem o dwie połówki otrzymałem rzeczywiście bilet przycięty w połowie. Słowo daję, to nie żart.

O cenach trudno cokolwiek nowego powiedzieć, bo przecież jakie są, każdy widzi. Dziwiło mnie jednak czasami, że za taką samą butelkę dobrego piwa w jednym zażędzie płaciłem 500 złotych, w drugim zaś, tylko 200. Ciekawe komu się to bardziej opłacało?

I jeśli przyjąć zasadę, że wszędzie jest źle, tylko gdzieś niedługo jakby trochę lepiej (trudno się zresztą nią nie kierować, przecież jak jest każdy widzi), to w Łodzi jest wręcz fatalnie. Wiem, że to nieładnie kłaść własne gniazdo, ale co ja zrobię, jeśli po każdym dłuż-

szym wyjeździe muszę się do mojego miasta na nowo przyzwyczajać. Mam taki zwyczaj, że po powrocie z dłuższych wójaży udaję się na spacer ulicą Piotrkowską, ulica ta posiada jakiś niezaprzeczalny urok. Jeśli innych miast starówka jest sercem, tak sercem Łodzi jest ulica Piotrkowska. I cóż, na mój spacer wybrałem się w niedzielę dość późnym popołudniem. Ludzie! tylu pijanych naraz nie udało mi się spotkać w żadnym innym wielkim mieście.

Nie ma małych sympatycznych kawiarni, w których można byłoby się zatrzymać i wypić choćby lampkę wina, prawie wszystkie to wielkie zimne hale na sto albo i więcej miejsc. Nie jest najczystej, a z ciasnych podwórek nierzadko dochodzi mało przyjemny zapach. To zauważył już w latach dwudziestych Józef Wittlin, który pisał, że o Łodzi „wszystko można powiedzieć, tylko nie to, że pachniała”. Ale wtedy to jeszcze mogło być zrozumiałe, miasto nie było przecież skanalizowane. Pomijam już taki drobny fakt, że Piotrkowska nie jest ulicą bezpieczną, dwaj moi znajomi w niedługich odstępach czasu w biały dzień właśnie tutaj zostali dotkliwie pobici.

Ale dajmy już spokój narzekaniu i powiedzmy sobie szczerze, że Piotrkowska to prawdziwy luksus w porównaniu z innymi „uroczymi” ulicami śródmieścia, gdzie po bramach typy kręcą się najprzeróżniejsze, jakby rodem wprost z filmów Felliniego.

Na pocieszenie opowiem taki fakt, otóż pewna Angielka pracująca na kontrakcie na Uniwersytecie Łódzkim, gdy zaplanowano jej przeniesienie się do Poznania na tamtejszą uczelnię, nie zgodziła się twierdząc, że takiej egzotyki jako jest w Łodzi to ona nigdzie nie znajdzie. I miała rację!

TOMASZ A.
WŁODKOWSKI

2

Lewym
okiem

Próba futurologii

W rozmowach towarzyskich pada nieraz pytanie co to będzie za dziesięć lat? Ciekawy jestem jaka będzie ta niezbyt odległa przyszłość... Wydało się, że odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa ani prosta, ale jak się tak bliżej przyjrzyć niektórym przynajmniej wycinkom naszego życia to przecież można dojść do wniosku, że wiele spraw przewidzieć można z całkowitą pewnością.

Wiemy już przecież, że za dziesięć i za piętnaście lat orkiestrę towarzyszącą festiwalowi piosenki w Sopocie prowadzić będzie Mariusz Debiech syn Henryka Debiecha, że konferansjerem będzie Kydryński syn Kydryńskiego. Wiemy, że wiersze pisać będzie Tomasz Jastrun, syn Mieczysława, Tomasz

Łoboda, syn Romana, Jarosław, Marek Rymkiewicz syn Władysława i wielu innych utalentowanych synów. Córki zmienią wprawdzie nazwiska, ale nie wszystkie. Niektóre z nich wola właśnie firmować własną twórczość nazwiskiem ojca. Nadal będziemy spotykać nazwisko Gąkcyńskiego, bo nim podpisuje się córka Kira, pisać będą, przeważnie o swych ojcach, pani Natalia Iwaszkiewicz i pani Anna Sztudynger. Na scenach teatrów i ekranach kin spotykamy będziemy te same nazwiska, tyle że imiona się zmienią. Tylko felietonów „Lewym okiem” nie będzie podpisywał Krzemieński, bo po prostu nie mam syna.

Dziedzicność w sferze kultury okazuje się silniejsza niż w jakiegokolwiek innej. Wydało się ona tak silna, że aż kusił żeby te rodzinne, uroczne powiązania ekstrapolować także na dalszą przyszłość. Jakże to będzie pięknie, kiedy prawnuk Passenta zaatakuję w „Polityce” prawnuka Kisielewskiego, kiedy wnuk Zygmunta Kałużyńskiego pisać będzie sążniste recenzje z filmów nakręconych przez późnego wnuka Andrzeja Wajdy. Wnuk Kazimierza Brandysa nadal nie będzie drukowany w pierwszym obiegu, a prawnuk Mieczysława Rakowskiego nie będzie się śpieszył do nawiązania dialogu z wnukiem Lecha Wałęsy.

Na pewno zmieniać się nazwy wszystkich instytucji, od resortów poczynawszy, poprzez przemysł, handel, transport aż do punktów skupu, może nawet znikną salony pralnicze, obuwnicze i jajczarskie. Na pewno zmienią się trasy wszystkich tramwajów i autobusów miejskich, a połowa ulic w miastach zmieni swoje nazwy.

Nie wiadomo tylko co się po za tym zmieni, ale i tak sami widzicie jak wiele można przewidzieć.

WŁODZIMIERZ
KRZEMIŃSKI

3

Odnowa w rynku

Wracałem kiedyś z południa Polski do Łodzi przez Piotrków Trybunalski. Kończyło się lato, noc była chłodnawa, gwiazdzista. Przy wyjeździe z centrum miasta niespodziewanie zrobiło się bardzo jasno. Odruchowo spojrziałem w kierunku stojących szczytami do ulicy bloków, skąd dobiegało światło. Jego źródłem były olbrzymie reflektory zainstalowane na samochodowych podnośnikach. Film kręcą — pomyślałem w pierwszej chwili. Ale po przejechaniu jeszcze kilkudziesięciu metrów mogłem zauważyć, że nie ma tam żadnej ekipy filmowej, ani aktorów, czy statystów, są natomiast ubrani w dresy robotnicy, którzy z wielkim zapalem machają pedziami-lawkowcami, pokrywając szczyty farbą. Zwarowali? Do-

pięro w parę sekund później przypomniałem sobie, że za kilka dni w Piotrkowie mają się przecież odbyć centralne dożynki i że przyjeździe na nie sam Edward Gierlek.

W 1987 roku w maju w czasie tygodnia, może dwóch przy ulicy Pabianickiej odnowiono elewację prawie wszystkich starych budynków. To znaczy, pomalowano je — po raz pierwszy od wielu, wielu lat, a niektóre być może w ogóle po raz pierwszy — nie dbając przy tym zbytnio, że gdzieś tam wciąż uszkodzony jest tynk, że trzeba by najpierw uzupełnić powstałe w nim ubytki, wstawić kilka cegieł, które dawno już wypadły... Podwórko narożnego domku przy ulicy Karpackiej — stareńkiego, rozlatującego się i, odkąd tylko pamiętam, zaniedbanego — ogrodzono nagle drucianym płotem, przy którym postawiono drewniane komórki. Zapewne — ku wielkiej radości mieszkańców, którzy byli ich pozbawieni.

Za kilka dni ulicą Pabianicką przejeżdżać miał z lotniska na Lublinku do katedry papież Jan Paweł II, a także — goście na rozpoczynające się w tym samym mniej więcej czasie pierwsze w Łodzi międzynarodowe targi Interfashion.

Dokładnie tydzień temu, w środę 14 września reporterski los rzucił mnie do Płońska w województwie ciechanowskim. Ciche, nieco sennie nawet miasteczko, jakich wiele w naszym kraju. Ani brzydziej, ani ładniejszej od innych. Typowa — jak to kiedyś mawiano — Polska powiatowa.

Tak się złożyło, że człowiek, z którym bardzo chciałem się spotkać, miał być w miejscu pracy dopiero o godzinie dziesiętej. Ja byłem dużo wcześniej. Dla zabicia czasu postanowiłem więc zwiedzić nieco Płońsk, a przynajmniej — rynek i najbliższe ulice. To, co zobaczyłem, wprawilo mnie w głębokie zdumienie. Ruch tam bowiem pannał niecodzienny. Brygady zakładu energetycznego na wysługi wymieniały przepalone żarówki w przylicznych latarniach, pracownice sklepów i biur (na przykład PTTK) pospiesznie myły szyby w oknach, jakaś grupa murarzy naprawiała uszkodzony od lat balkon, inne — odświeżały frontowe ściany kamieniczek, gdzie obok kładziono asfaltowy chodnik, reperowano jakieś drzwi, odnawiano szyldy... Na samym rynku ciśnie zbijał z desek prowizoryczne estrady i podesty, na których w nadchodzącą niedzielę wystąpić mieli uczestnicy telewizyjnego Turnieju Miast Płońsk — Rawicz.

Ci z naszych Czytelników, którzy oglądali transmisję z turnieju, mieli okazję zobaczyć schludne, czyste i sadbane miasteczko. Być może pomyśleli sobie nawet, że chcieliby w takim mieszkad. Ja wiem, że prawda jest trochę inna. Ale nie o mnie tu przecież chodzi, lecz — przede wszystkim — o mieszkańców samego Płońska, którzy też dobrze wiedzą. Na pewno wielu z nich cieszy się, że dzięki turniejowi i telewizji mogą teraz pójść na spacer wśród odnowionych domów. Niemniej jednak krytycznie zapewne spojrzęło na miejscowe władze, dzięki staraniom których wszyscy mogliśmy podziwiać na ekranach telewizorów kolejną fikcję.

Jak widać, niektórzy zbyt dosłownie pojmują znaczenie terminu „odnowa”. Szczególnie, że dbają tylko o odnowę rynku i okolic. Dalej — ich zdaniem — wszystko może pozostać po starciu. I o to chyba chodzi!

PAWEŁ
TOMASZEWSKI

ODGŁOSY 15

Do ubogich szczepów zaliczali się Tucholanie. Charzyki, Gwdowie oraz Wdzydzy, sol musieli kupować u Gopelanów lub z miasta Koto Brzegu, placąc woskiem i miodem, skórami dzikich zwierząt lub dziegiem. Także żelazo do kucia broni i radeł zmuszeni byli nabyczyć znaną rzekę Baryczy, gdzie znajdowały się pokłady rudy i pracowało wiele dymarek. Lecz teraz żelazem z tych dymarek zawiadnął Piastun i dla siebie kazał je kuć na broń, nie bez przyczyny zresztą niejakiego Awdanica, dawnego kowala, którego uczynił wojewodą nad bogatymi w kruszec ziemiami.

Rozpalono wiele ognisk wokół kregów kamiennych, wróżdźcy zaczęli zawodzić swoje czarodziejskie pieśni, a w kregach zaszlepiły przywódcy szczepów. I tak od Charzyków zasiadł w kregu wódz Falimierz wraz ze swoją starszą, od Gwdów — Radgost wraz ze starszą, a od Wdzydów — Poświst ze swoją starszą. Trzy dni naradzano się, raz po raz waląc mieczami o tarcze na znak zgody lub zaprzeczenia. Złożono ofiary i zapalono ognie na starych kurhanach, aby starodawni Gości przebywając w „Nawi”, krainie zmarłych, mogli się ogrzać i najść do syta, jednocześnie podsuwając dobre rady umysłom przywódców szczepów.

I tak oto wodzowi Wdzydów — Poświstowi — zmarli Gdowie doradzili, aby ze swoim ludem nie odchodził daleko od własnych grodów i wsi, gdyż książę potężnych Kaszebe, Bolebut, wydał swą córkę za wojewodę Jaszczolta, władającego Witiandą i od zachodu strzegę Visuli. Ma on chętkę, aby poszerzyć swój kraj o ziemie Radunów i Wdzydów. Do wojny z Bolebutem zachęcał więc władca Wdzydów — Poświst. Barnimowi jednak marzyło się złożyć tanię jak słoma, sol Polan i ich żelazo, utwierdzał w swych zamysłach tak Gwdów jak i Charzyków, powoływał się na wiadomości od swoich szpiegów, że przeprowadzając się przez Notecz, nie będą mieli do czynienia z Piastunem, a tylko z wojewodą Pałuką. Piastun bowiem, postanowił dopomóc Ludziom Długogłowym i Mazowii, których najechał Estwio.

Tak więc nie doszło do zgody. Zdecydowano na „thingu”, że Wdzydzy wrócą do swoich siedzib, a Gwdowie i Charzykowie pod naczelnym dowództwem Barnima, władcy Tucholan, uderzą na Nakło, przedstaną się przez Notecz i jej bagna, a potem wkroczą do kraju Polan. Prawie pięć tysięcy wojowników w trzech grupach — oddziennie Charzykowie, oddziennie Gwdowie i oddziennie Tucholanie, tworząc jednak jedną wielką armię.

Uszedł Pałuka na lewy brzeg Noteczy, między bagna i potężne puszczę, beznadziejnie patrząc jak płoną żreby dopiero co wniezione grody w Nakle. W dobrze ufortyfikowanym Żninie pozostała cała jego rodzina, w tym i nowo narodzony syn, Wszechsław, więc o ich los był na razie spokojny. Ale dobrze rozumiał, że nie wolno mu pozwolić, aby Pomorcy, pałac i rabując niszczyli mu kraj, który dostał od Piastuna.

Obsadziwszy wszystkie mniejsze i większe grody na Ziemi Pałuków i wzdłuż lewego brzegu Noteczy — miał Pałuka do swojej dyspozycji zaledwie trzytysię konnych wojowników i dwustu tarzoników. Jak poradził sobie z nawałą pięciu tysięcy Pomorców, żądnych mordu i grabieży — tego nie wiedział. Przez kilka lat jako Lestek potrafił dowodzić małą grupką ludzi i tworzyć zasadzki na żołnierzy Helgundy, ale w kierowaniu armią żadnego doświadczenia nie posiadał. I patrząc z puszczy na płonące Nakło nie miał pojęcia, w jaki sposób powstrzymać Pomorców. Oddzielała go od nich jeszcze tylko wezbrana potężnie rzeka pokryta lodową kaszą, słyszał jednak i on, i jego wojownicy, że na drugim brzegu Pomorcy obalają drzewa na tratwy, aby się ku niemu dostać.

Ile tratw zdołała zbudować Pomorcy? Ilu ludzi może się na nich przeprowadzić na lewy brzeg? Najwyżej trzytysię lub czterystu. Czy z taką ilością wrogów nie potrafiła się rozprawić wojownicy Pałuki?

Dwóch wódzów w białych płaszczach dowodziło tarzonikami, trzech władków — konnicą. Byli to ludzie silnie związani z Pałuką, ponieważ razem z nim przez długi czas jako Lestkiem wojowali wspólnie po lasach. Ale plan

ich wodza, aby czekać na lewym brzegu na przeprawę Pomorców nie budził ich zaufania. Wieczorem jeden z władków oświadczył Pałuce:

— Uczyl nas Piastun, że Sklavinii powinni walczyć zdrajcę, a ty chcesz stanąć przeciw Pomorcom z otwartym czołem? Czy nie lepiej rozprościć naszą siłę, zamknąć się w grodach w Leknie, w Żninie lub w Szubinie? Pomorcy zechcą zdobywać te grody i zatrzymają swój marsz w głąb kraju. A wtedy uderzy na nich armia Piastuna, którego poprosiłeś o pomoc.

— Trzeba rozprościć ich siły — radził inni władcy.

Ale Pałuka się wahał, ponieważ szeroko rozlana rzeka wydawała mu się najlepszą obroną. Bał się także wpuścić Pomorców w głąb kraju, gdyż to oznaczało grabież i zniszczenie wielu wiosek dopiero co zasiedlonych.

Aż przyszła wiadomość, że to, co widzieli na prawym brzegu, owo zwałanie drzew do

— Złoto jest w grodach. Trzeba je zdobyć — twierdził Barnim.

I wydzeliwszy ze swojej armii jej trzecią część, ruszył na Szubin szybkim marszem, spodziewając się zaskoczyć przeciwnika i zdobyć gród bez większych strat, co też się i stało, gdyż atak był nagły. Odnosił więc Barnim kolejne zwycięstwo, zrabował trochę złota i kosztowności, wziął do niewoli wielu mężczyzn i młodych kobiet.

Ale nie wiedział on, że Piastun zajął już ziemie Leczyca Białego i pokonawszy ostatecznie Estwów ruszył do Plocka i do Włocławka. Tam zaś odświeżywszy swoje zapasy żywności i paszy, na czele pięciuset konnych Lestków i siedemdziesięciu żołnierzy Nora udał się w dalszą drogę. Nie poszedł jednak wzdłuż brzegu Visuli, która od Włocławka czyniła wielkie zakole ku zachodowi. Jak po cieplewie łuku przebył przyjazną Ziemię Golubską, przepłynął się w

pod Tucholę, doczekał ranka, a kiedy to otwarto bramy gródka, wpadł do niego nagle swojej konnicy. Wymordował wtedy wszystkich pomorskich wojowników, a także starców, kobiety, nawet niemowlęta. Z całego gródu została przy życiu żona Barnima i jego troje dzieci, które Piastun przywiązał sznurem do siodła jednego ze swych wojowników i dał rozkaz odwrotu, choć upolejni zwycięstwem władcy radził mu, aby teraz pójść na ziemie Charzyków i Gwdów.

Tymczasem już po pierwszym ataku stwierdził Barnim, że Żnin jest o wiele trudniejszy od zdobycia niż Szubin. Wówczas to wycofał się spod Żnina i pałac wsie oraz mordując ludzi, wszystkie swoje siły zgromadził pod Leknem a potem po cały dzień trwałym ataku, gdy stracił ponad czterystu ludzi, wreszcie je zdobył. Zabudowania gródu płonęły. Pomorcy gwałcili kobiety i do niewoli brali mło-

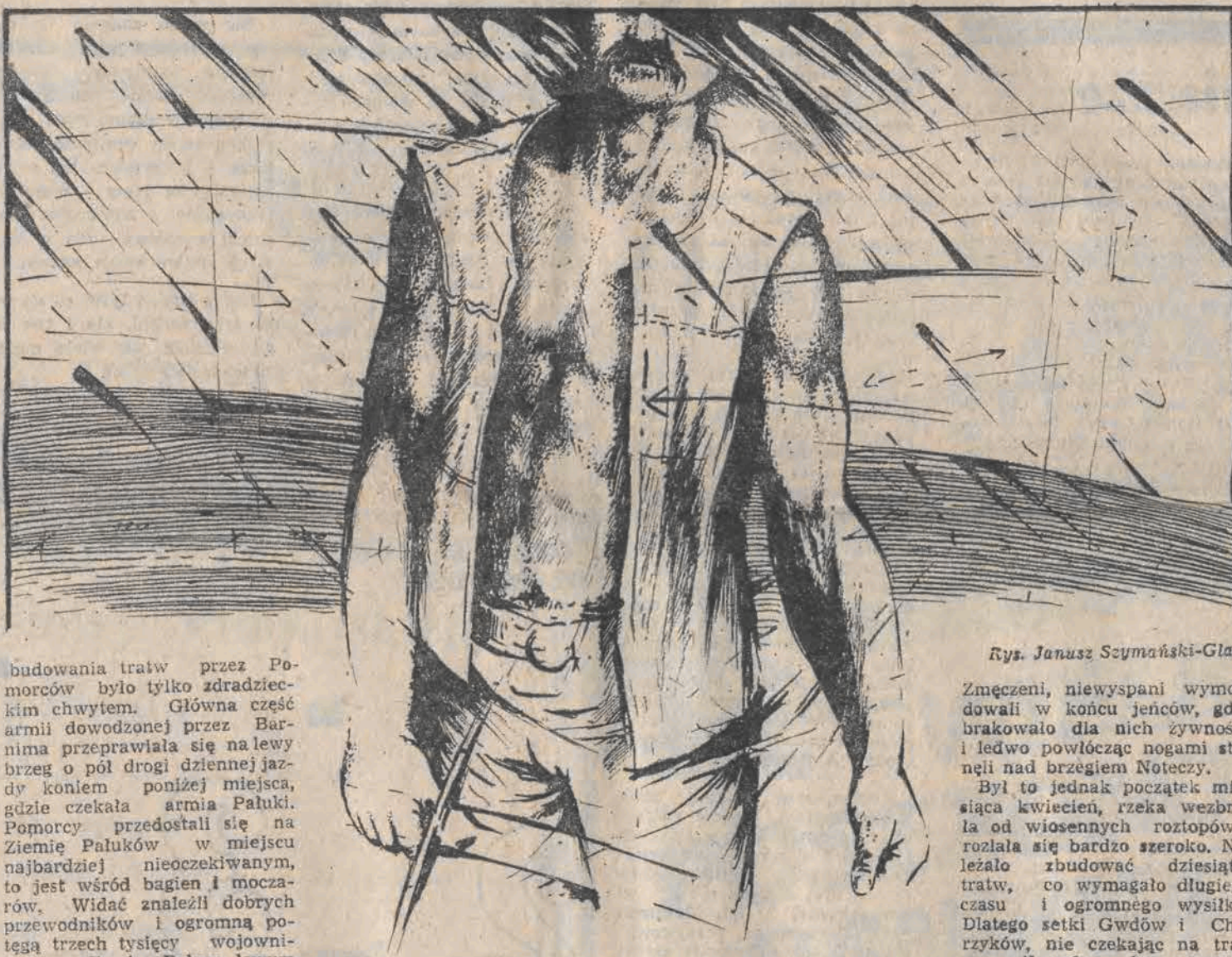
Charzykowie i Gwdowie pierwsi opuścili płonące jeszcze gród w Leknie i zwróciła kolumną, prowadząc jeńców, ruszyli ku Nocy. Dołączyli do nich Tucholanie i sam Barnim, aby byli silniejsi, gdyż dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest daleko od swoich siedzib i w kraju nieprzyjacielskim.

Przeróżający był to odwrót. Wędrowali przez ziemie przez siebie spustoszone, gdzie brakowało żywności. Na każdego opieszałego wojownika raz po raz napadali rozżwieszczeni kłmle, którzy podczas ataku nieprzyjaciela rozbiegli się po lasach, a teraz rozdawano im broń. Pałuka wyprowadził ze Żnina konnych wojowników i kolumnę nieprzyjaciela atakował zdraździecko raz z przodu to znów od tyłu. Gdy usiłował ułożyć się na spoczynek, straż podnosiła nieustanny alarm, ponieważ ciągle ktoś ginał od wypuszczonej z lasu strzały lub rzuconej włóczni.

(20)

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Scymański-Glanc

budowania tratw przez Pomorców było tylko zdraździekim chwytym. Główna część armii dowodzonej przez Barnima przeprowadziła się na lewy brzeg o pół drogi dziennej jazdy koniem, poniżej miejsca, gdzie czekała armia Pałuki. Pomorcy przedostali się na Ziemię Pałuków w miejscu najbardziej nieoczekiwanym, to jest wśród bagien i moczarów. Widać znaleźli dobrych przewodników i ogromną potęgą trzech tysięcy wojowników szli ku Pałuce lewym brzegiem rzeki.

W pośpiechu, pozostawiając dziesiątki wozów z zapasami żywności, wojsko Pałuki zaczęło się wycofywać w głąb kraju. Ostanowili się dopiero w Leknie, które na taką liczbę żołnierzy nie zostało przygotowane i natychmiast zaczęło brakować żywności dla ludzi i paszy dla koni. Wtedy Pałuka wraz z konnicą ruszył do Szubina, po drodze jednak wpadł w zasadzkę zgotowaną wpuszczając przez Barnima. Stu konnych wojowników stracił Pałuka, zanim zdołał wyrwać się z okrażeń i przedrzeć do Żnina, który natychmiast został okrażony przez Pomorców, podobnie jak to się wkrótce stało z Leknem. Obroncy wkradli wokół wałów grodowych setki, a może tysiące pomorskich wojowników, nocami świecili im łuny pożarów — to Pomorcy palili wioski. Żnin nie był przygotowany do obrony i aby się wyżyć, Pałuka kazał zabijać konie na pożywienie. Czterokrotnie Barnim usiłował ogromną masą swych ludzi zdobyć Żnin, ale został odparty. Zadano mu nawet duże straty. Pomorcy, nie nawykli do zdobywania grodów, ginęli od strzał i od włóczni.

— Gdzie są łupy — pytali Barnima wódz Gwdów, Radgost i wódz Charzyków, Falimierz. — Gdzie jest złoto tańsze od słomy? Spaliliśmy wioski i teraz nam samym zaczyna brakować jedzenia.

Golubiu przez rzekę Drwęę i znalazł się w kraju estwoskich Pomezanów, którzy byli słabi z powodu doznanej niedawno klęski i poddawali mu się bez walki. Zdarzało się, że starcy z grodów pomezanskich wychodzili do Piastuna z chlebem i solą, błagając go o litość, obiecując nakarmić żołnierzy i napaść konie, choćby sami mieli głodować aż do przednówka. Wielu też oddało się Piastunowi w jego piastowanie tak, że przylączył Piastun tę przylegającą do Visuli część Pomezanów i oddał ją Norowi, kazał zasiedlić ją Polanami. Doszedłszy zaś znowu do Visuli w wiosce Świecie przeprowadził się na drugą stronę rzeki, już na tratwach i łodziach, albowiem kończył się miesiąc brzeziń i wody były wolne od lodu. Ze Świecia skierował się na Tucholę.

Kraj przed nimi leżał bezbronny, pozbawiony wojowników, którzy poszli z Barnimem. I tyle czasu pozostawał Piastun w jakimś miejscu, w wiosce czy małym grodzie, ile wymagało spalanie go i wymordowanie wszystkich ludzi, tak starców, kobiet, jak i dzieci, a nawet niemowląt. Był początek miesiąca trawień, z błękitnym niebem i białymi obłokami, a przecież wciąż go zasnawały chmury dymu. Od pośpiezności i ciągłego marszu padały co słabsze konie, lecz Piastun ciągle przynaglał armię. W tydzień podszedł nocą

dych chłopców i dziewczęta. Rabowano co się tylko dało, lecz ogień zbyt szybko podłożony pod zabudowania, niszczył także i dobytek jego mieszkańców. Tarzonicy bronili się długo wewnątrz płonącego gródu i zanim ich pokonał, stracił Barnim jeszcze stuwo wojowników. Aż uradowany zwycięstwem kazał sobie przytoczyć uratowaną od pożaru beczkę syconego miodu i zasiał do uczy z Radgostem i Falimierzem.

Odejmuwał od ust Barnim dzban z miodem, kiedy podjechał ku niemu jakiś wojownik na tak zgonionym koniu, że zaraz padł martwy i powiedział o spaleniu Tucholi.

— Twoja żona i troje dzieci prowadzi Piastun na sznurze tuż za swoim koniem. — mówił z zadyśką, gdyż też był bardzo zmęczony wielodniową jazdą. — A teraz ruszył przeciw Gwdom i Charzykom.

Rozgniewany Barnim uderzył go w głowę pustym dzbanem, przez co wojownik stracił przytomność. Natychmiast jednak rozkazał Barnim, aby go oduciono, ale bodaj był tego nie czynił, gdyż to co znowu usłyszał napędziło go przerażeniem.

Zmęczeni, niewyspani wymordowali w końcu jeńców, gdyż brakowało dla nich żywności, i ledwo powłócząc nogami stanęli nad brzegiem Noteczy.

Był to jednak początek miesiąca kwiecień, rzeka wezbrała od wiosennych roztopów i rozlała się bardzo szeroko. Należało zbudować dziesiątki tratw, co wymagało długiego czasu i ogromnego wysiłku. Dlatego setki Gwdów i Charzyków, nie czekając na tratwy, usiłowało wpaść przepłynąć rzekę i wielu z nich utonęło. Ci zaś, co przeżyli nurt i dostali się na prawy brzeg, natychmiast bezładną kolumną ruszyli ku swojemu krajowi. Pięć tysięcy wojowników prowadził pod swoim dowództwem Barnim, gdy ruszał na Polan. Teraz, gdy czekał na budowę tratw na lewym brzegu Noteczy miał wokół siebie zaledwie siedmiuset, ponieważ opuścili go Gwdowie i Charzykowie. Z tą małą armią przedostał się wreszcie na prawy brzeg i ruszył w głąb swego kraju. Ale im dalej w niego wchodził, tym okropniejszy miał przed sobą widok. Siedmiuset jego wojowników szło przez ziemię jak gdyby strątaną, ze zgłiszczami wiosek i setkami szkieletów ludzkich, objętych przez gawrony i kawkę. Na lewo i prawo stał Barnim wojowników z poselstwem do Piastuna, ponieważ chciał się z nim pokojowo ułożyć. Lecz posłańcy niekiedy przez cały dzień jazdy konnej nie napotkali żywej duszy. Nie udało im się także trafić na oddziały Piastuna. Nie wiedział Barnim, że Piastun wraz ze swoim wojskiem czekał na niego na lewym brzegu rzeki zwanej Kamionką. Nie chciał Piastun bitwy, ale pragnął pokoju. Wojsko swoje osadził na wysokim brzegu rzeki i czekał aż pojawi się wojsko Barnima.

I stało się tak, że ujrzał wreszcie Barnim na drugim brzegu Kamionki samotnego jeźdźcę na białym koniu, w

złoczonej zbroi i w białym płaszczu. Obok niego na długim sznurze sianiała się na nogach kobieta i troje dzieci, które rozpoznał Barnim jako własne. Piastun zdawał się być samotny, lecz Barnim zdawał sobie sprawę, że w pobliskiej puszczy kryją się wojska.

Potem zobaczył Barnim, że dwóch wojowników odbija łodzią od brzegu i kieruje się ku niemu. Łódź wypełniona była palami, świecącymi białą od swej świeżości.

— Barnimie — powiedzieli przybyli ludzie. — Piastun kazał, aby twoi ludzie wbiili pale w dno tej rzeki, która oddała będzie granicą między twoim szczepem, a Państwem Polan.

— Notecz była granicą — zawołał Barnim.

— Piastun kazał nam powiedzieć, że oddał Kamionkę bezdnie granicą. Odda ci wtedy swoją żonę i troje twoich dzieci i pozwolił twoim żołnierzom odbudować Tucholę. Trybutu na ciebie nie nałoży, gdyż w kraju Polan złoto jest tańsze niż słoma. Zabierze ci jednak tę ziemię między Kamionką i Nocy, gdyż zniszczyłeś Lekno oraz Szubin i zabiłeś wielu Polan. Zamordowałeś także jeńców.

— Nigdy! — wrzasnął Barnim i wyciągnął miecz z pochwy. — Niech Piastun staje do otwartej walki, a przekonamy się kto zwycięży.

Jego wrzask usłyszał Piastun i ku zdziwieniu żołnierzy Barnima przeciął sznur na szty żony Barnima i jego dzieci. Podbiegli oni ku rzeczce i błagalnie zaczęli wyciągać ręce do Barnima, a gdy ten zasłonił sobie ramieniem oczy, aby ich nie widzieć, bowiem droższa od ich życia wydawała mu się ziemia, którą miał oddać Piastunowi, dwaj jego własni wojownicy rozlekali go mieczami. Potem zaś w milczeniu wyjęli z łodzi pale i zaczęli je wbić w dno rzeki. Widząc zaś, co czynią, Piastun skierował konia ku puszczy i zniknął w niej jak zjawą, a wraz z nim odeszło jego niewidzialne dla nikogo wojsko. Albowiem, gdy Tucholanie wreszcie przeprowadzili się na lewy brzeg Kamionki, nie zastali już na tej ziemi żadnego obcego wojownika. Wzięli więc ze sobą żonę Barnima i jego troje dzieci i ruszyli do Tucholi, usprawiedliwiając swoją klęskę podżeganiami Piastuna o uprawianie czarów. Z zazdrością też przyjęli wieść, że ani Gwdów ani Charzyków nie spotkało podobne do nich nieszczęście i na letnim „thingu” w kregach kamiennych nad Czarną Wodą, wzajemnie zaczęli oskarżać się o zdradę i porzucenie w chwili nieszczęścia.

Na owym „thingu” siedząc w swoim kregu wybrał Tucholanin na swego wodza czterdziestoletniego syna Barnima, gdyż ten nie okazywał takiej wojowniczości jak jego ojciec. Co noc temu młodzieńcowi śniło się, że jest trzymanym na sznurze i pęta owego sznura zaciska się na jego gardle, dławiąc mu oddech. Budził się z krzykiem, obejmując dłońmi swoje gardło. I choć w kilka lat później pokonał Gwdów i Charzyków, mszcząc się za ich zdradę, to przecież nigdy nie ośmielił się przekroczyć rzeki Kamionki, gdzie gnily w wodzie wbite na jego oczach pale graniczne Państwa Polan.

...Aż do połowy miesiąca zwanego kwiecień czynił Piastun nowy porządek na podbiitych ziemiach między Nocy a Kamionką. Przede wszystkim po wsiach spalonych i tych, co ocalały, po dawnych gródkach pomorskich stał wieści, że jest Dawcą Wolności. Kto mu się w ciągu dziesięciu dni oddał w piastowanie, jeśli był wolnym wojownikiem, zachowywał swoją wolność i majętność. Kto zaś był niewolny — otrzymał wolność, a jeśli umiał walczyć — uczyniony został wojownikiem. Kto zaś wslawił się wyłapywaniem po lasach dawnych swoich panów, uczynił ich niewolnymi poprzez obcięcie ich włosów i odebranie broni. Lestkiem zostawał to jest obrońcą wolności ludu.

C.D.N